

Barbara Wiza

Tam gdzie rosną  
dzikie grusze

Był koniec kwietnia. Siedziałyśmy z ciotką Sabina w ogrodzie, pod kwitnącą śliwką, zwaną przez moją babcie Giselle. W tym roku Giselle kwitnieniem przypomina słynny piruet Pawiowej i na pewno jest piękna, tyle że mało mnie to obchodzi. W ponurym nastroju nie widzi się cudów tego świata. Tak już jest z człowiekiem smutnym, a ja byłam smutna jak stary spaniel.

Ciotka Sabina położyła się na plecach, nogami zaczęła robić rower, jako że nigdy nie zapomina o sprawności fizycznej, i z zainteresowaniem czytała wielkie dzieło pod tytułem Automatyczna broń strzelecka. Doktor nauk medycznych, subtelna, inteligentna kobieta z zachwytem oglądała rysunki nowych wersji karabinów, czyli przedmiotów do zabijania.

- Obrzydliwość - westchnęłam z odrazą.

- Jak się czujesz? - zapytała na wszelki wypadek, bez najmniejszego zainteresowania.

- W porządku...

- Chyba nie całkiem w porządku, wzdychasz jakby ze złością. - Na moment odwróciła głowę w moją stronę i spojrzała badawczo.

- Mam chandrę - mruknęłam z upodobaniem, bo lubię używać tego słowa. Jest w dobrym stylu.

- Ciocia Brońcia inaczej to nazywa. Właśnie rano stwierdziła: „Nasza Zuzka znowu wstała do góry tyłkiem” - powtórzyła mi z uśmiechem.

Po co mnie denerwuje? Wszystko sprowadza do wymiaru zwyczajności.

- To nie jest takie jednoznaczne - powiedziałam godnie.

- Nie jest - zgodziła się. - Zobacz, no zobacz! Karabin na nabój pośredni. O kurczę! Widzisz? Karabin G11 strzelający amunicją bezłuskową o kalibrze 4,7 mm!

- Genialny - wychrypiałam wściekła i powtórzyłam mocniej: - Fantastyczny! Cudowny! Boski!

Patrzyła na mnie jak zbudzona ze snu.

- Przepraszam... - wymamrotała i zamknęła książkę, chociaż nie zapomniała założyć trawką strony. - Przepraszam, Zuzka. Pogadajmy, rozchmurz się - poprosiła. Jej ciemne oczy wcale nie były skruszone.

- Dobra, nie ma sprawy - burknęłam. - Czytaj sobie nawet o bombie atomowej. W końcu cywilizacja nam się rozwija, uczeni robią, co mogą. Dla ludzkości, rzecz jasna.

- Ironizujesz, jędzusi, i chyba masz rację, tylko że niezależnie od tego, czy obejrzę te rysunki czy nie i tak prototypy będą czekały w magazynach wojskowych całego świata. Mnie zawsze fascynowała broń, wszystko co strzela, wszystko co dymi... Pewne skrzywienie psychiczne, ot, chyba nie jestem najmądrzejsza - zaśmiała się głośno.

- Przypuszczalnie nie jesteś - uśmiechnęłam się wreszcie.

- Może zejdziesz z wózka, pochodzimy i pogadamy - zaproponowała.

Zejscie z wózka inwalidzkiego, nawet trzy lata po operacji kręgosłupa, nie jest łatwe. Robię to nad wyraz niechętnie i tylko w ramach choleryjnej rehabilitacji. Chodzenie nie jest moim ulubionym zajęciem przynajmniej od sześciu lat. Sprawia mi ból. Biorę jednak pod uwagę chęci ciotki Sabiny. Wszak jest zatrudniona najprawdziej w charakterze doktora rehabilitanta przez moich rodziców i - żeby już było całkiem jasne - za ciężkie dolary. Ciotka, mimo że jest w końcu żoną wujka Bohdana, rodzzonego i ukochanego brata mamy, nie wymiguje się od obowiązków, pieniędzy za darmo nie bierze, to jasne. Zresztą do każdej pracy podchodzi solidnie i gruntownie. Wiedziałam, że teraz nie popuści, jak jej nie przyhamuję.

- Nie wymagaj ode mnie, żebym chodziła i do tego gadała. Spacer zafundujemy sobie po obiedzie, teraz posiedźmy jeszcze chwilkę, a ty powiedz coś śmiesznego, dobrze ciociu?

- Nie wyglądasz, żeby ci było do śmiechu, ale zgoda.

- Wystawiła twarz do słońca. - Ale grzeje... Kwiecień i tak grzeje... Wracamy do chandry. O co chodzi, kurczątko?

- Nie mów do mnie: kurczątko.

- Będę cię tak nazywać i już! - Ciotka była niemożliwa. - Słucham.

- Po pierwsze, jutro kończę osiemnaście lat, cholera - zaczęłam.

- Wnosząc z przekleństwa, to źle... - wtrąciła.

- Nie przerywaj. Osiemnaście lat, a zacznę dopiero pierwszą licealną, podczas gdy Dyzio i wiara pójdą do klasy maturalnej. Poza tym wcale nie jestem pewna, czy zdam do pierwszej klasy. Nic a nic nie mam pewności.

- To będzie trudne, zgadzam się - dość ponuro potwierdziła ciotka. - Kiedy pomyślę o biologii... Przedmioty ścisłe idą ci całkiem dobrze, ale z biologii - stanowczo jesteś tuk wołowy.

- Skąd znowu wzięłaś jakiegoś tuka wołowego? - zdziwiłam się.

- Wymyśliłam dla dokładnego zobrazowania sytuacji - wyjaśniła.

- Dobra. Mniejsza o szkołę, zobaczymy za dwa miesiące. To dopiero jedna sprawa. Poza tym Dyzio w Anglii, rodzice z dziewczynami w Wenezueli i dodatkowo te wariatki, moje siostry, wychodzą za mąż za nie umiejących mówić Kanadyjczyków, rudych i bliźniaków...

- Nic nie wiem o tym, żeby byli niemowami...

- Oczywiście, że nie są niemowami, ale mówią wyłącznie po angielsku. Jak można trzymać w chałupie coś, co nie mówi ludzkim językiem - ciągnęłam gderliwie.

- Argument dość nikły, a jeśli chodzi o kolor włosów... Zastanów się, Zuzanko moja. Twoje siostry są dokładnie takie same - rude i też są bliźniętami. Całkiem tak samo jak Kanadyjczycy - ciotka odbijała pałeczkę.

- Wychodzi na to, że usiłują ugruntować rasę polsko - kanadyjskich rudych bliźniaków. Moje siostry są stare i głupie. Dziaduś też tak uważa i pan doktor, i ksiądz...

- Hmm... - chrząknęła ciotka.

- Jeszcze do tego tata kupił kopalnię miedzi! Na diabła mu jakaś kopalnia? Co on będzie robił z tą miedzią? Jaka miedź?! Po co miedź?! - piekliłam się okrutnie. - „Owaryjować można” - mówi ciocia Brońcia, a dziadziuś codziennie powtarza: „Jaworowi całkiem odbiło na tym całym Zachodzie”.

- Robisz awanturę o fakty. Fakty są faktami. - Ciotka wróciła do opalania twarzy. - Dziadek wybrzydza, bo nie może ścierpieć, że jego dzieci pracują za granicą, przyczyniając się jakby do dobrobytu innego kraju, zamiast do swego. Ma o to jednakowe pretensje do ciotki Tereski w Wiedniu, jak i do twojej matki w Wenezueli. Dwaj przyjaciele na śmierć i życie - doktor Sznicer i ksiądz proboszcz - całkiem bez sensu i odrobiny wyrozumiałości utwierdzają go w tym przekonaniu. Oczywiście można zrozumieć dziadka. Ma dwie córki i obydwie za granicą, ale przecież ma jeszcze sześciu synów, wszyscy są w kraju. Na razie... Z kopalnią też jest inaczej, niż mówisz. Twój tata ani myślał kupować kopalni. Swego czasu ulokował trochę pieniędzy w akcjach kopalni. Akcje spadały sobie pomalutku, ojciec nie bardzo zorientowany kupował je i kupował, dla zasady. Wreszcie złoża miedzi okazały się wspaniałe, akcje poszły w górę i

wtedy wyszło na jaw, że największy ich pakiet ma twój tata i, chcąc nie chcąc; ma decydujący głos w zarządzaniu kopalnią. Tak sobie myślę... i myślę... i mam ciagoty...

- Ciociu! - wrzasnęłam zirytowana. - Ty lepiej nie miej żadnych ciagot. Ja tam do Wenezueli nigdy nie wyjadę. Mogę żyć wyłącznie w Młyni nad potokiem Młynkiem, w „tysiącletnim” domu dziadków Jasieniów.

- Nie wrzeszcz, u licha! - warknęła na mnie i usiadła opierając proste plecy o śliwkę. - Bodziu jest dobrym inżynierem metalurgiem, a jednak wylano go z pracy. Po dwudziestu latach! Nikt nie powiedział mu dziękuję i przepraszam - ciotka podniosła leciutko głos, chociaż z natury jest bardzo opanowana. - Zresztą nie o nas tu chodzi... Wenezuelę już omówiliśmy, co dalej, kurczątko?

- Właśnie. Najbliższa moja rodzina osiadła właśnie w Wenezueli, a Dezydery Leszcz, mój najlepszy kolega, szajbus w swetrze na lewą stronę, siedzi w Anglii. Wszyscy oni coś tam robią, czymś się interesują, do czegoś dążą. Obok mnie... Rozumiesz? Urwało się jedno ogniwo, to wsadzili ogniwo w wózek, skrócili łańcuch i jadą do przodu, coraz szybciej i szybciej. Do czego tak śpieszą?... Beze mnie?... A mnie czeka druga operacja... - chlipnęłam i wytarłam nos.

- He, he, dziewczyno, roztkliwiasz się nad sobą. Druga operacja to pesymistyczne założenie profesora Adlera. Tylko założenie. Rodzice też nie wyłączyli cię z biegu wydarzeń, wariatko. Jesteś chora, bo neurinoma to poważna choroba, co ci wciąż przypominam. Rodzice robią wszystko, co możliwe, żeby cię wyleczyć i ani sekundy nie zawahaliby się, gdyby trzeba było całą tę zasmarkaną kopalnię sprzedać. Natychmiast, jutro. Nie bądź niesprawiedliwa. - Wstała i znów się oparła plecami o śliwę, mimo woli tworząc z Giselle ciekawą kompozycję. - Dyzio przyjął zaproszenie pana O'Briena, nawiedzonego filantropa, i uczy się - jak słyszę -

gruntownie. Nikomu wstydu nie przyniesie. Wróci za miesiąc i nadal będzie ciebie pchał na wózku, jak robił to przez lata. Czy miał odmówić? Zastanów się. Miał nie jechać, żeby tobie usługiwać?

- Nie. Przecież nie mówię... - usiłowałam się bronić.

- Mówisz. Właśnie, że mówisz. Obwiniasz ludzi, którzy cię kochają i mnie to wpiekła. Zuzka, nie denerwuj mnie swoimi chandrami. - Patrzyła na mnie poważnie, bez uśmiechu. - Dobra, zmieńmy temat. Czy Dyzio rzeczywiście chodzi w swetrze na lewą stronę? Tam, w Anglii?

- O ile go znam, to na pewno - odetchnęłam. Ciotka rzadko rzuca się na mnie. Chciałam ją jakoś zagadać. Dyzio to wdzięczny temat.

- Jemu nikt na świecie nie zdoła wytłumaczyć, dlaczego lewa strona to ta, a nie inna. Jemu się ta właśnie podoba i nie ma na to siły.

Z oddali dobiegł charakterystyczny odgłos samochodu przejeżdżającego po młyńskim moście z litych, sosnowych bali.

- Maluch? Czyżby maluch? - zastanawiała się ciotka, nastawiając ucha. - Któż to do nas maluchem?

- Może do Bartusiów? - przypomniałam, że na tym brzegu Młynka oprócz Jasieniów mieszkają jeszcze Bartusiowie.

- Nie sądzę, żeby sołtyśka Bartusiowa siedziała o tej porze w domu, wszak czas „urzędowy” - odparła ciotka Sabina i podeszła do płotu. - Jednak do nas. Amelcia z milicji.

- Z policji - poprawiłam. Ciotka uniosła ręce i zawołała wesoło:

- Tutaj jesteśmy.

Podeszła do nas dość ciężko - mała, otyła, w niebieskiej spódnicy prawie do kostek i bluzce tego samego koloru, luźno wypuszczonej na wierzch. Komendant posterunku w Młyni

nad potokiem Młynkiem. Nie nosiła munduru. I słusznie. W jej przypadku nie był to twarzowy ciuch. Usiadła na kocu.

- Cześć, dziewczyny, zmachałam się. Florek pojechał do województwa, a ja z najmniejszym głupstwem muszę biegać sama - powiedziała, ocierając spocone czoło wierzchem dłoni.

- Nie ma lekko.

- Druga z chandrą - zauważyła ciotka z uśmiechem.

- Kto pierwszy? - chciała wiedzieć komendant Amelia.

- Zuzka. Jak mówi ciocia Brońcia, wstała dzisiaj do góry tyłkiem.

- Mamy powody - powiedziała pani komisarz. Śmiesznie kurczyła górną wargę i mrużyła oczy.. Zabawna. Gdyby się dobrze przyjrzeć, uznać można, że „pani władza” jest ładna. Kiepskie jest tylko pierwsze wrażenie, które - jak wiadomo - szybko mija.

Zapaliła papierosa.

- Nie mogę się oduczyć. W mojej pracy to niemożliwe. Na przykład od wczoraj jestem zdenerwowana i jak tu żyć bez papierosa, no jak? Miałam jechać do województwa, ale nie mogę. Sami młodzi... nowi... Pieruńsko źle się czuję w mundurze wśród nieznanomych. Patrzą na mnie zawsze z uśmiechem. Wysłałam więc Florka. Bystry chłopak, da sobie radę. W końcu od lat tak było. Wszystko załatwialiśmy w województwie listownie. Raport w tę i raport w tamtą stronę. Spróbuję dalej tak żyć.

- Przesadzasz, Amelciu - powiedziała ciotka. - Kompleksy czy co?

- Może, ale ciekawa jestem, jak ty byś się czuła... Jedziesz do nowego przełożonego. Komendant posterunku, komisarz, doktor praw, a jakże, metr sześćdziesiąt wzrostu, siedemdziesiąt kilogramów wagi, stara panna o nadzwyczaj miło brzmiącym imieniu i nazwisku: Amelia Kita. Jak się podaje po trochu, da się wytrzymać, ale jeśli hurtem, nowemu



przełożonemu, to można potem mieć trudności. Policja to nie przedszkole.

- Przedstawiając się całą litanią należy się tylko uśmiechnąć. W pani przypadku nikt nic nie usłyszy widząc olśniewający uśmiech - wyrwało mi się. Byłam szczerze zachwycona Amelią, niech to nawet Kitą.

- Dziękuję, Zuziu, jesteś znakomitą dziewczyną, jedna się na mnie poznałaś - śmiała się rzeczywiście olśniewająco.

- Jak pani chce wiedzieć, też mam metr sześćdziesiąt wzrostu, trochę, ale niewiele mniej ważę, jestem ruda i jeżdżę na inwalidzkim wózku - pochwaliłam się.

- Licytujcie się, licytujcie, świetnie mi to robi na samopoczucie. Jestem długa i chuda - wtrąciła ze śmiechem ciotka Sabina.

- Ależ ja ci zaraz popsuję samopoczucie, moja Sabinko! Przyszłam zawiadomić twojego męża, Bohdana Jasienia, ażeby stawił się jutro na posterunku w Młyni, celem przesłuchania w sprawie bardzo karnej, a jakże - cieszyła się pani komendant.

- Jakiej? Jakiej karnej? - wyszeptała ciotka dość nieprzytomnie.

- Takiej, kiedy to po rozprawie idzie się do kryminału - wyjaśniła Amelia spokojnie. - W tym przypadku - górna granica dziesięć lat.

- Żartujesz Amelciu? - spytała z niedowierzaniem ciotka.

- Policja nie żartuje, policja ściga. Czy Bohu sześć lat temu, przy pomocy księdza Kuli i doktora Sznicera, założył na ugorach między Młynią a Pszeniczną sztuczne jezioro i dodatkowo jeszcze je zarybił?

- Założył i zarybił przy pomocy... - potwierdziła skołowana ciotka.

- No więc popełnił przestępstwo, albowiem ugory to nie są ugory, tylko dobra dziedzica Kołeczka, o które on się teraz

upomina, przedkładając dowody, że nigdy nie były prawnie odebrane. Tak więc inżynier Bohdan Jasień z kumplami bezprawnie utworzyli jezioro i zarybili je, a także wybudowali przystań dla żaglówek. Kumple też będą odpowiadać, tylko że w mniejszym stopniu, bo wszystko to firmowane było przez szlachetne nazwisko Jasień. Aha, ksiądz prawdopodobnie również posiedzi. Dał pieniądze pochodzące z niewiadomych źródeł, i to wielkie pieniądze, na przystań. Nie może się wytłumaczyć, skąd ma kolekcję numizmatyczną z niezwykle cennymi monetami. Cztery z nich wystarczyły, żeby wybudować przystań, a nawet dołożyć do narybku. Skąd niby mamy wiedzieć z panem prokuratorem, czy to nie łup z rozboju?

- Zwariowałaś?! - wrzasnęła ciotka już całkiem przytomna.

Wybuchnęłam śmiechem. Śmiałam się długo i zaraźliwie. Po chwili śmiałyśmy się we trójkę.

- Przecież Bohu nie był sam, cała wieś, radni, straż pożarna, koło gospodyń, ksiądz i doktor... - wyjaśniała już spokojnie ciotka.

- Tłumaczyć to się będziecie w sądzie. Boha i księdza przesłuchać muszę i nie ma rady - stanowczo oświadczyła pani komendant.

- Chwileczkę - wtrąciłam się - sprawy wsi są mi znane zupełnie tak samo, jak sołtysce Bartusiovej. Uczestniczyłam we wszystkich zebraniach i doskonale pamiętam sprawę ugorów. Od przedwojnia były darowane wsiom Młyni i Pszenicznej. Zawsze tam pasły się krowy i biły się dzieci. Wieś uznała, że krów już tam się nie pasie, dzieci mogą się bić byle gdzie i można utworzyć sztuczne jezioro.

- Powoła się świadków - wpadła na pomysł Amelia. Ciotka Sabina poczerwieniała, wstała i tupnęła nogą.

- Nie! Ja się nie zgadzam na żadne przesłuchania, na żadne kryminały, na żadne, na żadne! - zaprotestowała gwałtownie, po czym tupnęła jeszcze trzy razy nogą i odeszła wściekła.

- Zdenerwowała się Sabinka - zauważyła Amelia i wystawiła twarz do słońca.

- Pani ją wkurzyła.

- Ja? Przecież ja nie założyłam jeziora. Pleciesz Zuzanno, a sprawa jest sprawą dla policjanta i koniec. Jeżeli są niewinni, zostanie umorzona. Zresztą - zastanowiła się chwilę - między nami mówiąc ten Kołeczek nie wygląda mi na dziedzica.

- A jak wygląda dziedzic? - chciałam wiedzieć.

- No... na pewno nie przysadzisty kurdupel, bez przednich zębów i z czarnymi paznokciami.

- Rzeczywiście, nie wygląda on chyba na dziedzica - zgodziłam się.

- Absolutnie nie. Wydaje mi się, że to jakiś cwaniaczek liczący na naiwność „wsioków”. Ale się pomyli - zachichotała.

Próbowałam wyleźć z wózka i jak zwykle natychmiast stałam się koślawą, grubą kaleką, czego nie znosiłam. Bardziej cierpiałam wtedy psychicznie niż fizycznie.

- Pomoże mi pani? Pochodzimy trochę - poprosiłam zła na cały świat. - Powinnam już chodzić chociaż pół godziny. Ciotka pierwszy raz mi darowała.

- Cholerna ta choroba - powiedziała brzydko pani Amelia.

- Dużo bym dała, żebyś już z nią skończyła.

Spacerowałyśmy pół godziny. Od płotu do śliwy i z powrotem. Zmęczyłam się.

- Patrzta ludziska, Dyzio Leszczów przyjechał! - usłyszałam piskliwy głos cioci Brońci. - A dy chłopok, gdzie ty po świecie lotosz? Dobrze, że już wróciłeś.

- Wróciłem - powiedział Dyzio i wtedy się obejrzałam.

Siedziałam na wózku przy grządce z bobem i obrywałam strąki, równocześnie wyłuskując bladozielone ziarnka. Babcia przykazała. Nikt człowieka nie oszczędza.

- Cześć - powiedziałam z trudem.

- Cześć - odpowiedział obojętnie, jakby był tu wczoraj i nigdy nigdzie nie wyjeżdżał.

Stał przede mną wielki jakiś, obcy. Mógł tak wyrosnąć zaledwie przez trzy miesiące? Przyglądałam mu się, jakbym go widziała pierwszy raz. Odkryłam, że Dezydery Leszcz jest przystojnym chłopcem, wysokim, z jasnoniebieskimi oczami i falującymi jasnymi włosami. Właściwie był taki jak wszyscy od Leszczów, ale to, że był przystojny, zauważyłam pierwszy raz.

Ciocia Brońcia przytułała do nas. Siostra dziadziusia była związana z Leszczami od początku świata i los jednego z nich był jej tak samo bliski, jak i swoich, Jasieniów.

- I co tam w tej Anglii? Opowiadaj. Londyn to musi być wielkie miasto. Czytałam o nim i widziałam je w telewizji. Coś pięknego. Powiem ci Dyziu, że sama za nic bym tam nie chciała się znaleźć, zginęłabym jak Andzia w pokrzywach - zachichotała.

- Anglia? Taka sobie - z małym wahaniem odparł Dyzio. - Jak się zastanowić, to Londyn niewiele się różni od Młyni. Wielkość to rzecz względna, a ludzie, dzieci, psy i nawet Tamiza bardzo mi przypominają naszych ludzi i nasz Młynek. O'Brienowie mieli nawet dokładnie takiego psa jak wasz Burek, tyle że nazywał się Ort. Też czysty seter, chociaż o wiele głupszy.

- Co też Dyzio opowiada - oburzyła się ciocia i chyba zauważyła, że wyrósł. Znów zaczęła: - Królową w koronie mają.

- Mają - zgodził się bez entuzjazmu. - Wolę Młynię nad potokiem, bez królowej.

Zaśmialiśmy się wszyscy troje. Zrobiło mi się nadzwyczaj wesoło. Ciocia Brońcia miłośnie pogłaskała głowę Dyzia, to znaczy zrobiła głaszczący ruch, mniej więcej pięć centymetrów nad jego włosami.

- Wyrósł nam Dyzio, oj wyrósł - stwierdziła ze zdziwieniem - jakby na drożdżach.

- No - zgodził się po swojemu. - Ciotka Matylda musiała mi kawałek golfa dorabiać. Nadpruła od dołu i dosztukowała. - Pokazał zupełnie nowy ścieg na swoim swetrze. O dziwo - bez supłów.

- No dobra - przypomniałam sobie - przecież miałeś zostać jeszcze dwa miesiące, do końca wakacji. Co się stało, że wróciłeś? Doszlifowałeś chociaż angielski?

- Mniej więcej. Trochę rzeczywiście doszlifowałem - odparł. - Przyjechałem... bo przyjechałem, do licha! Nie mogłem przyjechać? - zdenerwował się.

- Niech się Dyzio nie złości, my tak pytamy z radości, że Dyzio już z nami - wtrąciła się ciocia. - Idę już, bo Niusiuchna sama z gotowaniem, a dzisiaj doktor na obiedzie.

Odeszła swoim drobnym kroczeniem. Poczulałam się dziwnie. Siedziałam na wózku, z bobem na kolanach, i zatknęło mnie z... nieśmiałości. Prędko przyszło mi do głowy, że zachowuję się idiotycznie i że neurinoma, oprócz kręgosłupa, atakuje mi mózg.

- Jak ci tam było? - zapytałam prawie niedbale. Wziął kilka strączków bobu i przysiadł na poręczy mojego wózka.

- No wiesz... jak u obcych. Ja się raczej źle asymiluję. To znaczy, nieobyty jestem i pewnie dlatego stale mi się wydaje, że coś robię nie tak, jak powinienem - powiedział spokojnie.

- Głupstwa pleciesz - wtrąciłam.

- Jak Boga kocham. Oczywiście, po dwóch tygodniach mi minęło i raczej było fajnie. Teraz najważniejsze! - zawiesił głos. - Zgadnij, co się zdarzyło - takiego naprawdę wielkiego...

- Widziałeś królową?

- Przecież mówię, że coś naprawdę wielkiego.

- Poznałeś królową? - zapytałam i aż dech mi zaparło z wrażenia.

- Kretynka jesteś z tą swoją królową! Co ci królowa weszła do łba? Co mnie obchodzi cudza królowa?

Nareszcie dotarło do mnie, że ten przystojny facet to zwyczajny Dyzio, o którym Filip napisał na płocie: „Dyzio szajbus gania za Zuzką”. Ten sam. Zachciało mi się śmiać.

- Nareszcie cię poznaję. Nie za bardzo się zmieniłeś - wyszczerzyłam wszystkie zęby. - Powiedz wreszcie, co się takiego wydarzyło.

- Dwa razy leciałem na lotni - rzekł takim tonem, jakby oznajmiał, że właśnie odkrył nowy ład.

- Fajnie! Nareszcie! Od przedszkola marzyłeś... Bardzo się cieszę. - Uwiesiłam się jego ramienia. - Dyziu, powrzeszczmy sobie, dobra?

- Dobra - roześmiał się nareszcie - ale musimy wjechać w łopiany, bo nas dziadkowie ze skóry obedrą.

Wyrzucił bób, który trzymał w ręce i szybciutko okręcił mnie razem z wózkiem, po czym ruszył pędem w stronę ogrodzenia, od strony lasu, gdzie ciemniały zielenią łopiany. Poczułam się szczęśliwa, tak bardzo, że chciałam wrzeszczeć już, zaraz, nie czekając ani chwili dłużej.

Dyzio i ja, najwierniejsi przyjaciele od przedszkola, mieliśmy zwyczaj kwitować radość wrzaskiem. Musieliśmy nim uczcić każde dobre świadectwo, nowy ciuch czy też fajną książkę. Zapewne nie dla wszystkich jest to zrozumiałe i nic na to nie poradzę. Nam w każdym razie do szczęścia

potrzebny był wrzask. Nie ma co tu tłumaczyć i już. Teraz zaś Dyzio wrócił z Anglii. Szybował też na lotni. Dwa razy. Stanęliśmy w łopianach. Ja wrzasnęłam przeraźliwie pierwsza, za mną ryknął Dyzio i jeszcze tak kilka razy, już w duecie.

Przestaliśmy, kiedy zaboląły nas gardła, zdarte jak tarka do ziemniaków. Pysznie było. Poczułam, że żyję i gdybym mogła - zatańczyłabym jakiś dziki taniec radości.

Jechaliśmy w stronę domu i nareszcie mogliśmy normalnie rozmawiać. Wrzask jest dobry na wszystko.

- Opowiedz - poprosiłam - co czułeś szybując w powietrzu?

- Jakoś nie potrafię ci opisać tego uczucia. Pierwszy lot to jakby przedsmak, jeszcze w człowieku tkwi irracjonalny strach. Drugi lot - to jest właśnie to.

- Co?

- Nie ma jutra ani nie ma wczoraj... jest teraz... Rozumiesz? No nie. Teraz też nie ma. Jesteś ponad wszystkim, co cię przez całe życie otaczało. Nawet możliwość ewentualnego upadku na zbity łeb i w konsekwencji realna śmierć nie robią wrażenia, o ile w ogóle przeleci ci to przez głowę. Myślę, że tak czuje się wyzwolenie, wolność. Wolność absolutną. O, chyba tak to powinno się określić. Zapewniam cię, że rzadko kto tego doświadcza.

Pchał mój wózek nie bardzo zwracając uwagę na wyboje. Podskakiwałam, lecz ani mruknęłam. Był zbyt zachwycony, no i szczery. Nieczęsto mu się to zdarza.

Przed domem stał dziadzius, jak zwykle uśmiechnięty.

- Zgłupieliście, czy co? Bardziej delikatny skonałby na atak serca. Jak usłyszałem, zaraz pomyślałem: „Chyba Dyziek przyjechał i znowu razem wrzeszczą jak stado małąp”. No i zgadłem - powiedział bez cienia złości. - Niusiuchna czeka na bób, czy co tam miałaś przynieść.

- O rany! Dyziu! Kieruj do bobu, na lewo, zostawiliśmy koszyk - przestraszyłam się. - Obiad to nie przelewki w naszym domu.

Z tą Niusiuchna też była cała historia. Dziadziuś tak sobie nazwał swoją żonę. Halinę zresztą. Tak się przyjęło, że wszyscy bliscy znajomi, a i niektórzy mało znajomi, nie mówili inaczej o babci jak Niusiuchna albo pani Niusiuchna. Śmiesznie to brzmiało, gdy się patrzyło na wysmukłą, piękną starszą panią, mającą grubo po osiemdziesiątce. Ale jakoś nikogo to nie śmieszyło. Babcia miała klasę. Nawet Anielka Wilkoszów tak mówiła, a ona na klasach się zna, że ho, ho.

Anielkę zastaliśmy w kuchni. Przybiegła niezwykle przejęta.

- Słyszeliście? - nie wiadomo dlaczego mówiła półszepem. - Prokurator w miasteczku zapowiedział, że zamknie do więzienia inżyniera, znaczy pana Bodzia, i księdza proboszcza. Lodzia tak się zdenerwowała, że aż kiosk zamknęła i poleciała do miasteczka dowiedzieć się więcej na ten temat.

- Ależ Anielciu, nie powtarzaj plotek - zaperzyła się babcia.

- Też o tym słyszałam - pisnęła od pieca ciocia Brońcia.

- To nie plotki. Zresztą idzie sołtyska, zobaczymy, co ona wie - z przekazem powiedziała Anielcia.

Pani sołtys Bartusiowa dla przyzwoitości przycisnęła guzik domofonu. Oczywiście był nieczynny. Cała wieś miała domofony, bo jeden drugiemu pozazdrościł i natychmiast sobie założył, ale nikt nigdy ich nie używał. Cywilizacja cywilizacją, ale w Młyni nie zamykano drzwi przed nocą. Co innego pani Bartusiowa. Sołtys powinien przestrzegać reguł gry. Chociaż nomenklatura.

Bardzo śmiesznie z tą sołtyską, zwaną ostatnio przez całą wieś „nomenklaturą”. Po przemianach zaistniałych w naszym



kraju zmieniono także urzędników państwowych. W taki sposób zwolniono z pracy naczelnika gminy Wilkosza, ojca Anielki. Ale nie z racji jego przynależności do partii, tylko z powodu zlikwidowania gminy. Tego oczywiście nigdy Młynianie nie darują, ale to już całkiem inna historia. Sołtyskę też chciano zwolnić z zajmowanego stanowiska. Zebrała się nowa rada wybrana przez całą wieś. Zarzuty były poważne. Po pierwsze: Bartusiowa jest tak pyskata, że nikomu nie przepuści. Po drugie: plotkara nie do zniesienia. Wie wszystko o wszystkich i różne kłopoty, a także drobne draństwa ludzkie, roznosi po wsi szybciej niż telefon. Po trzecie, najważniejsze: jest ona sołtyska od dwudziestu lat, czyli nomenklatura, jakiej świat nie widział. Już miano przegłosować, kiedy wstał radny Fornal spod lasu. Zapytał, czy jest jeszcze drugi człowiek we wsi, który zna się na prawie w ogóle, a na podatkach i kredytach bankowych w szczególności.

Salę straży pożarnej zaległa śmiertelna cisza. Potem było głosowanie. Nie zgłoszono sprzeciwu. Sołtyską została ponownie pani Bartusiowa, bo i żaden naczelnik z miasteczka nie zna na pamięć wszystkich przepisów, wciąż nowych i stale się zmieniających, a dotyczących podatków i kredytów. Nomenklaturą to ona może i jest, ale w Młyni nie było człowieka, który by nie korzystał z szerokiej podatkowej wiedzy sołtyski.

Byłam na tym zebraniu i swoje wiem. Nie są ważne wydumane idee, kiedy nie służą człowiekowi. Sołtyską Bartusiowa całe swoje życie działała dla dobra mieszkańców gminy. Docenili to. Tyle tylko, że teraz zrobiła się strasznie zarozumiała. Uważa, że bez niej Młynia zapadłaby się pod ziemię. Niech jej będzie.

- Dzień dobry temu domowi i domownikom - powiedziała uroczyście. - Niedobrą nowinę wam niosę. Podpisać proszę.

Podsunęła dziadkowi jakieś pismo.

- Bodziu, to znaczy pan inżynier Jasień, na przesłuchanie do prokuratury jest wzywany. A starzy ludzie mówią, że porządni nie powinni kumać się z prokuratorami - powiedziała lodowato.

Dziadziusiowi zaczęły się trząść ręce, pismo przyjęła babcia i szybko, bez okularów podpisała.

- Prokuratorzy też są ludźmi i nie wiem, dlaczego mielibyśmy od nich uciekać - zauważyła.

- Dla księdza proboszcza też mam wezwanie, tyle że na drugi dzień po Bodziu, znaczy panu inżynierze. Pewnie nie chcą, żeby się porozumieli - zawiesiła znacząco głos.

- Dlaczego mieliby się porozumiewać... co do czego porozumiewać? - zdenerwowała się babcia.

- Jak to przestępcy. Czytałam...

- Niech pani Bartusiowa nie opowiada głupstw, bardzo proszę - zimno przerwał jej dziadzius. - Chodzi z pewnością o sztuczne jezioro. Wszyscy przecież wiedzą, że nie ma tu żadnego przestępstwa. Wyjaśni się, a prokurator musi postępować zgodnie z prawem.

- No właśnie - zgodziła się Bartusiowa, uciszona ostrym tonem dziadziusia, który niezwykle rzadko jest niemiły dla ludzi. - Pójdę już, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia, no i do księdza...

Wyszła.

- Nie wiem, z których to Kołeczków - w zamyśleniu ni stąd, ni zowąd powiedziała ciocia Brońcia. - O ziemię się upomina, ale o ile ja pamiętam, żadnego Kołeczka u nas nigdy nie było. Te ugory nadał kmieciom chyba jeszcze Kazimierz Wielki. Wiesz coś o tym, Ignaś? - zapytała dziadka.

- Jaki tam Kazimierz - zachnął się dziadzius. - Ugory należały do właściciela młynów i on je przekazał na pastwisko dla wsi. Młyny dawno temu diabli wzięli, jeszcze w dziewiętnastym wieku, tylko nazwa wsi została.

Właścicielami młynów byli Młodojcecy, nie zaś Kołeczki. Wcześniej czy później sprawa się wyjaśni, nie ma co rozmyślać, bo tylko się człowiek denerwuje. Lepiej powiedz, Dyziu, co ciekawego widziałeś w Anglii - zmienił temat.

Dyzió przysiadł znowu na poręczu mojego wózka. Krzesel nie ma, czy co?

- Nie za bardzo się rozglądałem. Właściwie nie zwiedzałem Anglii. Cały czas zajęty byłem przy lotni. Pan O'Brien ma kompletnego świra na punkcie latania. Synowie jego to ślamazary, na motorach jeżdżą i nie mają wyczucia lotni, tylko córka Alice... ale dziewczynie nie wolno w tym wieku... - Dyzió jak zwykle gubił się i jąkał opowiadając większemu gremium. - Alice mogłaby polatać dopiero za rok, teraz ma szesnaście lat.

Oho! Alice! Ciekawe, dlaczego nic mi nie mówił o jakiejś Alice - myślałam dość gorączkowo. W końcu co mnie to obchodzi. Zamazana Anglia. Zamazana Alice.

Zadzwoił telefon. Odepchnęłam mocno koła. Dyzió o mało nie upadł na podłogę, odskakując od poręczu wózka.

- Halo! - usłyszałam. - To ty Zuzanno? Tu Teresa. Dzwonił do mnie doktor Sznicer. Podobno Bodziowi i księdzu grozi więzienie? Co się tam u was dzieje?!

- Ależ ciociu, żadne więzienie... - uspokoiłam ciotkę i wyszeptałam głośno, by mnie usłyszano w kuchni: - Austria dzwoni. Mówi, że wujek idzie do więzienia.

- Pogłupieli - mruknął dziadzius.

- Źle zrozumiałaś... halo... halo... - wołałam.

- Zuzanka? - usłyszałam głos wujka Hansa. Widocznie wyrwał słuchawkę ciotce Teresie. - Ile kwota na kaucja? Zapytaj, ile kwota na kaucja? - pytał zdenerwowany.

- Zuzanko, kochanie - odezwała się znów ciotka - strasznie się denerwujemy. Może przyjedziemy po niedzieli, to pomożemy. Twoją mamę już zawiadomiliśmy...

- Ciociu, nie! Nie zawiadamiaj mamy! Nic się nie stało! To tylko Kołeczek... - wrzasnęłam i zaraz usłyszałam przerywany sygnał.

- Cholera jasna - zakląłam sobie klasycznie, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. - Przerwało. Jak ciotka zawiadomiła mamę, to będzie draka - powiedziałam w popłochu.

- Owaryjowali - rzekła po swojemu ciocia Brońcia.

- Co właściwie mówiła Tereska? - dopytywał się dziadziuś.

- Mówiła, że doktor Sznicer ją zawiadomił, iż wujek Bodzio i ksiądz idą do kryminału. Wujek Hans zaraz się spytał: „Ile kwota na kaucja?”. Oboje zdenerwowani jak sto diabłów. Jeszcze zawiadomili Wenezuelę, żeby było śmieszniej.

Ciotka Sabina stała w drzwiach. Wróciła ze wsi, czyli z drugiej strony Młynka.

- Nie uwierzę, żeby doktor plótł takie głupoty - oświadczyła.

- Telefon jednak był na pewno i ktoś musiał Teresce to opowiedzieć. Dawidek ma swoje pomysły - stwierdziła stanowczo babcia. - Nigdy nie wiadomo, co mu do łba strzeli.

- Nie mów tak, Niusiuchna. Proboszcz przez trzy lata w czasie wojny przechowywał Dawida i uratował mu życie. Od tego czasu nigdy się nie pokłócili, nigdy nie było między nimi najmniejszego nieporozumienia, chociaż praktycznie codziennie się widywali. Dlaczegoż by teraz doktor robił sobie takie żarty - bronił doktora dziadziuś.

- On się tylko świetnie bawi. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że proboszcz z Bodziem popełnili jakieś przestępstwo. Dawid zawsze uwielbiał nieporozumienia, lubił jak się coś działo. Kołeczek, prokurator i nasza Amelcia wydają mu się dostatecznie zabawni, by

poruszyć kilka rodzin, w tym jedną na drugiej półkuli - upierała się babcia.

- Ja wiem jedno: już dwa miesiące wisi mi nad głową ta sprawa i nie jestem pewna, czy mnie kiedyś szlag nie trafi, jak usłyszę nazwisko Kołeczek - rzekła smutnym głosem ciotka Sabina.

- A dlaczego właściwie to tak długo trwa? - zapytał Dyzio.

- Bo nie ma jeszcze takiego prawa, żeby Kołeczce oddawać za darmo ciężką ludzką pracę, a poza tym prokurator sam nie wie, co robić z tym całym bałaganem. Młynianie więcej szumu robią niż prokurator. Jeszcze nie mieli takiej sensacji i nudno im było - piekliła się ciotka Sabina.

Skierowałam wózek do wyjścia.

- Odprowadzę cię, Dyziu, chcesz? Pogadamy jeszcze o Anglii - zaproponowałam. Nie było mi wesoło.

Dyzio pchał mój wózek też bez zapału. Telefon chyba nas podenerwował.

- Ja tego wszystkiego nie rozumiem - zaczął.

- Och, daj spokój. Wszystko się zaczęło zaraz jak wyjechałeś, jeszcze w kwietniu... Nie będę ci opowiadać, bo mnie jeszcze, tak jak ciotkę, szlag trafi.

- Dobra, dobra...

- Powiedz mi lepiej, dlaczego właściwie nie zostałeś jeszcze dwa miesiące? Tata mówił, że możesz tam nawet zarobić trochę pieniędzy. Miałeś okazję do zarobku i zrezygnowałeś? - zaśmiałam się. - To niepodobne do ciebie, stary.

Dyzio sapnął jak rozjuszony byczek. Doskonale słyszałam.

- Było na trzy miesiące, to na trzy miesiące... Tata pisał, że mam przyjechać, a opowiada głupoty o zarobkach. - Był

wściekły. Nigdy nie umiał jasno wytłumaczyć, o co mu chodzi. - Gdzie chcesz jechać? - zapytał.

- Byle gdzie, może do mostu...

Jeździliśmy po całej Młyni. Ludzie uśmiechali się do nas przyjaźnie, choć do mnie jakby z litością. Raz ktoś zapytał o babcię, raz o dziadka i pięć razy o wujka Bodzia: „I co z wujkiem Bohdanem?” - Żyje! - odpowiadałam i śmiałam się wszystkimi zębiskami.

Mówiłam właściwie tylko ja. Dowiedział się, że zwolniono mnie z egzaminów i że zostanę we wrześniu warunkowo przyjęta do pierwszej klasy. - O ile dożyję - zaśmiałam się głośno.

- Kretynka - skwitował krótko moje obawy.

- Anielka po maturze dostanie malucha. Jej tata tak mówił u Bartusiów - poinformowałam.

- To co?

- Jak to co? Samochód na prezent po maturze?

- W Anglii to normalne.

- Ale nie jesteśmy w Anglii, tylko w Młyni.

- Mówiłem, że to mała różnica - mruknął. - Jak się czujesz? - zmienił temat.

Zamilkliśmy. Sprawy mojego zdrowia z dobrej, nieprzymuszonej woli, nigdy nie poruszam..

- Zachodzi obawa, że będę miała kolejną operację - powiedziałam najspokojniej, jak tylko mogłam.

- Dlaczego?

- O rany, coś się przyczepił? Trochę mnie pobolewa...

- Co to znaczy pobolewa? Mów jasno.

- Jest gdzieś tam zgrubienie i zaczynam je odczuwać.

Jasne?

- Całkiem jasne - przytaknął sucho. - Ojciec mi pisał prawdę.

- O mnie? - zdziwiłam się. - Twój tata zajmował się naszą przyjaźnią? Niepodobne do niego.

- Właśnie. Myślałem tak samo. A jednak pisał prawdę i dlatego mi się to nie podoba. - Dyzio był wyraźnie zmartwiony.

Wreszcie mnie olśniło. Rany boskie! Dyzio zrezygnował z zarobku w litych funtach angielskich ze względu na mnie! Dyzio rzucił Anglię, tę, jak jej tam, Alice, bo tata napisał mu, że mnie pobolewa. O kurczę! Bardzo chciało mi się ryczeć.

Podwiózł mnie pod sam próg domu. Mało mówiliśmy.

Na drugi dzień rano otrzymaliśmy telegram: „Pieniądze przekazane na wasze konto. Staszek pyta, kiedy przysłać adwokata. Przebyłam recesję zęba. Helenka”.

Mama działa nadzwyczaj sprawnie i szybko.

- Oczywiście nie recesję, tylko resekcję. Jak zwykle poczta do tyłu - domyślił się wujek Bodzio. - Żebym wiedział, kto tak narozrabiał, to bym mu nogi z tyłka powyrywał.

- Dam ci adres - burknęła babcia. - Już ja sobie z nim też pogadam.

- Pieniądze się przydadzą. Siano do cna wyschło latoś - zauważyła ciocia Brońcia, nie bez racji.

Potem były telefony. Do Austrii i do Wenezueli. Dziadkowie wydali równowartość zasiłku dla bezrobotnych, pobieranego przez wujka Bodzia. No cóż. Jak afera

- to afera.

Jeszcze trochę i pan Wilkosz, tata Anielki, były naczelnik gminy, kupi wraz z Kołeczkiem nie tylko sztuczne jezioro, ale dodatkowo całą wieś Młynię z potokiem Młynkiem. Że też w dawnych czasach, kiedy był człowiekiem na stanowisku, nie wykazał się takim zmysłem przedsiębiorczości.

Nowy system wyzwolił go z biurka gminy, a w nim samym pobudził nieznane pokłady zaradności. Hoduje pan Wilkosz perliczki. I to jak hoduje, proszę państwa! Cud i

dwudziesty pierwszy wiek! Podobno Biały Dom zabiega o mięso perliczek pana Wilkosza. Zapewne to reklama rodem z wyobraźni Anielki, ale fakt pozostaje faktem. Pan Wilkosz nie ma ani grosza długu, który by nad nim wisiał. Robi przeogromne pieniądze, buduje, inwestuje w jakieś, jemu tylko wiadome, przedsięwzięcia, ale wszystko to związał z perliczkami. Takie, zdawałoby się, głupie i mało delikatne ptaki. „Wilkosz zawsze był zmyślny” - mówi o nim ciotka Brońcia. Fakt. Zmyślny.

Wilkoszowi z bogactwem kojarzy się tylko praca, za to jego córeczce przewróciło się w głowie. Anielka stała się niemożliwa. Rozповіда o aucie, które dostanie po maturze. Wtajemniczeni mówią, że ma to być maluch. Sama Anielcia nie może się jeszcze zdecydować: volvo czy mercedes.

Przyszła do mnie tuż po moich rannych ćwiczeniach. Obydwie z ciotką Sabiną siedziałyśmy wykończone i ocierałyśmy spocone czoła. Cała byłam obolała, w kręgosłupie wyczuwałam tysiące drobnych igiełek.

- Co wy takie, jak zmokłe kury? - zapytała niezwykle taktownie.

- Ćwiczenia rehabilitacyjne - chłodno poinformowała ciotka i dla pewności zerknęła w wielkie stojące lustro. - Pogadajcie sobie, idę wziąć prysznic - dodała i odeszła.

- Jak wam idzie z Dyziem? - zapytała moja koleżanka.

- A co ma nam iść?

- Przecież chodzicie ze sobą, nie?

- Głupio... - zaczęłam i urwałam w pół zdania. - Do głowy by mi nie przyszło! Wariatka!

- O Jezu, tak myślałam. On tak wyrósł... Jakby inny z tej Anglii przyjechał. Ale masz rację - ciągnęła pocieszająco - i tak on za młody dla ciebie, że już nie wspomnę o twojej chorobie.



- Najlepiej nie wspominać - uciełłam. - Zdecydowałaś się, jaki samochód ma ci tata kupić po maturze?

- To jeszcze rok. Co tam będę naprzód wymyślać. Jeszcze się co stanie i nie będzie pieniędzy - raz była realistką.

- Nic się nie stanie - pocieszałam ją.

- Życie mi zbrzydło - powiedziała ponuro.

- Rany boskie! Co się stało? - wykrzyknęłam, bo wszystkiego mogłam się spodziewać, ale żeby Anielci, rozhukanej wielbicielce życia, śpiewu i tańca, właśnie zbrzydło życie, to mogło tylko przerazić. - Chora jesteś? Perliczki zdychają? - dopytywałam się.

- E tam, perliczki... - machnęła ręką i potrząsnęła jasną grzywą. - Zakochałam się, kurczę.

- Przeważnie bywasz zakochana co miesiąc i nie pamiętam, żeby aż brzydło ci życie - nie byłam uprzejma.

- To były takie tam flirty, nic znaczącego. Teraz to co innego - westchnęła ciężko.

- Znam toto?

- Nie mów o Zenku „toto”, dobrze? - Anielka usiadła z rozmachem na moim tapczanie, aż sprężyny zajęczały.

- Zenek? Który? Ten z orkiestry? - pytałam naprawdę zaciekawiona.

- Uhm... - mruknęła.

- Ten Zenek? Trzecia trąbka w orkiestrze? Nasz Zenek? - dopytywałam się dość głupio, bo rzeczywiście była to wiadomość.

- Ten sam - usłyszałam.

Zenek był sierotą. W wieku lat osiemnastu przyjęto go do pracy w naszym kółku rolniczym, ale tylko z litości i na usilną prośbę kierownika domu dziecka, z którego się Zenio wywodził. Robotny to on nigdy nie był, tak więc i do niczego nie doszedł. Za to pięknie grał. Kochał muzykę, kochał swoją trąbkę i orkiestrę strażacką w Młyni. Nie zauważyłam, żeby

latał za dziewczynami, a przecież niewiele ujdzie memu oku. Spokojny, ładny... O właśnie, nie wiem, czy przystojny czy nie. Raczej chyba ładny. Blondynek o niewinnych, niebieskich oczach. Pasował wyłącznie do trąbki. Do żadnego narzędzia pracy - za nic na świecie. Trudno też wyobrazić go sobie szaleńczo zakochanego w Anielci.

- Jesteś pewna? - zapytałam ostrożnie.

- Niestety jestem pewna, tylko nie jestem pewna, czy on jest we mnie zakochany - powiedziała tragicznym szeptem.

- Nie rozumiem, w czym problem. Masz chłopaka nie za górami i lasami, tylko na miejscu, w Młyni i tragizujesz - próbowałam usystematyzować zwierzenia. - Spotykacie się?

Kiwnęła głową bez słowa.

- To o co, u diabła, chodzi? - zdenerwowałam się, bo miałam dość min i jęków, zwłaszcza że cały czas leżałam na tapczanie, a dochodziła jedenasta.

- O tatę. Nigdy w życiu nie pozwoli mi wyjść za Zenka - znowu westchnęła tragicznie.

Zaśmiałam się.

- Przecież masz dziewczyno szkołę, co ty o jakimś zamążpojęciu opowiadasz. A jak ją skończysz, nie widzę powodów, dlaczego tata miałby się nie zgodzić. Zenek przyzwoity chłopak, cała Młynia to potwierdzi.

- Ale biedny... - zaczęła buczyć. Jak Boga kocham, rozplakała się.

Do pokoju weszła ciotka, wyświeżona, pachnąca.

- Przykro mi dziewczynki, ale muszę was rozdzielić na chwilę. Zuzanko, wylaż z wyra, babcia cię potrzebuje. Masz skoczyć na wieś. - Ściągnęła poduszki z tapczanu, nie patrząc, że jeszcze się nie podniosłam.

- To ja już sobie pójdę. Wieczorem się zobaczymy. Cześć - dość niemrawo wymamrotała Anielcia i wyszła.

Nie lubię ceremonii wstawania. Pamiętać należy, że poruszanie się jest dla mnie niezwykle męczące, a zmiana pozycji z leżącej na stojącą - podwójnie męcząca. Gramoliłam się więc dość niezdarnie.

- Coś się stało? - zapytała ciotka.

- Nie. Chyba nie... - nie wiedziałam, czy mam opowiedzieć ciotce zwierzenia Anielki. - Ot, takie tam...

- Bo ja bym przysięgła, że Anielcia zakochana - powiedziała ciotka i roześmiała się radośnie.

- Skąd, u diabła, wiesz? - zdziwiłam się, bo ja sama nic takiego nie dostrzegłam, a mam się za znawcę swojego pokolenia.

- Wystarczy popatrzeć. Wiem też w kim - zaśmiała się. - Na ostatnim koncercie grał tylko dla niej. Ja ci to mówię.

Zdębiałam. Ciotka jest niesamowita. Nie wiem dlaczego, ale rozzłościłam się. Bo też każą mi „skakać” na wieś. Dobrze wiedzą, że z trudnością siedzę na inwalidzkim wózku, a babcia z upodobaniem przywołuje mnie, żebym natychmiast gdzieś „skoczyła”. Nie jestem pewna, o co byłam taka wściekła. O miłość Anielki widoczną dla wszystkich czy też o cholerne „skocz na wieś”? Taka widoczna dla wszystkich miłość to niezwykła sprawa...

Piękna. Wyobraziłam sobie, jak ciotka Sabina widzi na własne oczy, że ktoś „gra tylko dla Zuzki”. Nie sądzę jednak, żeby kiedykolwiek do tego doszło.

Skoczyłam na wieś sama. Najgorzej przejechać przez ten wielki most. Bale śliskie, nierówne, bardzo ciężko pchać koła. Chyba, żeby ktoś popchnął. Tym razem nie było nikogo. Dyzio najął się do pracy. Przynajmniej tak mówił dzwoniąc do mnie, podobno w przerwie śniadaniowej.

- Nająłem się u Wilkoszów do pracy - oświadczył w pośpiechu.

- Coś ty? A szkoła?

- Tylko do nowego roku szkolnego. Zarobię trochę, nawet nie tak znowu mało. Potrzebuję pieniędzy na rurki aluminiowe...

- Racja, ja za pchanie wózka mogę tylko zapłacić zjeżdżaniem na wózku bez trzymanki - zakpiłam.

- Twoi rodzice też by zapłacili, może nawet lepiej niż Wilkosz, ale to dopiero po wakacjach. Aha, nie mów głupio o zjeżdżaniu bez trzymanki. Wcale mi na tym nie zależy, ale dla zasady trzeba płacić. Zrozumiała kretyńka?

Nie wiedziałam, czy żartuje czy mówi poważnie.

- To może niech rodzice płacą? Ciężko mi samej...

- poskarżyłam się.

- Po wakacjach. Muszę zbadać, jaką recepturę stosuje Wilkosz. Może się przydać, jakby się coś organizowało...

- krzyczał w słuchawkę. - Praktyka to praktyka. Kończę, bo jest już po przerwie. Po południu cię zawiozę, gdzie będziesz chciała.

Na wsi spotkałam starą Matyldę. Zapytała o Bodzia, oczywiście. Chciała wiedzieć, kiedy nareszcie będzie rozprawa sądowa, by móc pójść i wygarnąć temu całemu Kołeczкови i dodatkowo sądowi. Uspokoiliam ją i pojechałam, zgodnie z przykazem, do sklepu.

Wywróciłam się dopiero w drodze powrotnej. Wózek pośliznął się już na pierwszych balach mostu, przechylił się i runęłam po skarpie w stronę Młynka. Dobre sześć metrów koziołkowałam z wózkiem, wreszcie wylądowałam - ja osobno i wózek osobno. Ot, „skoczyłam” sobie do wsi.

Nie krzyczałam. Na drodze prawie nie było ludzi, a jednak natychmiast zebrała się koło mnie spora gromadka. Co by nie mówić, mieszkańcy Młyni są uczuleni na moje inwalidztwo. Zawsze, gdziekolwiek bym była, czuwa nade mną młyńskie oko. Radny Fornal podniósł mnie z ziemi jak piórko, Filip

Bartuś przytaskał wózek, a Lodzia z kiosku zamoczyła chusteczkę w Młynku, żeby ewentualnie otrzeć rany.

- Nic mi nie jest - uśmiechnęłam się trochę przez łzy. Moja niesprawność zawsze mnie peszy.

- To chwała Bogu. Wytrę wózek, bo trochę się zachlapał.  
- Lodzia zauważyła, że jest mi przykro. - Filip, zawieź Zuzkę do domu. O, jeszcze zakupy... - Pozbierała puszki. - Jakby tak dziadkowie się dowiedzieli, bardzo by się zmartwili. Lepiej nic nie mów.

- Dobrze - zgodziłam się.

W domu nikomu nic nie powiedziałam. Po kolacji zadzwonił telefon.

- Rzuciłem tę pracę. A co mi tam - mówił Dyzio. - Nie ruszaj się z domu beze mnie.

- A rurki aluminiowe? - spytałam wzruszona.

- Kupi się, jak twoi rodzice przyjadą. Chyba zapłacą, nie?

- Na pewno - przeszło mi wzruszenie. - Właściwie nieźle radzę sobie sama...

- Właśnie sobie dziś poradziłaś. Kretynka - burknął i rzucił słuchawkę.

Późno w nocy weszła do mnie babcia ze świecą w ręku.

- Zuzanko, śpisz? - zapytała cicho.

- Nie, a co?

- Dzwonił pan Wilkosz. Pytał, czy nie wiesz, gdzie jest Anielka, bo od rana nie ma jej w domu i bardzo się martwią.

- Pojęcia nie mam. Była u nas rano, widziałaś przecież - odparłam i poczułam dziwny niepokój. Anielka była zupełnie inna niż zwykle. Wyciszona, zmieniona.

- Dobranoc - powiedziała babcia i pogłaskała mnie po głowie.

Kocham babcię. -

- Dwadzieścia pięć metrów bieżących rur aluminiowych to chyba jednak za mało. Pomyśl: sterownica, krawędź natarcia, dźwigar, kil, maszt... - wyliczał Dyzio z przejęciem.

Słuchałam i nic nie rozumiałam. Jechaliśmy do kółka rolniczego odebrać automatyczną polewaczkę. Coś przydatnego, chociaż nie produkowanego prawdopodobnie nigdzie na świecie, tylko w naszym kółku. Projekt opracowany został przez radnego Fornalę, do spółki z naszym wujkiem Bodziem, w długie letnie wieczory, pod gruszą. Moja babcia się śmieje, że jeżeli jeszcze nie wszystko na świecie jest zmechanizowane, to tylko dlatego, że oni dwaj tam nie dotarli. Polewaczka miała polewać, rzecz jasna, ale także przesuwać się na przemian w pionie i w poziomie.

Dyzio pchał mój wózek i truł monotennie:

- Gdybym użył ortalionu budując lotnię w jej pierwotnym kształcie, to znaczy w takim, w jakim chciałem jeszcze w zeszłym roku, wystarczyłoby mi dwadzieścia trzy metry kwadratowe, ale, psiaakrew, jest jeszcze inny, lepszy materiał. Dakron. Teraz budują już całkiem inne lotnie. Tego dakronu trzeba by gdzieś około czterdziestu pięciu metrów, to jest podwójnie, rozumiesz?

- Uhm... - mruknełam. Nic nie rozumiałam.

- Może się zdecyduję na nowy model z nowoczesnym materiałem, ale ile to będzie kosztować? Rozrysowanie schematu też nie jest proste. Będę musiał przysiąc. Twój wujek obiecał mi pomoc. Najpierw muszę zdobyć rurki. Koniecznie. Dawniej były w składnicach harcerskich, teraz nie mam pojęcia, gdzie je można kupić. Wiem, że huta w Kętach coś takiego robi, ale czy to się dowiesz dokładnie?! Sama już nie wiedziałam, czy Dyzio mówił to wszystko do mnie czy do siebie.

- Zapytaj ciotkę Sabinę. Ona przeważnie wie wszystko - poradziłam.

- W broni palnej, nie powiem, jest oblatana. O lotni już z nią rozmawiałem. Nie wie. Uważaj, będzie dziura - ostrzegł mnie, nim wózek gwałtownie podskoczył. Nie udało się ominąć dziury na całej szerokości drogi.

Jechaliśmy chwilę w ciszy, zamyśleni, każdy o swoim problemie.

- Dyziu... - zaczęłam nieśmiało. - Jak myślisz, gdybym sobie ufarbowała rzęsy i brwi... Rude włosy to jeszcze nic, ale jasna oprawa oczu nie jest najefektowniejsza.

- Co? - obudził się. - Co chcesz farbować?

- Brwi i rzęsy, przecież mówię.

- Po co?

- Żeby było ładnie, tumanku. Rany, jaki ty jesteś! - oburzyłam się szczerze.

- A jest brzydko? - zdziwił się.

- No pewnie, kurczę! - rozzłościłam się.

- Pokaż. - Dyzio przeszedł przed wózek i dokładnie się przyjrzał moim oczom. - Ale się fajnie błyszczą w słońcu... Gdyby dodać dakronu w kolorze złotawoczerwonym... - rozmarzył się.

- Powiedz mi, czy nie mógłbyś jeden jedyny raz przestać być sobą? Na przykład przeobrazić się w rycerza podobnego do Zawiszy Czarnego? - wycodziłam przez zęby.

- Po co? - zapytał nic nie rozumiejąc.

- Po nic. Rzęsy i brwi i tak ufarbuję. No jedź, do diabła! - krzyknęłam. Byłam zła jak osa.

Dyzio nic nie zauważył. Przysięgłby zapewne, że nie było żadnej scysji między nami. A była.

Jechaliśmy chwilę w milczeniu. Wtem zza węgła domu Chudziaków wypadł Burek. W pełnym biegu skoczył na moje kolana. Sponiewierany jak nieboskie stworzenie wytarł w moją czyściutką bluzkę całą wilgoć lasu i brudnej sierści. Liznął mnie dodatkowo trzy razy po nosie i policzku. Burek

jest psem rasowym, niech sobie nikt nie myśli. Seter irlandzki czystej krwi. Nazywa się Burek, bo - jak wszystkim wiadomo - w domu Jasieniów zawsze były psy i zawsze wabiły się Burek. Tradycja - to tradycja. Nie mogę sobie, na przykład, wyobrazić domu dziadków z psem Azorem czy jakimś tam Lordem.

- Buruś, Buruś - zawołał z tkliwością Dyzio.

- Złaź, draniu! Cała jestem mokra i brudna, piach mi w zębach trzeszczy - wrzasnęłam i mało delikatnie zrzuciłam natręta na ziemię.

W tym momencie doszła do nas pani Małgosia, siostra księdza proboszcza, prowadząca mu od lat gospodarstwo. Bardzo już postarzała, poruszała się jak piórko łabędziego puchu. Delikatnie i jakby na zwolnionym filmie. Jeżeli ktoś zwiwną i eteryczną postać pani Małgosi próbował zestawić z jej usposobieniem, zazwyczaj bardzo się zdziwił. Pani Małgosia to stalowy charakter. Delikatna rączka okazywała się dłonią z żelaza. Mocno i pewnie trzymała ster proboszczowego gospodarstwa, a także samego proboszcza, którego - jak mawiała wtajemniczonym - „ten wariat Widuś sprowadza na złe drogi”.

- Dobrze, że was spotykam, moi drodzy. Mam sprawę do Fornala. Nie dojechalibyście do niego? Samej mi za daleko, a muszę go dzisiaj widzieć. O rany, Zuzanko, weź tego psa! Obsikał mi buty! - krzyczała.

Rzeczywiście miał zwyczaj obsikiwać gościom nogi. Wybranim tylko - i to jest pewna pociecha. Listonoszowi Stasiakowi nigdy jeszcze butów nie obsikał. Odwracał się do niego tyłem.

- Ta jego radość jest dość paskudna - powiedziała już nieco spokojniej pani Małgosia. - Słuchajcie, co się wydarzyło. Widuś wyjechał nad morze. W tym roku sam, bo jak wiecie - głos jej stwardniał - proboszcz będzie



przesłuchiwany przez prokuratora i w żaden sposób nie może się ruszyć z domu.

- Podobno Kołeczek wyjechał do Niemiec i na razie trzeba wstrzymać przesłuchania - poinformowałam o tym, co usłyszałam rano od dziadziusia. - Bez Kołeczka i jakichś dodatkowych dokumentów pan prokurator nie może przesłuchiwać.

- A niech by został u tych Niemców - westchnęła pani Małgosia. - Dokumentów on nie ma, moi kochani. Ma jedynie odpisy z odpisów. Nasz adwokat to sprawdził. Mniejsza jednak o Kołeczka. Wyobraźcie sobie - zawiesiła głos - Widusia okradli. Został w ręczniku!

- Co to znaczy: „w ręczniku”? - Dyzio najwyraźniej osłupiał.

- Pojechał nad morze. Czterdzieści lat jeździli razem. Najpierw rowerami, potem motocyklem, jeszcze później samochodem, aż teraz mieli jechać koleją. Proboszcz nie mógł, przez tego Kołeczka. Doktor pojechał. I stało się. Mówiłam: „Niech Widuś sam nigdzie nie jedzie, bo z Widusia taka ofiara losu”, ale mnie nie posłuchał. Pierwszego dnia, zaraz po przyjeździe, dostał domek z prysznicem i oczywiście zaraz wlaź za zasłonę. Nie zamknął drzwi, rzecz jasna, jak to ofierma. Rozebrał się, ułożył na krześle ubranie i wszedł pod prysznic, gdzie śpiewał na cały głos arie, przygłup. Złodziej wszedł, zabrał nie otworzoną jeszcze walizkę, zgarnął leżące na krześle ubranie, zegarek, wszyściutkie dokumenty i pieniądze. Ręcznik, w którym został doktor, był przydzielony przez kierownika kempingu, czyli też nie jego. Ostał się więc nagusieńki. Powtarzam wam: przygłup. - Pani Małgosia poczerwieniała z emocji.

Zaczęłam się śmiać jak wariatka. Pokładałam się ze śmiechu, a Burek szczeakał zdziwiony.

- Z czego się śmiejesz? - spytała urażona nieco pani Małgosia. - Nie ma się tu z czego cieszyć. W tym ręczniku poszedł do kierownika i uprosił go, aby mógł na kredyt zadzwonić do domu. Podobno sąsiad z domku obok pożyczył mu szorty, bo nie wiem, jak by chodził w ręczniku. Dlatego potrzebny mi Fornal. Musi jechać i przywieźć wariata. Trzeba go wykupić. Proboszcz chciał jechać, ale przecież nie poślę jednego starucha, żeby odnalazł innego starucha. Zgubią się obaj. Ja już w nic nie wierzę.

- Ja się śmieję nie tyle z pana doktora, ile z wyraźnej zemsty losu - wyjaśniłam. - Babcia miała właśnie obedrzeć doktora ze skóry, a potem udusić. Narobił plotek w rodzinie. Tata omal nie przysłał adwokata, pieniądze zresztą przysłał. Wszystko na wykupienie wujka z więzienia.

- To do niego podobne. Mnie też straszy, że będę paczki nosiła bratu. - Pani Małgosia uśmiechnęła się smutno. - Wyjaśniliście tę sprawę?

- Babcia telefonowała. Cały dzień musiała czekać na połączenie z Wiedniem i Caracas.

- Kompletny wariat. Zresztą zawsze był takim figlarzem, że trudno było w domu wytrzymać - rozrzewniła się.

- Ojej! Przecież musimy jechać do kółka rolniczego po zraszarkę - przypomniałam sobie.

- No widzisz, dziecko, jak to dobrze się składa - ucieszyła się pani Małgosia. - Poproście Fornalą, żeby do mnie przyszedł jak najszybciej. Tylko mu nic nie opowiadajcie, już ja sama wszystko załatwię. Pędzę do domu, bo ziemniaki mam na piecu. Rozgotują się do cna - uprzytomniła sobie i zwiwnie zniknęła za bramą ogrodu.

- Swoją drogą, ma doktor pecha - zauważył Dyzio. - Jeden dzień z dala od domu, a już wszystkiego się pozbył. Mnie się nic nie zgubiło, chociaż wyjechałem na trzy miesiące.

- Ty umiesz pilnować swego - powiedziałam cokolwiek ironicznie. - Doktor to szczerą duszą, do głowy mu nie przychodzą możliwości kradzieży.

- Nie musisz się wyzłośliwiać - burknął i pchnął dość mocno mój wózek.

- Przepraszam.

- Dobra. Nie widzę nic złego w tym, że pilnuję swego. Najpierw przecież muszę sam wszystko zdobyć. Nigdy nic mi łatwo nie przychodziło - rzekł dobitnie.

Polewaczka (czy też zraszarka, trudno to nazwać) okazała się piekielnie dużą maszyną i jak na moje kolana, niestety, zbyt ciężką. Majster Kotyrka postawił ją obok mojego wózka.

- Rachunek prześlę starymu Jasieniowi. Możecie zapłacić przelewem - oznajmił i chciał się szybko oddalić.

- Ale jak my to mamy zabrać? - zapytałam.

- Nie moja sprawa - uciał niegrzecznie.

- Czy jest pan Fornal? Mamy do niego interes. Chcielibyśmy z nim porozmawiać - grzecznie odezwał się Dyzio.

- Nie chodzę za Fornalem. Może znowu siedzi w gminie albo w straży pożarnej - fuknął. - Taka to i jego praca.

- Szkoda. Dziękujemy panu bardzo. Do widzenia - pożegnałam się przesadnie uprzejmie.

Zostaliśmy na placu jak dwa słupy. Rozglądaliśmy się bezradnie, nie mając pojęcia, co z tym piekielstwem zrobić. Pies znowu obsikał koło mojego wózka.

- Nie zabraliście żadnego pojazdu, żeby przewieźć zraszkę? - usłyszeliśmy nagle gdzieś z boku. Był to Fornal we własnej osobie. - Zaraz, może coś wymyślę - dodał.

Jak zwykle, tak i tym razem, pan Fornal coś wymyślił. Na wszystko miał radę. Przytaskał skądś dziecienną spacerówkę, mocno co prawda sfatygowaną po wierzchu, ale jej koła były

w idealnym stanie. Załadowali na nią zraszarke i umocowali ją linką.

- Zuzia będzie pchała zraszarke, a Dyzio Zuzię - zaproponował wesoło Fornal. - Nie wiecie, co z Zenkiem? Nie przyszedł na próbę orkiestry, a i w pracy go nie ma. Co prawda jest już zwolniony, ale jeszcze kilka dni miał do przepracowania.

- Wszyscy dzisiaj kogoś szukają - przypomniał sobie Dyzio. - Właśnie pani Małgosia prosiła, żeby pan koniecznie do niej przyszedł, możliwie jak najszybciej.

- Coś się stało, zepsuło? - dopytywał się.

- Nie. Doktor w Mielnie, nad morzem, siedzi w ręczniku, bez grosza i bez ubrania. Trzeba go wykupić i przywieźć do Młyni - wyjaśniłam z radością.

- Poczekaj chwilę, powiem tylko, że wychodzę. Pomogę wam pchać zraszarke. Pójdę do pani Małgosi. Jak mnie szuka, znaczy potrzebuje - rzekł i ruszył biegiem do pobliskiego biura.

Wędrowaliśmy sobie pomalutku. Opowiedzieliśmy panu Fornalowi dokładnie epopeję doktora Sznicera, pośmialiśmy się - bez złośliwości - z pani Małgosi, trzymającej silną ręką swego brata proboszcza, a także doktora.

- Jeśliby tak komu nieznanemu powiedzieć, że to najwięksi przyjaciele, jakich ziemia nosi, to by nie uwierzył - zauważył Fornal. - Ksiądz i Żyd. Pomyślcie, tyle lat... Przyzwyczailiśmy się ich widzieć zawsze razem, ale nie jest to zwyczajne.

- Babcia mi dokładnie opowiedziała, jak to z nimi było i wcale się nie dziwię ich przyjaźni. Ksiądz znalazł doktora gdzieś w chaszczach prawie nieżywego. To było podczas wojny. Odtąd Dawid Sznicer był u niego. Trzy lata w sutannie dla niepoznaki chodził. Ciocia Brońca mówi, że prowadzał

pogrzeby, ale chyba to nieprawda - informowałam wyczerpująco.

- Tak było. Tata opowiadał - wtrącił Dyzio. - Po wojnie trochę studiował w Poznaniu, a potem leczył w Młyni, aż do emerytury. Codziennie z księdzem grają w zechcyka.

- W sześćdziesiąt sześć. Skąd wzięłeś tego „zechcyka”? - poprawiłam go.

- W Młyni gra się w zechcyka. Nie wymądrzaj się - burknął. - Twój dziadek, a czasem też i mój też z nimi grywają.

- Ale ksiądz i Żyd... - rzekł z zadumą pan Fornal.

- O, to nie ma znaczenia. Oni się wyklócają o wszystko. Całe życie się kłóca. Może to i lepiej, że mają o co... - Poczulałam ból pleców. - Stańcie na chwilę, taka jestem obolała po tym wypadku. Wszystko mnie boli - szepnęłam.

- Jaki znowu wypadek? - strwożył się pan Fornal.

- We wtorek jechała sama ze wsi, bale na moście były śliskie po deszczu, koło wózka się omsknęło i przekoziółkowała z wózkiem ze skarpy - wyjaśnił Dyzio.

- Ach tak, przecież ją podnosiłem. Ale chyba nic ci się nie stało? Mówiłaś, Zuzanko, że nic ci się nie jest - przypomniał sobie pan Fornal.

- Nie, nie... - mruknęłam. - Chwilę postójmy...

Obniżyłam sobie plecy i przybrałam pozycję półleżącą.

Ostry ból pomału przechodził, najpierw w mdlące uciskanie, potem w jeszcze bardziej mdlące osłabienie.

Zza zakrętu, niczym pocisk, wyskoczył olbrzymi biały samochód. Może nie był taki wielki, ale jechał prosto na mnie i wydało mi się, że jakiś biały potwór pędzi, by mnie zabić. Otrzeźwiałam natychmiast i wrzasnęłam w śmiertelnym przerażeniu. W tej samej niemal sekundzie Dyzio podniósł kamień i z całej siły cisnął w stronę samochodu. Trafił w bagażnik. Wyraźnie usłyszeliśmy dźwięk. Kierowca

gwałtownie skręcił kierownicą, dodając gazu, tylne koła straciły przyczepność i samochód ustawiony poprzecznie do drogi przemknął koło mnie jak błyskawica, Jeszcze kilka razy zarzuciło jego tyłem, aż w końcu kierowca wyprowadził pojazd z poślizgu i po chwili jezdni była pusta. Tylko ja czułam wciąż na twarzy powiew powietrza, a na plecach jakby ciężką bryłę lodu.

- Bandyta, cholera, bandyta!!! - wrzeszczał Dyzio.

- Gdzie mu się tak śpieszyło? - zastanawiał się pan Fornal.

- Przecież mógł ją, kretyn, przejechać. Żebym wiedział, kto to był... - wściekał się Dyzio, cały rozogniony, szukając kamieni.

- Nie ma u nas takiego samochodu - ani w Pszenicznej, ani w miasteczku. - Pan Fornal wiedział wszystko o samochodach i ich właścicielach w promieniu stu kilometrów.

- Mogłeś mu zrobić krzywdę - odezwałam się wreszcie, zdziwiona, że nic mnie nie boli. - Rzuciłeś kamieniem jak ostatni z niewydarzonych skinów.

- Nie. Lepiej, żeby on zabił ciebie! Tak? O Jezu! Co za kretynka - huczał, zaciskając pięści, a w każdej trzymał kamień. - Przysięgam, że gdyby tu przyjechał jeszcze raz, znowu walnąłbym go kamieniem, tylko lepiej bym celował.

Prawie pogniewani przyjechaliśmy do domu. Prawdę mówiąc nie wiem, dlaczego miałam pretensje do Dyzia. Wszak zachował się po rycersku. A że chciał walczyć na kamienie? Przecież nie ma kopii...

Nie powiedziałam ciotce Sabinie, że upadłam wraz z wózkiem i to całkiem groźnie. Po co mają się wszyscy martwić. Oczywiście, kiedy weszła rano do mojego pokoju, już po minie poznałam, że wie o całym wydarzeniu.

- Mogłaś się zabić - powiedziała zamiast powitania.

- Mogłam. Mógł mnie też przejechać ten automobilista z bożej łaski. Prawie się otarł o mnie. Jechał jak wariat.

- Uśmiechnęłam się do cioci, jak umiałam najmilej. - Czyli nie było mi przeznaczone.

- Rany boskie, co za czasy. Nawet w Młyni możesz zginąć w wypadku samochodowym. Do tej pory myślałam, że nasza wieś opiera się wszelkiemu światowemu złu - dość filozoficznie zauważyła ciotka. - Teraz mamy bezrobocie, afery kryminalne, na psa urok, i samochodowych piratów - dorzuciła z niesmakiem. - Przewróć się na brzuch, wysuń maksymalnie brodę - poprosiła.

- Cywilizacja - wykrztusiłam z ustami w poduszce.

- Wiesz, co myślę o takiej cywilizacji? - z przekąsem zapytała ciotka.

- Nie wiem - wymruczałam.

- Brzydko myślę. O, masz dwa krwiaki. Cholera! Tego nam tylko było trzeba! Jak jeszcze raz usłyszę, że jedziesz sama do wsi, to zobaczysz, jaką ci zafunduję awanturę...

Weszła babcia, a za nią pani Amelia Kita, nasz miejscowy szeryf. Na szczęście ciotka przytomnie obciągnęła mi koszulę.

- Prowadzę wam Amelcię, nie krepujcie się, to swoja - rzekła niefrasobliwie babcia.

Od jakiegoś czasu przyjmujemy gości rano, czyli w czasie najmniej do tego odpowiednim. Pani komisarz była w cywilu, w swojej bardzo długiej spódnicy w kwiaty i bardzo luźnej kamizeli. Jej perkaty nosek uśmiechnął się jeszcze przed pulchnymi wargami. Trzeba przyznać, że usta pani Amelia ma prześliczne. Kiedy się uśmiechnie, uroku mogłyby jej pozazdrościć nawet najwybitniejsze gwiazdy filmowe.

- Cześć wam, dziewczyny - powiedziała radośnie.

- Cześć, Amelciu, ale jak chcesz coś wiedzieć o Bohu, to ja cię bardzo proszę, wezwij go sobie, a nie w domu - rzekła sucho ciotka. - Ja się do afer nie nadaję...

- Nic o Bohu. Mogę tylko zapytać, czy dobrze się czuje...  
Ja w zupełnie innej sprawie - zapewniła nas pośpiesznie Amelia i usiadła w fotelu z zielonego pluszu.

- Mąż czuje się dobrze - poinformowała ciotka.

- Znakomicie. A Zuzanka?

- Też świetnie, dziękuję - odpowiedziałam.

- To tyle o rodzinie. Mogę zapalić? - zapytała i nie czekając na odpowiedź wyciągnęła papierosa, pomalutku zapaliła i dmuchnęła chmurą dymu w stronę otwartego okna. - Pałę, bo otwarte okno. Czy wiecie, że Anielka zniknęła i nikt nie wie, gdzie jest? Podobno byliście ostatnimi osobami, które widziały Wilkoszównę.

Zaraz, zaraz... Anielka była u nas, to fakt. A niech to diabli!

- To chyba ja z nią rozmawiałam ostatnia - wykrztusiłam przestraszona. - Ale co się z nią stało? Zabiła się? Rany boskie!

- No, chyba nie... - odparła niepewnie pani Amelia.

- W każdym razie pan Wilkosz zgłosił zaginięcie córki. Minęły dwadzieścia cztery godziny i próbuję się zorientować, co się mogło stać. Anielka przecież jest wesołą, pełną temperamentu dziewczyną. Za rok zdaje maturę, czyli niegłupią dziewczyną.

- Pusta i głupia - przerwała jej ciotka Sabina. - Coraz w kimś zakochana.

- Wstydzilibyś się, ciociu - obruszyłam się. - Żeby tak za czyimiś plecami mówić o kimś - to nie w porządku.

- Przepraszam. Może niegłupią, ale pusta na pewno - upierała się ciotka.

Babcia przyniosła trzy kubki kakao i po olbrzymim kawale babki.

- Jedzcie na zdrowie - powiedziała łagodnie i wyszła.



- Ale psychota! - ucieszyła się pani Amelia, lecz zaraz potem posmutniała i dodała: - Właściwie nie powinnam pić kakao i jeszcze do tego jeść słodkiej babki.

- Ten jeden raz... - namawiała ją ciotka.

- Ten jeden raz - zgodziła się i z miną kota pijącego świeżą śmietankę wbiła swoje olśniewające zęby w kawał ciasta. - Możesz sobie, Zuzanko, przypomnieć, o czym rozmawiałyście? - spytała, nie czekając na przełknięcie sporego kęsa.

- Nie mogę - odrzekłam. - Myśmy tak, jak to dziewczyny... o wszystkim i właściwie o niczym...

Mówiąc to przypomniałam sobie, że Anielka opowiadała mi o swojej wielkiej miłości do Zenka. O Chryste! Może się zabiła naprawdę?! Chyba muszę jednak coś napomknąć o Zenku.

- Mówiła, że jest zakochana - powiedziałam z wahaniem.

- Jak zwykle. Co dwa tygodnie Anielka jest zakochana - wtrąciła ciotka obojętnie. - Nic jej nie będzie. Ma tuzin ciotek, może siedzi u jednej z nich.

- Nie ma jej u rodziny. Już to sprawdził pan Wilkosz

- wyjaśniła Amelia, popijając kakao.

- W kim zakochana była Anielka? Znasz jej chłopaka?

- W Zenku. W tym, co pracuje w kółku rolniczym, to znaczy właśnie został zwolniony z pracy. Aha, on jest trzecią trąbką w orkiestrze. Musi go pani znać. Ładny chłopak.

- Znam, oczywiście, że znam. Pan Wilkosz nic o tym nie wiedział albo uznał to za mało ważne. Nic mi nie mówił.

- No właśnie - zauważyłam, czując, że nareszcie wszystko staje się dla mnie jasne. - Anielka mówiła, iż ojciec nigdy się nie zgodzi na małżeństwo z Zenkiem, bo on jest biedny i jeszcze do tego grajek. Tak. Tak właśnie mówiła i ja uważam, że muszę to pani powiedzieć - wyznałam, uspokajając sumienie. - Sama się dziwiłam, dlaczego ona się tak

pryczepiła akurat do Zenka. On jest ładny, tylko że nie nadaje się na... na... - zająknęłam się.

- Na kogo?

- Na romantycznego kochanka. No, nie można się zabić dla Zenka. Chyba nie można...

- A kto tu mówi o samobójstwie? - zdziwiła się pani komendant.

Nagle uświadomiłam sobie, że przecież Zenka nie było w pracy ani na próbie orkiestry, co jest do niego wręcz niepodobne. Zenek nie mógł zapomnieć o próbie!

- Zenka wczoraj nie było w pracy ani też na próbie orkiestry - rzuciłam odkrywczo. - Może razem się zabili?! - dodałam dramatycznie.

- Pryczepiła się do tego zabijania się jak rzep do psiego ogona. Odejdź, Burek! - powiedziała gniewnie ciotka, odpędzając łaszącego się psa.

- Sprawdzimy dom Zenka. Oj, coś mi się wydaje, że będziemy poszukiwać dwóch osób. Tego jeszcze w Młyni nie było! - ucieszyła się pani Amelia. - Taka nudna była nasza służba, aż tu teraz mam dwie afery i jeszcze do tego zaginięcia.

- Jest się z czego cieszyć - rzekła zjadliwie ciotka Sabina. - Zwłaszcza z afer.

- Aha, a propos, pan prokurator prosił o przekazanie panu inżynierowi, że przyśle mu inne wezwanie na przesłuchanie. Na razie musimy poczekać na dokumenty pana Kołeczka. Rzecz w tym, że przedstawił on odpis prawa własności. Musi być oryginał albo akt sądowy sporządzony na podstawie zeznań świadków. Gmina zawładnęła pewnym terenem, chociaż nie był on nadany podczas reformy rolnej. Chodzi tylko o prawowitego spadkobiercę.

- Amelciu, mówisz tak, jakbyś nie była rodowitą Młynianką - zdenerwowała się ciotka. - To były ugory, nawet

trawa tam ledwo rosła. Kto miał takie ugory przydzielać i komu?! Zawsze były wsiove. Należały do wszystkich.

- Co ja wiem sama z siebie to jedno, a co wynika z dokumentów - to zupełnie co innego, Sabciu droga. Pan Kołeczek domaga się oddania jego prywatnej własności, którą są rzekomo ugory, czyli teraz sztuczne jezioro. Ja prywatyzacji nie wymyśliłam. Jeśli sąd uzna, że ugory należą do pana Kołeczka, trzeba będzie mu je oddać albo zapłacić za używany teren - mądrzyła się komendantka.

- I tu jest pies pogrzebany. Z pana Kołeczka taki dziedzic, jak ze mnie baletnica. On chce po prostu nabić w butelkę prowincjonalnych notabli i to wszystko - piekliła się ciotka.

- Nie jestem pewna, czy mu się uda. Nas nie można tak zwyczajnie nabić w butelkę - delikatnie przeciwstawiła się pani Amelia. - W naszym pojęciu prawo jest jedno, zarówno na prowincji, jak i w centrum. My je także nieźle odczytujemy, Sabinko. Radzę ci, zaufaj prawu i prowincjonalnym prawnikom. Naprawdę, oni również ukończyli uczelnie. Myślenie mają także praworzadne.

- Przepraszam, jeżeli cię uraziłam. Mówiłam, że nie nadaję się do epoki afer - rzekła łagodnie ciotka.

- Rozumiem. Idę już, dziewczynki. Muszę jeszcze sprawdzić Zenka.

Pani komendant zadzwoniła wieczorem. Podniosłam słuchawkę.

- To może być trop, Zuzanno - powiedziała wesoło.

- Jaki trop? - spytałam nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Zenek. Okazało się, że nie ma go w domu. Sąsiad zeznał, że pojechał szukać pracy. Musimy sprawdzić, czy nie widziano go z Anielą Wilkoszówną.

- To by było możliwe.

- Też tak myślę. Zawiadomiłam cię, żebyś już nie myślała o samobójstwach. Jeśli już, to jest prawdopodobnie ucieczka z domu dwojga zakochanych...

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Jak się czegoś dowiesz, albo się odezwie do ciebie któreś z nich, daj mi znać, dobrze?

- Oczywiście - obiecałam, choć wciąż nie miałam pewności, czy powinnam była wszystko wyznać komendantowi posterunku.

Odłożyłam słuchawkę. „Czy nie należałoby powiedzieć Amelii o białym aucie?” - przeleciało mi przez głowę.

Gdyby Dyzio nie walnął tym cholernym kamieniem, pewnie bym powiedziała, ale przecież rzucenie kamieniem w przejeżdżający samochód na pewno jest co najmniej przewinieniem, jeśli nie przestępstwem. Jednak nic nie pisałam. Zwyciężyła lojalność. Lojalność?

- Zuzanko, skocz, proszę, na wieś - wesoło zaproponowała babcia. - Kupisz trochę mięsa na roladę i koniecznie świeżej słoninki.

- Mamusiu, bardzo proszę, nie wysyłaj Zuzanny. - Ciotka Sabina przybrała mentorski ton. - Pchanie wózka taki kawał drogi jest dla niej za ciężkie i może się zdarzyć nieszczęście.

- Sądysz, że znowu wpadnie do Młynka? - spytała babcia. - Nie wpadnie, zresztą niech uważa. Rzadko zdarza się taki sam wypadek jeden po drugim.

Okazało się, że wszyscy w domu wiedzą o moim wywróceniu się. No oczywiście. W Młynie od zarania dziejów każdy o każdym wie wszystko, a nawet więcej niż on sam.

Babcia zlekceważyła moje koziółkowanie po skarpie do potoku. W końcu zdrowi ludzie też miewają różne przygody. Babcia wie, że jestem zdrowa. I już.

- Pieniądze są w białej wazie. Weź więcej, bo może zobaczysz coś potrzebnego do domu, sama wiesz. Sabciu,

skocz do Stodoły i pościągaj firany. Chciałabym je dzisiaj uprać - dodała, zwracając się do ciotki, po czym szybciotko zniknęła w kuchni. Jak to babcia. Wszędzie jej było pełno.

Stodoła została przerobiona na dom. Dokonali tego, z wielkim samozaparciem, synowie i zięciowie dziadków. Uzyskano okazały gmach o ośmiu apartamentach, jednym olbrzymim salonie i takiejż kuchni. Stodoła służyła, a właściwie służyć miała, za letnie mieszkanie, kiedy to przyjedzie się odwiedzić rodziców. Pieniądze mojej mamy i ciotki Teresy wyposażyły Stodołę bardzo elegancko, a nawet wytwornie, i może dlatego nikt tam nie mieszkał oprócz Bohdanów i bardzo rzadko, przez kilka dni, innych potomków. Dziadkowie nie splamili się siedzeniem w salonie, a babcia miała za nic wszystkie wymyślne przyrządy kuchenne. Woląa swoją kopyść i wałek do ciasta w starym domu, gdzie piec zwany Starym Łajdakiem dymił od czasu do czasu niemożebnie. Porządek jednak utrzymywała wzorowy, bowiem poznańska dusza babci nigdy by jej nie pozwoliła na najmniejsze zaniedbanie. Wychodzi na to, że eleganckiej Stodoły nikt tak naprawdę nie lubił. Raziła w Młyni swoją kiczowatą elegancją. Na pewno drażniła wszystkich bez wyjątku Jasieniów.

W drzwiach stanęła Rózia, najstarsza wnuczka listonosza Stasiaka.

- Dziadek przekazuje listy - zaczęła na przydechu. - Wydaje mu się, że jeszcze jakiś był, ale na razie nie może znaleźć. Jak znajdzie, to przyniesie.

Dziadek Stasiak miał wciąż rok do emerytury. Odkąd pamiętam, wszystkie wybryki Stasiaka kwitowane były słowami: „Stary ma rok do emerytury, szkoda mu robić koło pióra”. I stary wyczyniał, co chciał. Rzadko sam roznosił listy, bowiem był permanentnie pijany. Przynosił tylko bardzo

ważne depesze, mniej ważne doręczał za pośrednictwem dzieci.

- Mnie kiedyś szlag trafi przez tego Stasiaka - powiedziała ciotka Sabina, kiedy Różia już wyszła. - Może coś było z prokuratury? A on spokojnie będzie sobie szukał!

- Mama napisała!!! - wrzasnęłam tradycyjnie i jak zawsze serce podskoczyło mi do gardła. W piekle, na dnie, poznam pismo mojej zagranicznej mamusi.

- Gdzie są moje okulary? - wołała babcia.

- Rany boskie, Helena napisała! - krzyknęła ciocia Brońcia, przybiegając z kuchni. - Najlepiej czytaj głośno. Zresztą poczekaj, zawołam tylko Ignasia.

Zamęt trwał krótko. Wreszcie wszyscy się usadowili, a mnie powierzono głośne czytanie:

Kochani! Tyle mam do napisania, że naprawdę nie wiem, od czego zacząć...

- Najpierw się pozdrawia rodziców - wtrącił dziadziuś. Jesteśmy już po weselu, które nijak nie pasuje do wesel, jakie w życiu widziałam, a już specjalnie nie pasowałoby do wesela w Młyni.

- Nie trzeba tyłka po świecie wozić - przerwała babcia. - Potem nic do niczego nie pasuje.

Nic mi nie pozwolono robić. Nie wyobrażałam sobie, że wydając dwie rodzone córki za mąż nawet nie będę wiedziała, co będzie podawane do stołu.

- Zglupieli, czy co? - wyszeptała na to półgłosem ciocia Brońcia.

Oni najzwyczajniej zamówili całe przyjęcie weselne w wytwornym hotelu, z kucharzem, kuchcikami i kelnerami. Służby było więcej niż gości, a jedzenia ledwo na podwieczorek. Po dwóch godzinach było po weselu. Goście się rozjechali, a dwie młode pary poleciały samolotem na Hawaje. Kosztowało to tyle, co dziesięć wesel w Młyni.

- Mówiłam, że zgłupieli... - powtórzyła głośniejszym głosem ciocia Brońcia.

- We łbach się przewróciło zagranicznikom - stwierdził dziadzius, który nigdy nie popierał cudzoziemskiego życia córek.

Jak już wszyscy obcy wyjechali, myśmy dopiero zrobili sobie wesele. Hansowie, Maryla z Markiem i my ze Stasiem. Upiekłam wspaniałe kaczki, narobiłam kluch na parze, prawie tak dobrych, jak robi ciocia Brońcia (całuję Cię, Kochanie Moje).

- Mój kwiatusek - westchnęła ciocia, ocierając łzy. Szkoda, że Was wszystkich tu nie było. Siedzieliśmy do rana, popijając po troszku, ale najwięcej opowiadając sobie o Was i Młyni. Boże, jak ja cholernie tęsknię...

- Hmm - chrząknął dziadzius. - Mogłaby się nie wyrażać w liście.

Tereska opowiedziała mi wszystko dokładnie, co u Was. Szczególnie, jak posuwa się rehabilitacja Zuzi. Błagam Was, piszcie często. Przekazaliśmy do kliniki w Wiedniu zaliczkę honorarium. Sabina ma tam wejście o każdej porze dnia. Gdyby uznała, że choroba wymaga konsultacji, niech jedzie natychmiast. Profesor Adler jest powiadomiony i też śledzi przebieg choroby. Tereska z kolei ma oko na profesora. Jak to ona, nie za bardzo mu wierzy.

- Moja najmłodsza córka zawsze była mądrą dziewczyną - wyznał dziadzius.

- Adler nie jest Bogiem - powiedziała chłodno ciotka Sabina, w której odezwała się duma zawodowa. - Ale dobrze, że mamy tam wejście bez uprzedniego zamawiania wizyty miesiące naprzód.

Żał mi było, że tak mało mojej rodziny jest z nami. W końcu przecież to wesele. W Młyni byłaby cała wieś i jeszcze z pół Pszenicznej. Uznaliśmy jednak, że to wina odległości.

Wenezuela jest jednak bardzo daleko. Markowie na razie zostaną. Marek pomoże trochę Stasiowi, który jest tak zapracowany, że ostatnio nie rozróżniał Krysi od Marysi, nie mówiąc już o ich narzeczonych, Mike'u czy Kevinie. Też bliźniacy, choć nie tak podobni do siebie, jak nasze córki.

- Na psa urok, co ona pisze? Dziewczyny nam na zatracenie oddali - rozzłościł się dziadzius. - Stasiak zgłupiał doszczętnie, jeszcze trochę i stanie się jak ci z amerykańskich seriali, co to oprócz pieniądza nic nie widzą, tumany. Własnych dzieci nie rozróżnia! Dolary rozróżnia, właściciel!!! Napiszcie, żeby mi tam Markowie nie zostawali!

Firma się rozrasta. Stasio mówi, że sam nie wie, skąd tyle pomyslnych zbiegów okoliczności. Każda, operacja jest korzystna dla przedsiębiorstwa. Na świecie ponoć kryzys, a nam idzie znakomicie. Stasio uważa, że to dlatego, iż wolałyby wrócić do Polski i nie za bardzo się stara. Naprawdę jednak zabiega o wszystko, jak tylko może.

- Jawory zawsze byli pracownicy - przypomniała sobie ciocia Brońcia. - Niegłupi, chociaż z Pszenicznej się wywodzą.

- Jak jest taki zdolny, to powinien ojczyźnie służyć! - huknął dziadzius. - Różne gałgany chcą rządzić, złodziejskie interesy robią, a mądry siedzi za granicą. Wstyd!

Z całego wesela pozostały mi w pamięci suknie moich córek. Były tak piękne, że aż wydawały mi się nieprawdziwe. Zupełnie jak utkane ze mgły. Suknia Krysi miała bardzo delikatny, prawie niewidoczny odcień niebieski, natomiast Marysi - różowy. To znaczy suknie były białe, tylko odcień różnił je od siebie. Całość uzupełniały bukiety ślubne. Krysia miała specjalnie ułożone niezapominajki, a Marysia różowe, drobne różyczki. Oczywiście, jak wszystko na tym weselu, zostały z góry zamówione u drogich projektantów. Może to i wielki świat, ale nie powiem, że bym była zachwycona. Myślę,



że zabrakło tu dłoni mojej mamy... No właśnie. Czegoś, co trudno opisać i nie każdy to zrozumie.

- Och! - westchnęłam.

- Boli cię coś? - zapytał z troską dziadziuś.

- Nie, wyobrażam sobie tylko suknie...

- Jak tobie będzie trzeba, kupi się materiału, a stara Matylda jeszcze piękniej uszyje - obiecała ciocia Brońcia.

Całuję Was wszystkich po kolei, a także Burka, Starego Łajdaka i kredens w kuchni. Wasza Helenka.

Wszyscy zamilkliśmy, a ciotka Sabina otarła oczy. Mama tęskni.

- Czekajcie, jest jeszcze post scriptum - zawołałam, bo w pierwszej chwili nie zauważyłam.

P.S. 1. Pieniądze rodzicom i Sabinie wysyłam regularnie. Potwierdzajcie, u licha. Sprawdzajcie wyciągi bankowe. Bywacie niefrasobliwi ponad dopuszczalną normę.

P.S. 2. Czy stara Matylda zrobiła mi już żakiet z owczej wełny? Czy wyszedł jej kolor modrakowy?

P.S. 3. Czy mamusia zmieniła okulary?

P.S. 4. Czy tatusia boli głowa, jak często i co stosuje?

P.S. 5. Czy Lodzia z kiosku wyszła nareszcie za mąż, a jak nie, to czy ma kogoś?

P.S. 6. Pisał do nas Zenek z orkiestry. Chciałby tu przyjechać, załapać się do jakiejś pracy. Na razie nie ma pieniędzy na podróż. Napiszcie, o co chodzi. Może trzeba chłopakowi pomóc?

P.S. 7. Czy Bohu znalazł pracę, względnie inaczej daje sobie radę? U nas drzwi zawsze otwarte. Całuję, H.

- Najważniejsze było w post scriptach. Helcia zawsze wszystko to, co ma jakieś znaczenie dopiero tam umieszcza - rzekła z uśmiechem ciocia Brońcia. - Wiem, że modrakowy kolor udał się Matyldzie.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego Zenek zwrócił się do moich rodziców - zamyśliłam się. - Znaczy się, chce wyjechać. Słuchajcie, mama nie pisze o sprawie wujka i księdza - zauważyłam.

- Bo jeszcze nic nie wiedziała. Przecież ona pisze zaraz po weselu, a to wszystko u nas wydarzyło się dobry miesiąc temu - wyjaśniła ciotka Sabina. - Doktor narobił zamieszania w zeszłym tygodniu, kiedy to Tereska była w Wiedniu. Do niej przecież dzwonił. Nie martw się, teraz już Wenezuela wie.

Przyszło mi na myśl, że mogłabym zawiadomić panią Amelię. Może Zenek wyjechał za granicę? A jeśli Anielka też z nim uciekła? Nie. Nie będę latała z jeźorem. W końcu pani komendant za to płacą, żeby wiedziała. Niech więc szuka.

Wszedł wujek Bohdan. Był jakiś nieswój.

- O, wszyscy jak na zebraniu. Cześć! - powiedział.

- Helenka napisała i właśnie czytaliśmy list - poinformowała ciotka Sabina. - Głodny chyba jesteś jak wilk.

- Jak wilk - zgodził się, dalej bez uśmiechu, co w żaden sposób nie pasowało do wujka.

- Stało się coś? - spytała ciotka.

- Owszem. Spółka ogrodnicza w Pszenicznej poszukuje konserwatorów sprzętu elektronicznego, którego tam mają od groma. Zgłosiłem się.

- I...?

- Nie mogą mnie przyjąć. Jestem wszak podejrzanym facetem. Mam sprawę u prokuratora za matactwa mieniem społecznym. Poza tym jestem bezrobotny.

- No to co, u diabła? - krzyknęła ciotka. - Jakbyś nie był bezrobotny, to byś nie szukał pracy.

- Tak. Ale nigdy nie wiadomo, dlaczego mnie zwolniono, a spółka nie będzie tracić czasu, żeby to sprawdzać.

Inżynierów elektroników jest na pęczki. Przyjmą sobie czystego jak łąza.

- Właśnie przeczytaliśmy, że Helenka ma zawsze dla nas drzwi otwarte - rzuciła sucho.

Babcia ostentacyjnie wyszła, mocno trzaskając drzwiami. Dziadziuś zapalił papierosa.

- Nie widzę związku - rzekł powoli wujek Bohdan.

- A ja widzę - rozsierdziła się ciotka Sabina. - Jeżeli nie mogę znaleźć pracy, mimo że jestem dobrym fachowcem, jeżeli mnie nigdzie nie chcą, to poszukam sobie takiego miejsca, gdzie mnie zechcą.

- Buuurek!!! - wrzasnęła ciocia Brońcia spod okna. - Ten bandyta tarmosi perliczkę! Burek! Zostaw ją w tej chwili!

Myślę, że otrzeźwieliśmy. Taki ciotczyzny wrzask często działa orzeźwiająco. Dziadziuś zgasił niedopalonego papierosa. I dobrze. Nie wolno mu palić.

Dyzio zarabia na cholerny dakron. Pracuje przy wyrobie pustaków. Wprawdzie zatrudniony został przez swoich rodziców, co nie znaczy, że praca będzie lżejsza. Nie ma to przecież żadnego wpływu na ciężar i ilość wiader z betonem.

Próbowałam mu przypomnieć dyskretnie, że moi rodzice płacą w dolarach za usługę wożenia mnie po wsi, ale odpowiedział, że od przybytku głowa nie boli. Znakomicie poradzi sobie na dwóch etatach. Zamilkłam, bowiem nie istnieje na świecie człowiek, który mógłby zmienić postanowienie Dyzia Leszcza.

Przyszedł o czwartej.

- Możemy jechać, gdzie chcesz. Wolny jestem - powiedział, sprawdzając odruchowo koła wózka. - Ciężko chodzą, dziwnie jakoś - zauważył.

- Po koziołkach ze skarpy. Chyba to z prawej strony trochę się wykrzywiło.

- Złaz i usiądź w fotelu. Sprawdzę.

Niech sobie nikt nie myśli, że nie umiem chodzić. Otóż umiem i jak się postaram, prawie nie można zauważyć, że coś nie jest w porządku z moim kręgosłupem. Oczywiście, chodzę gorzej jak po pierwszej operacji i niestety nie na długo mogę utrzymać postawę „wyprost”, ale mam nadzieję, że następna operacja (o ile profesor uzna ją za konieczną) znowu przywróci mnie światu „normalnych”.

- Rozkręcaj tylko tak, żeby potem można było złożyć do kupy - zastrzegłam, siadając w naszym cudownym pluszowym fotelu. Zawsze czuję się w nim jak ptak w gnieździe. Jest miękki, ciepły i przytulny.

- Spoko, spoko, nie takie rzeczy się robiło - odciął się Dyzio, po czym rozsiadł się wygodnie na środku pokoju.

Bez pukania, jak zwykle, weszła sołtyska Bartusiowa.

- Przyniosłam pokwitowanie wpłacenia podatku. Dziadek zapomniał - oznajmiła i przysiadła na małym stołeczku. - Odpocznę trochę... Naganiałam się dzisiaj od samego rana. Aha, wiecie, że Stefek Fornal przywiózł doktora? Nic mu nie jest, to znaczy doktorowi, tylko schudł, biedaczysko. Żeby tak okraść człowieka! Bez gaci został. Stefek zawiózł mu ubranie i pieniądze, trzeba go było wykupić. Skaranie boskie.

- Cieszę się, że doktor wrócił - wtrąciłam. - Już go widzę, jak siedzi, sierota, owinięty ręcznikiem i płacze.

- O ile znam doktora, to pewnie pękał ze śmiechu - nie bez racji zauważył Dyzio.

- Z księdzem też się sprawa wyjaśniła. Rozmawiałam z Amelcią Kitą. - Bartusiowa lubiła przynosić wieści, obojętne, dobre czy złe, byle były nowością.

- Taaak? - zdziwiłam się.

- No więc tak: gdyby zabytkowe monety, które proboszcz sprzedał, były nabyte teraz, no najwcześniej pół roku temu, i ksiądz chciał je odsprzedać, żeby kupić łódkę...

- On nie kupił łódki, tylko wybudował przystań i dołożył się do jachtów - przerwał Dyzio, żeby było zgodnie z prawdą.

- Obojętnie co, w każdym razie, gdyby zrobił to w przeciągu ostatniego półrocza, musiałby płacić podatek. Ksiądz jednak numizmaty ma od początku świata i dobrze nawet nie wie, skąd je ma, może więc spokojnie kupować nawet okręt podwodny. Mówiłam przecież, że tak jest, ale Amelcia mnie nie słuchała. Widać o podatkach mało słyszała w szkole - mądrzyła się.

- Pani jest cudowna, pani Bartusiowa - zawołałam z przekonaniem.

- Ano, wie się co nieco, czasem więcej niż te uczone z policji - pochwaliła się. - Z Bodziem, czyli z panem inżynierem, też się wyjaśni. Nie przewiduję, żeby sąd się doszukał zagarnięcia mienia.

- Rany boskie! - krzyknęłam. - „Zagarnięcie mienia” to brzmi bardzo groźnie.

- Nie martw się, Zuzka - pocieszyła mnie. - Sołtyśka Bartusiowa ci to mówi. Nie martw się. Sąd musi pomalutku wszystko przejrzeć i sprawdzić, ale gołym okiem widać, że jeśli ktoś tu winien, to nie Bodzio. Najpewniej Kołeczek coś kręci. No, lecę, moi mili. Jeszcze dla Łodzi z kiosku mam pokwitowanie. Do widzenia.

Wyszła.

- Przystań, jachty, całe zaplecze naszego jeziora to jest już majątek - zauważył Dyzio. - Nie dziwię się, że ktoś chciałby przyjść na gotowe i zarabiać pieniądze.

- Jaki majątek? - zdziwiłam się. Jezioro to jezioro. Nie kojarzyłam go z wielkim szmałem.

- Przede wszystkim ryby. Dorodne karpie. - Dyzio podniósł oczy znad odkręconego kółka i zaczął wyliczać. - Chociaż nie tylko. Najpierw kupiliśmy dwie żaglówki Omegi i jedną klasy Optymist. Z czasem zdobyliśmy łódź wiosłową i

wyszachrowaliśmy od Ruskich prawie nowy silnik Salut, o rowerze wodnym i dwóch kajakach nie wspominał, bo składkowe. Teraz budujemy hangar dla żaglówek - wyjaśniał w upojeniu. Kochał majątek. To fakt.

- Mówiłeś w liczbie mnogiej, Dyziu, to znaczy, że ty też brałeś w tym udział? - zapytałam zaskoczona.

- Oczywiście. Pokaż mi choć jedną rodzinę w Młyni, która by nie pomagała przy budowie przystani czy szyciu żagli. My z tatą robiliśmy przy kajakach. Łódkę trzeba było składać niemal z kawałeczków rozeschniętych desek. Silnik, hmm, też tata od Ruskich wycygał. Spił się przy tym niemożebnie. - Dyzio zaśmiał się, jakby było z czego. - Nie ma domu, który by się nie dołożył do powstania sztucznego jeziora, a teraz tylko pan inżynier ma kłopoty.

- Właśnie - potaknęłam.

- Właśnie - powtórzył. - Stara, musimy jechać do kółka rolniczego z tym kołem. Wydaje mi się, że jest scentrowane. Powinien je zobaczyć fachowiec. Zaraz złożę wszystko z powrotem do kupy i pojedziemy - zdecydował.

- Będzie ciężko - zmartwiłam się.

- Będzie - westchnął.

Rzeczywiście było ciężko. Porządny szwajcarski wózek pierwszy raz zawodził. Jechaliśmy wolno.

Nagle zobaczyliśmy, jak zza węgła wychodzi Zenek Patyk we własnej osobie. Dyzio przystanął.

- Zenek, rany boskie! - krzyknęliśmy jednocześnie.

- Co się drzecie? Już druga osoba tak mi odpowiada na dzień dobry. Coś znowu się dzieje w tej pipidówie, dam sobie głowę uciąć - powiedział, nie bardzo zadowolony z powitania.

- Bo... - zacięłam się. Przecież nie mogłam mu powiedzieć, że podejrzewany był o zabicie się z miłości. - Bo nie było cię i wszyscy się martwili, że gdzieś wybyłeś w świat.

Jakby tu bez ciebie... - podlizywałam się, żeby zatrzeć złe wrażenie.

- Mówiłem sąsiadowi, że jadę do pracy - nerwowo wyjaśniał Zenek - a ten baran powiedział komuś, że pojechałem szukać roboty. Byłem w Płocku, grałem na weselu z facetami z Pszenicznej i mam zamiar dalej grać na weselach. O wiele więcej się zarobi.

- Z facetami z Pszenicznej? - zdziwiłam się. Szanujący się Młynianin nie zadaje się z Pszenicznymi. Nie honor.

- A co? - Zenek hardo uniósł głowę. - Nasi ze straży nie chcą dać kilku ludzi, żeby stworzyć drugi zespół, właśnie dla potrzeb wesel czy innych drobnych uroczystości. Oni muszą mieć od razu jedną wielką orkiestrę strażacką - prychnął zły. - Na szczęście straż z Pszenicznej poszła po rozum do głowy.

- Niby masz rację - zgodził się Dyzio z wahaniem - ale może najpierw pogadaj z naszą strażą, może się zgodzą...

- Mówisz? - Zenek jakby się zmieszał. - Spróbuję jeszcze raz. Jasne, że wolę grać z naszymi.

Pszeniczna z Młynią prowadzi wojnę już blisko tysiąc lat i nie zanosi się, żeby w najbliższym tysiącleciu zapanowała między wsiami jaka taka zgoda. Był tylko jeden wyjątek: lewy brzeg jeziora zagospodarowany został przez Pszeniczną (Dyzio twierdzi, że prawy).

- A Anielcia? - spytałam, strzelając niechcący wielką gafę.

- Co Anielcia? - obruszył się Zenek. - Chciałem powiedzieć, że jeśli chodzi o Anielcię, też nie jesteście pierwszymi osobami, które o nią pytają. Co jest, u diabła?! Co się dzieje?!

- Przepraszam - bąknęłam czerwona z zażenowania. - Och, ja tylko... Taka atmosfera w tej Młyni... Anielka też wyjechała i jakoś nie może jej pan Wilkosz odnaleźć. Ludzie skojarzyli wasze zniknięcia i jeszcze do tego moja mama

pisała, że pytałeś o pracę w Wenezueli. Rozumiesz chyba, iż wyszło dziwnie?

- Może. Młynia zawsze musi kipieć plotkami. Anielka ze mną nie uciekła, chociaż szkoda - wyrwało mu się. - Już mówiłem, grałem na weselu w Płocku, mogę podać adres, a do twego taty rzeczywiście napisałem. Zdawało mi się, że świat wali mi się na głowę. Wtedy, jak mnie zwolnili... w odruchu... Myślę jednak, że nie mógłbym żyć tak daleko od wsi, od... no, od tego wszystkiego... - męczył się Zenek. - Mniejsza z tym. Dobra - zakończył, wyraźnie chcąc zmienić temat. - Gdzie idziecie?

- Zuzia przekoziółkowała ze skarpy do Młynka i chyba koło wózka się scentrowało - poinformował Dyzio.

- Mogła się zabić! - zauważył z przerażeniem Zenek.

- Mogła - zgodził się Dyzio.

- Zeniu, nie jedź - szepnęłam cicho.

- Kretynka - mruknął Dyzio. - Z Młyni się nie wyjeżdża.

- Moi wyjechali i ciotka Teresa... - poskarżyłam się i nie wiem dlaczego zachciało mi się płakać.

- Wróć - stanowczo stwierdził Dyzio. - Tam wszędzie jest się „na razie”.

- „Na razie” to bardzo długo? - spytałam.

- Stara baba, a pyta jak dziecko - burknął Dyzio po swojemu. Też mu chyba było smutno. - Mnie wystarczyły trzy miesiące, innym trzeba więcej.

Zamilkliśmy. Zatopieni każdy w swoich myślach doszliśmy do kółka rolniczego. Zenek obiecał znaleźć mistrza do naszego wózka.

Przystaliśmy przy starej gruszy, dziko rosnącej przy drodze. Czego jak czego, ale dzikich grusz w Młyni nie brakuje. Rosną wszędzie, gdzie spojrzysz. Co za wieś...

Oczywiście znalazł się skądś Burek. Skubane psisko. Idzie zawsze za nami kilkadziesiąt metrów z tyłu, żeby go nie



przepędzić. U celu, gdziekolwiek by to nie było, patrzysz człeczce - pies przy tobie. Spogląda ci w oczy, jakby prosił o przebaczenie.

- Dobrze, już dobrze... - powiedziałam, głaszcząc go po łbie.

Zenek wrócił z najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziały moje oczy. Domyśliłam się, że to zapewne nowy prezes, jakiś inżynier, i być może zapalony żeglarz. Słyszałam o nim, ale nie przyszło mi do głowy, iż jest to ktoś tak piękny.

- Rany boskie, jaki on piękny - westchnęłam.

- Chłop jak chłop - zdążył burknąć Dyzio.

- Panna Jasieniówna, mniemam? - zapytał dwornie prezes.

- Jaworówna. Jasieniowie to moi dziadkowie - uściśliłam.

- Tak, racja, jeszcze mi się mylą młyńskie powiązania rodzinne - usprawiedliwiał się. - Zenek mówił, że koło pani zwichrowała.

- Właśnie - potwierdziłam, patrząc w niego jak sroka w kość. Takich zębów nie ma nawet moja mama ani ciotka Teresa, ani nikt z Jasieniów, słynących z uzębienia pierwszej klasy.

- Gdzie panią usadzić? Zabrałbym wózek do warsztatu. - Rozejrzał się i przesunął jakieś ławisko, stare i podrapane. - Posiedzicie tutaj, państwo?

- Oczywiście, wszystko jedno gdzie. Ja sama... ja zaraz się przesiądę... - wyjąkałam.

Dyzio podał mi rękę i bez większego wysiłku wstałam z wózka, żeby usiąść na ławce. Byłam z siebie zadowolona.

Miałam nadzieję, że nie zrobiłam tego zbyt pokracznie. Skłon w lewo wychodzi mi zdecydowanie najślabiej.

Prezes z Zenkiem zabrali mój wózek, a ja wreszcie ochłonęłam.

- Wiesz co, Dyziu, on wygląda jakby był nieprawdziwy. Jak wycięty z „Burdy”. W życiu nie widziałam tak absolutnie doskonałej urody - stwierdziłam z podziwem.

- Nie znam się - skwitował krótko moje zachwyty Dyzio.

- Na czym tu się znać? Przecież widzisz.

- Mnie tam wszystko jedno. Chłop jak chłop.

- Do tego stary kawaler! Świat się kończy!

- Nie taki przecież stary! Chcesz, to ci podłożę sweter. Twarda ta ława i chropawa... - Dyzio ściągnął swój ukochany sweter.

- Fajny jesteś, dziękuję - ucieszyłam się, bo rzeczywiście ławka była niewygodna, a ja jak ten wydelikacony kwiatusek, psiakrew.

W tym momencie Burek oszalał ze szczęścia. Skakał, walił ogonem i skomlał.

- Chyba zobaczył kogoś znajomego - odezwał się Dyzio.

Rzeczywiście. Z samochodu wysiadała właśnie pani komisarz Amelia Kmita we własnej, korpulentnej osobie. Witaliśmy się jak na imieninach. Pani Amelia podała nam kolejno swą policyjną rączkę i raczyła usiąść na chropawej ławie, pod rozłożystą dziką gruszą. Wyglądaliśmy, jakbyśmy się tutaj umówili na przykład na kawę.

- Co wy tu robicie, moje dzieci? - spytała.

- Wózek mi się scentrował. Pan prezes właśnie go zabrał do naprawy. Burek, przestań! - zdążyłam na szczęście wrzasnąć, bo właśnie nasz czworonożny przyjaciel zamierzał z radości obsikać but Amelii. - Pani Amelio, widziała pani kiedyś tego kółkowego prezesa?

- Woźniaka? Oczywiście - odparła.

- Pani myśli o starym Woźniaku, a ja o kimś innym. Jest młody i tak piękny, że niech pani nawet na niego nie patrzy, zakocha się pani na śmierć. On jest naprawdę przepiękny! - powiedziałam z zachwytem.

- Do zakochania to ja, moja Zuzanko, nie jestem taka skora, a pięknych mężczyzn też już kilku w życiu widziałam i nigdy nie tracę tak szybko głowy. - Pani komisarz zaśmiała się wdzięcznie.

- Dobra, zobaczymy. Tylko niech tu pani przy nas posiedzi - poprosiłam. - Burek! Łajdaku! - znowu powstrzymałam go w ostatniej chwili. Co za piekielny pies.

- Chętnie posiedzę. Ja w sprawie kosiarki do trawy. Mieli nam naprawić już wczoraj. Trawa przed posterunkiem wyrosła jak na łące. Zaraz do nich pójde i zrobię awanturę, ale najpierw poczekamy na tego pięknisia.

Wygrzebała z torebki paczkę eleganckich papierosów i małe radio. Zapaliła papierosa. Radio chrypnęło, ale potem już zagrało czyściutko. Zrobiło się po prostu przyjemnie.

Dyzio wstał i zaczął się przechadzać. Nie znosił bezczynności.

- O, Dyzio bez swetra - zdziwiła się pani Amelia.

- Dałem Zuzce, ona nie zwykła siedzieć na takiej ławce - wyjaśnił.

- Słuchajcie! Okazało się, że Zenek był po prostu w Płocku - powiedziała niespodziewanie.

Poczułam się speszona. To przecież mnie chodziło po głowie zabijanie się z miłości.

- No właśnie. Grał na weselu. Z Pszenicznymi! - dodałam.

- Tak. A Anielci też nie będziemy szukać. Pan Wilkosz wczoraj zadzwonił, że miał informację od córki i jest już spokojny. Jak spokojny - to spokojny. Mam całą Młynię na głowie. Nie będę się martwiła dodatkowo Anielcią.

Pani komendant oparła się o poręcz ławki i wyciągnęła przed siebie nogi. Włosy wymknęły się jej spod mnóstwa

spinek i opadły na ramiona. Amelcia Kmita była ładna. Jak się dobrze przypatrzeć.

Siedziałyśmy tak z pół godziny, rozmawiając leniwie. Dyzio chodził przed nami trochę denerwująco.

Gdzieś w ostatniej komórce mózgu zaświtała mi myśl o Anielce Wilkoszownie. Cała jej historia była dość dziwna. Nie mogłam się dłużej nad tym zastanawiać, bo usłyszałam koniec zdania w radiu: „... zapamiętała biały samochód z charakterystycznym wgnieceniem na środku bagażnika. Marki samochodu nie pamięta, tylko to, że był duży i elegancki”.

- Dyziu, rany boskie! Mówią o samochodzie! - wrzasnęłam.

- Gdzie?

- W radiu. Że był biały i miał wgniecenie na pokrywie bagażnika.

- I co?

- Jak to co? - zirytowałam się. Dyzio ma denerwujące pytania.

- Mówiłaś, że w radiu ogłoszono komunikat o białym samochodzie. Jaki?

- Nie wiem, u licha. Słyszałam tylko, że samochód był biały i miał wgnieciony bagażnik - zdenerwowałam się tępotą Dyzia.

Pani Amelia zgasła papierosa i leniwie zwróciła twarz w naszą stronę.

- Wiecie coś o tym samochodzie? - spytała.

- O rany! - jęknęłam i opowiedziałam zdarzenie na młyńskiej drodze.

Wysłuchała nie przerywając.

- Teraz tylko wytłumacz mi, jaki to ma związek z komunikatem w radiu - powiedziała miękko.

- Nie mam pojęcia. Może nie ma żadnego związku, bo nawet nie wiem, o co chodziło. Coś mnie tak tknęło...

- Aha, tknęło. Poczekamy, może powtórzą informację - urwała jak nożem uciął, bo właśnie nadchodził prezes z Zenkiem i naprawionym wózkiem.

- Och, dziękuję, dziękuję - wołałam zachwycona, nie tyle zreperowanym wózkiem, co prezesem.

Powstała dość niezręczna sytuacja. Nie bardzo umiałam się w niej znaleźć. Wszyscy stali naprzeciw siebie jacyś zdębiałi.

- To może ja przedstawię - zaczęłam koszmarnie zmieszana. - To jest pan prezes... znaczy pan... Piotr Okoński, a to pani Amelia Kmita, komendant naszego posterunku policji, czyli komisarz - plotłam jak potłuczona.

- Miło mi, bardzo mi miło. - Pan prezes też nie czuł się zbyt swobodnie. Co u licha?

Dyzio z Zenkiem sprawdzali nieszczęsne koło, ja siedziałam na swetrze i czułam się jak klucha na parze, wyrzucona z talerza, a tych dwoje stało i patrzyło na siebie z minami, jakby przed chwilą zobaczyli diabła z rogami albo anioła ze skrzydłami. W każdym razie coś niespotykanego.

- Pani komisarz? Naprawdę pani komisarz? - pytał ni to ze zdziwieniem, ni to z kpina prezes. - Nie mogę uwierzyć!!! - zawołał i zaczął się dusić ze śmiechu. Najpierw cichutko, potem coraz głośniej i głośniej, wreszcie śmiał się jak opętany.

Pani Amelia pobladła chyba jeszcze bardziej, odwróciła się na pięcie i pędem ruszyła do swego samochodu. W ciągu kilku sekund wsiadła, zapuściła silnik i odjechała. Prezes wciąż dusił się ze śmiechu, ale już coraz ciszej, aż ucichł i chwycił się za głowę.

- Co ja narobiłem, na miłość boską?! Co ja narobiłem!! - krzyknął. - Przecież ja nie z niej, przecież to zupełnie inaczej...

- Elegancko to nie wyszło - zganiłam. - Wyśmiał pan panią Amelcię i pewnie ona panu tego nie daruje. Ja bym nie darowała.

- Ależ wcale nie wyśmiałem, ja się śmiałem do niej... do... Zresztą nie wiem, dlaczego się tak idiotycznie roześmiałem - przyznał ze skruchą.

- Ja bym nie darowała - powtórzyłam uparcie. Pożegnaliśmy się dość chłodno. W drodze powrotnej prowadził Burek. Biegł przed moim wózkiem i stale się oglądał, czy na pewno podążamy za przewodnikiem.

- Czy wy coś kapujecie? - zapytał Zenek, jak zwykle nie bardzo bystry.

- Starzy są przeważnie nieobliczalni - powiedział filozoficznie Dyzio.

Fakt. Sama martwię się, że tak wiele czasu przebywam ze starymi.

- Nie uważacie, że wychowałam się między samymi starymi? - zapytałam. - Spędziłam wśród nich całe moje osiemnastoletnie życie.

- Nie jestem stary - zaprotestował Dyzio. - Ani ja - dodał Zenek.

No cóż. Zgadza się - przyznałam w duchu.

Wujek Bodzio wpadł do kuchni jak wicher, nadzwyczajnie podniecony.

- Jak Boga kocham, tego najstarsi ludzie w Młyni nie pamiętają! - zawołał.

- Dobrze, że jesteś, wujku - przerwałam. - Znasz może nowego prezesa kółka rolniczego? Mówię ci, co za facet. Metr dziewięćdziesiąt, wysmukły, czarne włosy i bardzo niebieskie oczy, a zęby piękniejsze od zębów Helci. (Czasem nazywam tak pieśczośliwie mamę).

- Znam. Nic takiego nadzwyczajnego. Poza tym fajny chłop. Chodzi jednak o to, że do Młyni zjechała prawdziwa wycieczka z samej Anglii! - przekrzyczał mnie wujek. - To znaczy, oni tak naprawdę do nas nie jechali, ale się zgubili i wreszcie wylądowali nad naszym jeziorem. Zachwyceni jak

diabli! Ludzie! Czy wy to rozumiecie?! Przecież możemy na tym zarobić! Anglicy w Młyni! Całe dwa autokary!

- Święci pańscy! - krzyknęła ciocia Brońcia. - Anglicy?

- Jakiś instytut z Londynu. Europę środkową sobie zwiedzają i Bóg z nimi. Dobrze, że się zgubili. Pilot zatrzał się śliwkami i Anglicy sami się wypilotowali. Bardzo dobrze

- cieszył się wujek. - W ciągu dwóch sekund założyliśmy z Zenkiem kemping, a trzy małżeństwa zapewniliśmy, że w gospodarstwie Jasieniów czekają na nich trzy apartamenty, dysponujące wszystkimi wygodami, a nawet jest możliwość korzystania z posiłków.

- Ja tam po angielsku nie gotuję - zdenerwowała się ciocia Brońcia.

- Cudownie! - krzyknęła ciotka Sabina. - Możemy zabawiać Anglików non stop, byle za pieniądze! Zrobi się wieczór ogni bengalskich.

- Zaraz, zaprosiłeś kogoś do naszego domu? - dopytywała się babcia.

- No oczywiście! Wiesz, jaki to interes?! - Wujek naprawdę szalał ze szczęścia.

- W moim domu nikt za poczęstunek nie płaci - burknął dziadzius. - Już ty mi lepiej nowych porządków nie wprowadzaj.

- Przecież na całym świecie... - zaczął wujek.

- Na całym świecie może być różnie, a u nas będzie właśnie tak. Nie każemy sobie płacić za kromkę chleba - przerwał dziadzius. - Mieszkać też mogą, jak nie mają gdzie.

- Ja tam po angielsku nie gotuję - powtórzyła ciocia Brońcia.

- O rany! - westchnął wujek zrezygnowany. - Dobrze, będą jeść z pozostałymi. Nic im się nie stanie.

- A kto zajmie się przygotowywaniem posiłków? - spytała ciotka Sabina.

- Oczywiście Koło Gospodyń Młyńskich.

- Załatwiliście? W ile sekund? - dopytywała się wesoło babcia.

- W trzy. Nie wszyscy są tacy zacofani, jak Jasieniowie... Zorganizowaliśmy wypoczynek dla czterdziestu osób. Poszło nam nadzwyczajnie. Nie było ani jednego głosu sprzeciwu. Wyglądało to tak, jakbyśmy od wieków czekali na zabłąkanych Anglików. Teraz oni rozstawiają namioty, a w kole gospodyń przygotowuje się kolację. Będą jeść w kawiarni straży pożarnej - emocjonował się wujek. - Najgorsze mamy za sobą, ale jeszcze pozostały sanitariaty. Kółko rolnicze myśli, więc może coś jednak wymyśli.

- A zgłosiliście przyjazd Anglików w gminie? - zainteresował się dziadzius.

- No... jeszcze nie - zająknął się wujek.

- Proszę, cały Bohdan! - zdenerwował się dziadzius.

- Znowu będziemy mieli sprawę do załatwienia.

- Bartusiowa wie? - spytała babcia.

- Chyba wie... Filip Bartuś tam pracuje.

- Jak to pracuje? - krzyknęłam. - A my?

- Dla wszystkich jest miejsce. To znaczy my nie zatrudniamy, tylko... tylko trzeba robić. Proste.

- Bardzo proste. Najpierw jednak zawiadom oficjalnie Bartusiowa, a ona niech powiadomi Amelcię. Przecież muszą wiedzieć, co się we wsi dzieje - przekonywała babcia.

- Ty, Bodziu, jesteś trochę jak dziecko. Poza tym, jeżeli macie zamiar brać pieniądze, musicie załatwić zezwolenie na prowadzenie takiej działalności.

- Aha - zgodził się wujek, który wyglądał jak nasz Burek, który coś zbroi i zostanie na tym przyłapany.

- Zuzanko, skoczyłabyś? - spytał.

- Jak do sensownej pracy to Filip, a jak skakać i załatwiać to ja - odrzekłam, udając oburzenie.



- Dziękuję ci, kochanie. Dyzio też już tam jest. On i Wisia Chudziakówna są tłumaczami - poinformował mnie cały rozpromieniony.

- No nie! Dyzio? A kto robi pustaki? - zdenerwowałam się.

- Dyzio liczy na dobry zarobek - zauważył wujek.

- Cholera! - zakląłam.

- Nie musisz się wyrażać przy dziadkach, ruda wiewióro - napomniał mnie dziadziuś. - Wszystko to pachnie mi prowizorką, moi drodzy - dodał.

- Ale musi się udać - powiedziała ciotka Sabina, która też wybierała się z wujkiem nad jezioro.

- Brońcia - babcia podniosła się z zydlu - sprawdźmy te piekielne apartamenty dla Anglików. Może by tak zmienić pościel?

- Przecież nie była używana - oburzyła się ciocia Brońcia.

- Niby nie, ale jak długo leży, to tak dziwnie pachnie...

- Jak myślisz, Niusiuchna, może by zrobić ciasta na rogaliki z jagodami? - nieśmiało spytała ciocia Brońcia.

Jak widać między tym, co się myśli a tym, co się robi jest duża różnica.

Młynia zaczęła przypominać ul, do którego ktoś przez pomyłkę wrzucił jakieś obce ciało. Gospodynie już nawet nie zamykały drzwi od domostw, żeby szybciej jedna zdążyła do drugiej. W kawiarni straży pożarnej, zwykle dość sennej, nie licząc Chudziaka, który przy piwie huczał basem swoje opowiadania o śląskich kopalniach, wrzało, brzęczało i syczało. Lodzia z kiosku założyła niedzielną sukienkę w bławatki, a w uszy wpięła cygańskie złote obręcze. Wszędzie było widać podniecenie i niecodzienną atmosferę. Anglicy zwiedzają Młynię! Tylko na posterunku policji było zwyczajnie. Pani komendant siedziała za biurkiem nad stosem papierzyk i paliła długiego papierosa.

- Dzień dobry! - zawołałam, wjeżdżając trochę za szybko w drzwi komisariatu i lekko uderzając w ścianę.

- Och, przepraszam!

- Cześć, Zuzanno. Jeżeli chcesz załatwić sprawę Anglików, to już to zrobiono - wyjaśniła. - Bartusiowa była tu, a teraz właśnie pojechała z Florkiem do miasta zgłosić wszystko w gminie i w urzędzie skarbowym. Nie mam pojęcia, jak tam przyjmą fakt, że znowu inżynier prosi o zezwolenie na coś, co od jakiegoś czasu ma miejsce. Przecież Anglicy już są.

- Są. U nas też. Trzy małżeństwa, tyle że stare. Na kempingu pozostali młodzi. Mogę się napić? - spytałam, dostrzegając na biurku butelkę wody mineralnej.

- Proszę, proszę bardzo - odparła uprzejmie, podając mi czystą szklankę. - Jacy starzy? - dopytywała się.

- Tak mniej więcej po czterdziestce, o ile się na tym znam - wyjaśniłam.

- To znaczy tacy w moim wieku?

- Pani nie jest stara - oburzyłam się. - Anglicy są chyba starsi. Zupełnie nie umiem określić wieku.

- Zgłosiliście ich przyjazd w gminie? - spytała.

- Co? Przecież pani mówiła, że Bartusiowa zgłosiła.

- Ale chodzi mi o waszych, to jest Jasieniowych Anglików. Dziadkowie chyba zakładają motel. Widać, jak bardzo się europeizujemy - zauważyła raczej chłodno.

- Nie zakładamy żadnego motelu - zdenerwowałam się. - To są nasi goście. Dziadkowie nigdy nie zażądaliby pieniędzy za gościnę. Co pani! - fuknęłam z wyrzutem.

- Och, przepraszam - zmieszła się. - Przepraszam, że w ogóle ich o to posądziłam. To oczywiście byłoby normalne, ale jakoś nie mogłam sobie wyobrazić twojej babci żądającej iluś tam złotych za kawałek ciasta i kawę. Widać jesteśmy mało nowocześni. - Pani komendant zaśmiała się z ulgą.

- Nasza rodzina nie nadaje się do robienia interesów - podsumowałam. - Mogę jeszcze szklaneczkę wody?

- Poczekaj, zrobię kawę. Napijesz się? Może przesiądziesz się na fotel. Pogadamy.

Przesiadłam się z dużą przyjemnością. Fotel jest ze skóry, wielki i bardzo wygodny, mimo że raczej zimny. Skorzystałam z podanej przez panią komisarz ręki i poszło mi całkiem gładko. Po co, u licha, na posterunku taki kolosalny fotel? Może dla jakichś wyjątkowych przestępców? Żeby miękli? Tylko że Młynia nie ma w swojej historii żadnego większego przestępcy. Może zanotują kiedyś wujka, kto wie...

- Naprawili ci wózek? - spytała niewinnie Amelia, a ja pomyślałam: „Tu cię boli”.

- Owszem, chodzi jak po maśle. Jak się pani podobał nowy prezes? Moim zdaniem jest on uosobieniem piękna. Apollo jak byk - zażartowałam.

- Nie zauważyłam - bąknęła. Stała odwrócona plecami, lecz dostrzegłam leciutkie drgnięcie ramion. - Natomiast na pewno jest niegrzeczny i to zauważyłam. Nie znoszę ludzi źle wychowanych. Młynianin nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił, chociaż nie kończył jakichś tam studiów czy innych mądrości.

- Ale on chyba nie chciał pani obrazić. Jemu... Tak, jemu na pewno było jeszcze bardziej przykro, że tak się zachował. Człowiek zmieszany sytuacją mówi czasem niesamowite głupstwa, niezależnie od posiadanej wiedzy. I to by się zgadzało. Pani już nie widziała, jaki był zrozpaczony swoim zachowaniem - powiedziałam i przyjęłam z radością filiżankę pachnącej kawy.

- Niewiele mnie obchodzi jego rozpacz - rzekła lodowato Amelia. - Nie zamierzam kontynuować tej znajomości. Mnie można obrazić tylko raz, drugi raz nie daję powodów. Po

prostu wyłączam się. Może śmietanki? Mam w lodówce - spytała.

- Nie, dziękuję. Ale jest piękny? - dopytywałam się. Sama nie wiedziałam, dlaczego tak mi zależało na potwierdzeniu tego faktu przez Amelię.

- Znam wielu pięknych drani. Jeśli chodzi o niego, nie przyglądałam się zbyt dokładnie, mignął mi raptem... Nie umiem osądzić jego urody - wymigiwała się. - Ale jeszcze o czymś chciałam z tobą porozmawiać. Czy nie wydaje ci się dziwne zachowanie Anielki i jej ojca? Wilkosz najpierw poszukuje córki, potem dzwoni, że już wie, gdzie ona jest, że to była pomyłka, że nie został w porę poinformowany. A Anielki jak nie było, tak nie ma. Poczekamy do pierwszego września.

- Dlaczego akurat do pierwszego września? - spytałam zdziwiona.

- Jeżeli Anielka nie zjawi się w szkole, spróbuję się czegoś dowiedzieć. Człowiek nie może przecież zniknąć z dnia na dzień bez jakiegoś uzasadnienia - wyjaśniła.

- Próbowałam zasugerować Zenkowi jego wyjątkowe zainteresowanie Anielką, ale on stanowczo zaprzeczył. Może Anielka sama nabujała z tym Zenkiem? - Poczułam się doktorem Watsonem i poprawiłam w fotelu.

- Może, ale mnie się też wydawało, że Zenek jest zainteresowany Anielką. Wszystko razem brzydko pachnie, nie uważasz, mój Watsonie? - Amelia zaśmiała się. Swoją drogą dziwne, że tak jednocześnie przypomnieliśmy sobie to nazwisko. Coś w tym musi być.

- Brzydko - zgodziłam się.

- A biały samochód to mercedes - oświadczyła niespodziewanie. - Sprawdziłam komunikat. W województwie łomżyńskim okradziono dwa muzea. Zabrano tylko przedmioty ze srebra, których akurat było tam dużo. W

obydwu przypadkach zauważono białego mercedesa, ale tylko w drugim miejscu ktoś zapamiętał, że miał on wgnieciony bagażnik. Nie mam pojęcia, czy to akurat ma związek z twoim samochodem, ale sprawdziłam. - Dołała sobie kawy i zapaliła kolejnego długachnego papierosa.

- Może nie ma związku, a może i ma... - zamyśliłam się nieco.

- No właśnie - przytaknęła. - W każdym razie mam o czym myśleć. Dotychczas jedyną poważną sprawą była kradzież owieczki Chudziakom, której to sprawy nie rozwiązałam do dzisiaj. Podejrzewam, że owieczka została zjedzona.

- Nie w Młyni - przerwałam. - Może w Pszenicznej, ale nie w Młyni.

- Nie rzucaj hańbiących podejrzeń na sąsiadów - zagrzmiała ze śmiechem. - Będę trzymała rękę na pulsie, jeśli chodzi o białego mercedesa, ale także muszę pilnie śledzić dzieje muzealnych sreber.

- O rany, ja chyba powinnam już iść, nad jeziorem na pewno mnie szukają, a jeszcze przed tym muszę wpaść do domu - oprzytomniałam.

Zadzwoił telefon. Pani Amelia trzymała słuchawkę przy uchu i pilnie słuchała.

- Tak. Dziękuję - powiedziała z niejakim podnieceniem.

- Tajemnica? - zapytałam, stojąc już przy fotelu.

- Nie... Okradziono sklep jubilera w miasteczku. Zgadnij, co zabrano? - spytała.

- Srebro na złom?

- Bardzo dobrze, mój ty doktorze Watsonie. Jeszcze sześć pierścionków i cztery drogie zegarki, ale chyba dlatego, że leżały sobie na srebrnych paterach.

Zachwiałam się z emocji. Pani Amelia pomogła mi dostać się na wózek.

- Nie zapytała pani, czy nie widziano białego mercedesa - powiedziałam z wyrzutem.

- Nic nie widziano. W biały dzień, w czasie przerwy obiadowej, na sennej ulicy, chyba jakiś duch, bo niewidoczny, wyciął szybę w oknie wystawowym i zabrał wszystko, co ci powiedziałam. Nie ma najmniejszych śladów i nikt niczego nie zauważył. Może i było jakieś auto, ale to się dopiero okaże w czasie śledztwa - objśniła Amelia.

- Dałabym sobie łeb uciąć, że gdzieś tam stał biały mercedes i to z zapalonym silnikiem - poczułam się fachowcem. - Przytrzyma mnie pani na schodach? Podjechać w górę to pestka, ale zjechać z góry nie mam odwagi.

Z wprawą co najmniej Dyzia przytrzymała mój wózek, gdy pokonywałam znów schody. Ruszyłam pędem w stronę mostu.

Po drodze zmieniłam jednak zamiar i nie pojechałam prosto do domu. Przed mostem skręciłam na skarpe i zjechałam nad sam brzeg Młynka. Obniżyłam oparcie wózka i, na wpół leżąc, przymrużonymi oczami patrzyłam na iskrzącą się w słońcu wodę. Młynek zawsze działa na mnie uspokajająco. W najgorszym okresie mojej choroby babcia wywoziła mnie nad brzeg rzeki, pod dzikie grusze, siadała obok i delikatnie głaskała moje nogi. Milczałyśmy słuchając szmeru wody. Zresztą Młynek nie szmerze, on dzwoni, gwizdże, czasami wściekle pluszcze. Bywa, że huczy groźnie, ale to tylko co kilka lat, w czasie powodzi. Dzisiaj śpiewał kołysankę.

Właściwie, co mnie obchodzą Anglicy, Anielka, biały mercedes i tysiąc innych młyńskich spraw? Nawiedziła mnie tęsknota za mamą. Napisałam do niej czternaście stron drobnym maczkiem i teraz doszłam do przekonania, że nie przekazałam jej wszystkiego, co chciałam. Najgorsze, że nie mogę zwyczajnie potrzywać jej za rękę. Jedno wiem na

pewno: matki nie powinny zostawiać swoich dzieci, nawet gdyby im się to wydawało konieczne.

Po niebie latały dwie jaskółki. „Wysoko latają, będzie pogoda” - pomyślałam.

- Dzień dobry. Co tak leżysz leniwie, wiewiórko jedna? - usłyszałam za plecami głos doktora Sznicera.

Zaśmiałam się. Uwielbiam doktora. Wystarczy, że powie dwa słowa, a wszystkie tęsknice uciekają. On sam jest tęsknotą i miłością jednocześnie. Podniosłam oparcie wózka i usiadłam prosto, od nowa pełna zainteresowania sprawami doczesnymi.

- Czasem tak sobie odpoczywam nad Młynkiem - odparłam. - Wie pan, że on śpiewa kołysanki?

- Oczywiście. On różnie śpiewa. Inaczej młodym, jeszcze inaczej starym - rzekł doktor i usiadł na trawie.

- Dyzio by powiedział, że wszystko zależy od tego, co kto słyszy, co komu w duszy gra - zauważyłam.

- Dyzio to stary filozof, zresztą zawsze był nieco inny niż jego rówieśnicy. Dobrego masz przyjaciela. Założę się, że na całe życie - stwierdził poważniejąc.

- Chyba tak. Dla niego wszystko jest względne, ale wiem na pewno, że mogę na niego liczyć - przyznałam. - Zje pan jabłko? - spytałam i podałam mu czerwoniutki, lśniący owoc.

- Dziękuję.

- Czy nie uważa pan, że jestem jakaś słabsza?

- Nie uważam, ale jeśli się tak czujesz... Mówiłaś ciotce?

- Oczywiście, że nie mówiłam. Panu mówię.

- Dziękuję za zaufanie. W czym przejawia się ta słabość?

- Nie wiem dokładnie. Szybciej się męczę i chętniej przebywam sama.

- Myślę, że to tęsknota za rodzicami, siostrami, rodziną - stwierdził. - Męczysz się, bo jest upał. Każdy teraz czuje się bardziej zmęczony niż normalnie.

- Cholerne kopalnie! - burknęłam.
- Cholerne - zgodził się doktor.
- Pan mnie pociesza, ale ja, panie doktorze, nie wierzę, że mogę umrzeć. Ja po prostu nie wierzę w śmierć. W każdym razie nie w moim wieku - powiedziałam twardo.
- Rozumiem. Bo ja też nie wierzyłem, chociaż byłem bardzo blisko niej. - Doktor spoważniał nagle. - I miałem rację, dziewczyno, miałem rację. Wiesz, ile mam lat?
- Nie wiem.
- Siedemdziesiąt sześć, jak obszył, czyli przynajmniej masz przed sobą pięćdziesiąt osiem lat, zakładając, że jesteśmy podobnej konstrukcji, a wydajesz mi się dużo mocniejsza. Nie wyrabiasz głupstw, jak ja - wyznał szczerze.
- Jeszcze jedno jabłko poproszę. Widzę w kieszeni wózka cały cetnar. - Doktor zaśmiał się po swojemu, zaraźliwie.
- Ja też wyrabiam głupstwa - ożywiłam się. Zrobiło mi się niezwykle lekko na duszy. Zmęczenie gdzieś uleciało.
- Co by to było za życie, gdyby człowiek nie wyprawiał głupstw? Boże, ja naprawdę powinnam już dawno być u Anglików, nad jeziorem, a jeszcze przed tym w domu! - krzyknęłam przytomniejąc.
- Niech się nie wydziera, ruda wiewiórka jedna, niech zwolni trochę codzienne życie, a do domu dzisiaj podwiezie ją sam doktor, gdzie szanowna babcia będzie na nim sprawiała obrządek duszenia... oraz obdzierania ze skóry... - powiedział chichocząc.
- Za ploty w Austrii i Wenezueli - dodałam z uśmiechem.
- O przepraszam, w Wenezueli plotek narobiła Tereska, dziewczyna niecnota. - Doktor ze wszystkich Jasieniów najbardziej lubił Tereskę.
- Szkoda, że nie mogę z panem trochę powrzeszczyć! - wyrwało mi się.



- Szkoda, ale wrzeszczenie, o ile was znam, ma sens tylko z Dyziem - odparł, po czym niespodziewanie silnie ujął mój wózek i pchnął go w górę, po skarpie.

- Zuzaaankaaa, Zuzaaankaaa - słychać było od strony domu.

Wieczorem zadzwoniła pani komendant.

- Zuzka, telefon! - zawołała z sieni ciotka Sabina. - Zupełnie nie mam pojęcia, co komendantka policji może chcieć od dziewczyny. - Ciotka Sabina najwyraźniej nie lubiła pani Amelii. Źle się jej kojarzyła, to pewne.

- Tak. Słucham - rzuciłam ciepło w słuchawkę. Lubiłam naszą panią komisarz.

- Masz pojęcie, stara? - usłyszałam jej przyciszony głos. - W bocznej uliczce koło jubilera zauważono białego mercedesa z wgniecionym bagażnikiem.

Z wrażenia zabrakło mi tchu.

- Miałam rację! A pani się śmieje z moich przeczuć! - wrzasnęłam.

- Od dzisiaj przestaję. Cześć. Jadę do kina! - Amelia była nadzwyczaj ucieszona.

- Z kim?

- Z takim jednym prezesem... Mówi ci to coś? Owszem, coś mi to mówi.

Młynia oszalała. Wprawdzie od sołtyski Bartusiowej do samego pana prezydenta Rzeczypospolitej wszyscy zachęcają do przedsiębiorczości, ale nie przesadzajmy. Co winni biedni Anglicy? Młynianie zwarli szeregi i bez nadmiaru ekspertów od marketingu, prawdę mówiąc w ogóle bez ekspertów, robią, co mogą. Całkiem skutecznie.

Jestem pewna, że Anglikom w niebie nie będzie tak dobrze, jak w Młyni. Dzięki gruntownej opiece Młynian, Anglicy wyjadą bez złamanego pensa. Zna się swoich krajan.

Koło Gospodyń Młyńskich gotuje smaczne potrawy, oczywiście z produktów wydobytych z zakamarków własnych spiżarni. Dania typowo polskie, może na gust Anglików nieco zbyt kaloryczne, jednak nie słyhać protestów. Przeciwnie, rosół z kury z kawałkiem wołowiny, podany z górą makaronu na samiutkich jajkach, adorowany jest specjalnie. Bywa, że ustawiają się kolejki po repetę. Wszak zupełnie co innego głosić diety wszelkiego rodzaju we własnym domu, a zupełnie co innego na wakacjach, w Polsce i w Młyni w dodatku. Jadł kto lepsze pierogi z jagodami polane gęstą śmietaną niż takie, jakie robi pani Leszczowa? A rogaliki z jagodami cioci Brońci? A kapustę z jabłkami i do tego wielki kotlet schabowy? Już nie muszę dodawać, że makaron, który wyrabia stara Matylda; jest absolutnie najlepszy na świecie. Włosi tylko dlatego jeszcze nie sprzątnęli nam Matyldy, że nie znają jej umiejętności. Gdyby się jednak dowiedzieli...

Koło Gospodyń Młyńskich to wszystkie gospodynie w Młyni. Urzędują we własnych domach, a w wolnych chwilach w budynku straży pożarnej, gdzie w ogóle jest centrum wszelkich poczynań Młynian. Tam się załatwia różne sprawy. Radości i smutki przewijają się przez remizę bez kolizji, bo na wszystko jest rada.

Sposób na Anglików też się znalazł właśnie w remizie. Ustalono, jak wspólnymi siłami zorganizować im wypoczynek i odpowiednio rozdzielono zadania do wykonania. (Jedzenie - członkinie. Koła. Kultura - orkiestra strażacka i hafciarki. Rozrywka - wujek Bodzio, jezioro i las).

Dla potrzeb orkiestry zapomniano o tysiącletnim sporze między Młynią a Pszeniczną i zwerbowano sześciu skrzypków, których brak Młynia przeżywa bardzo głęboko. W żaden sposób nie da się z trąbek stworzyć kameralnej orkiestry smyczkowej, na której tak zależy nowemu, pełnemu pasji dyrygentowi Fornalowi.

W sumie jedzenie było pyszności takiej, że w Londynie próżno by marzyć, a rozrywka na jeziorze nie ustępowała na przykład atrakcjom rywiery. Morze zastąpione zostało przez jezioro, nie było palm, ale poza tym i jachty, i rowery, i nawet trampolina z dywanikiem strzelała w niebo z drugiej strony przystani. Wieczorem koncerty: raz orkiestry dętej, raz kameralnej smyczkowej, wreszcie zwykłej kapeli Zenka, grającej na weselach i młyńskich dyskotekach. Anglicy jedli, pływali, zbierali grzyby, słuchali orkiestry, tańczyli i zachwycali się serwetkami z niezwykle haftem. Jednym słowem czuli się jak w niebie, co potwierdzali uśmiechniętymi twarzami i brakiem zainteresowania innymi częściami Polski, które w pierwszej wersji mieli zwiedzać z folderami w rękach.

Oczywiście za wszystko płacili żywą gotówką, czyli funtami. Bankiem był rzecz jasna Dyzio, który wszystkie kursy walut ma w małym palcu. Anglicy nie narzekali, na razie wszystko im się wydawało niezwykle tanie.

Z grzybami była wprost przedziwna historia. Otóż oni nie lubią grzybów! Mówili, że nie lubią i byliby zapewne nie lubili do końca życia, gdyby nie mama Dyzia, Zosia Leszczowa, która ma specjalny sposób przyrządzania maślaków. Na czystym maśle, duszone w śmietanie. Trzy Angielki (same arystokratki, w tym jedna lordówna) na własne oczy widziały Leszczową przygotowującą grzyby. Później jadła maślaki cała grupa, a teraz w świat poszła wiadomość, że Anglicy lubią grzyby.

O haftach też trzeba by napisać poemat. Otóż haft młyński jest zupełnie inny niż wszystkie znane hafty. Ma dość nietypowe kolory. Na szarym lnianym płótnie wyszywa się wyłącznie dwoma kolorami: bladą żółcią i bladym seledynem. Młyńskie hafty składają się ze wzorów strzępiastych traw i podobnych do nich kwiatów, jak na przykład rezeda czy mimoza. Obrus i sześć serwetek haftowanych w rezedy przez

ciocię Brońnię - wyjątkową specjalistkę - moja mama zabrała do Wenezueli. Pokazała jakiejś dygnitarzowej i od tej chwili obrus nie był jeszcze w domu. Wędruje wraz z serwetkami po wenezuelskich wystawach, zbierając hołdy i listy pochwalne. To jest bardzo piękny haft. Angielki też oszalały na punkcie obrusów haftownych w rezydencie.

Cała Młynia troszkę się odmieniła. Nigdy nie była wsią ponurą. Zawsze pełna prześmiewek, z centralnymi postaciami księdza i doktora, dającymi dużo powodów, by poczuć smak życia, teraz zrobiła się jeszcze bardziej żywa, pulsująca i roześmiana. Kobiety ubierały się odrobinę lepiej, żeby sobie „Angielki nie myślały”, rzecz jasna.

U nas mieszkał lord z lordową i jeszcze dwa małżeństwa, też arystokraci. Nie zauważyłam, żeby się czymkolwiek od nas różnili. Lord nawet zaczął grać w zechcyka z dziadkiem, księdzem i doktorem. Podobno w czwórkę gra się paskudnie, ale gościnni Młynianie nie pisnęli słówka. „Niech Anglik nauczy się cywilizowanej gry” - powiedział doktor.

Tłumaczami byli: Dyzio, Filip Bartuś, Wiśka Chudziakówna i mała Różia Stasiakówna, mówiąca dobrze po angielsku, chociaż nikt nie umie powiedzieć, gdzie się nauczyła. Szkolny angielski w Młyni nie stoi na najwyższym poziomie. Uczy rusycystka, ale widać dobrze, skoro Różia mówi lepiej ode mnie.

Zajmowanie się Anglikami tak nam rozchwiało rytm codzienności, że coś niebywałego. Wstajemy z ciotką Sabiną o czwartej rano, żeby zdążyć z moimi kąpielami i ćwiczeniami. Potem obydwie „skaczymy” jak wariatki.

Dyzio też wstaje o czwartej, robi z ojcem piekielne pustaki, ponieważ jak już Anglicy przyjdą na śniadanie - nie ma minuty spokoju. <

Tego pamiętnego dnia Dyzio przyszedł po mnie o ósmej. Czekałam już przed domem, jeszcze odsapując po zabiegach. Wyruszyliśmy natychmiast.

Na moście spotkaliśmy pędzącą Rózię.

- Zuzka, wracaj! Niech twoja ciocia zaraz przyjdzie na kemping. Jedna z Angielek wbiła sobie w nogę szkło. Wczoraj sama rozbiła tam kieliszek - wołała przestraszona.

- Spoko, spoko - ofuknął ją Dyzio. - Zuzka nigdzie nie będzie wracać. Biegłaś po doktorkę - to pędź. Angielka nie umrze.

- Muszę wracać, bo ona drze się po angielsku, a pan inżynier mówi tylko po francusku. - Na głowie Rózi podskakiwały starannie uplecione dwa warkoczyki.

- Rozbija kieliszki, nie sprząta szkła, to ma nauczkę - powiedział kąśliwie i spokojnie pchnął mój wózek. - O, pani doktor już idzie - dokończył.

Wkrótce ciotka Sabina pobiegła ratować drącą się po angielsku miss.

Ranek był piękny. Jeszcze nie bardzo gorąco, wiaterek leciutko powiewał, a Młynek pod mostem śpiewał bluesa.

- Ten wasz dom jest jakiś dziwny - stwierdził Dyzio.

- Niby dlaczego nasz jest dziwny, a twój nie? - spytałam zaskoczona.

- U was wszyscy za dużo się śmieją. Ciotka Sabina, zamiast się zmartwić tą Angielką, roześmiała się jak z najlepszego dowcipu.

- Bo Rózia śmiesznie powiedziała, że Angielka drze się po angielsku - wyjaśniłam, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

- No widzisz, znów się śmiejesz.

- Wygłupiasz się Dyziu. Co ci się stało? - zaniepokoiłam się.

- Bo wzorcowy obraz człowieka to człowiek bez uśmiechu. Ma oczy, nos, usta. Zwyczajnie. Bez uśmiechu! - upierał się.

Dojechaliśmy do środka wsi. Mieliśmy jeszcze trzysta metrów do przystani. Ludzie tu i ówdzie migali mi w opłotkach. Dyzio stanął przede mną na baczność i pokazywał wzorcowego człowieka. Wreszcie podszedł do mnie i dwoma palcami próbował podnieść ku górze kąciki moich ust.

- Tak by było nienaturalnie. - Trzymał palce wskazujące na moich ustach. - Teraz uważaj: opuszczam kąciki ust i co mamy? Płacz, smutek. Też coś nienaturalnego.

- Zwariowałeś? - szepnęłam cicho.

Już wszystkie palce Dyzia były na mojej twarzy. Dotykał ust, policzków, skroni... Wreszcie nachylił się i pocałował mnie. Usta miał spierzchnięte. Zdrętwiałam.

Po chwili oprzytomniałam.

- Co... co ty zrobiłeś? Pocałowałeś mnie! - wyjąkałam speszona. - Kogo ty całujesz? Dlaczego mnie, u diabła, całujesz na środku wsi? Stary Pietras stoi i patrzy! - krzyknęłam.

- Bo ja cię kocham! Rozumiesz, kretynko?! - wrzasnął jeszcze głośniejsze.

Tym razem poczułam lód w żołądku. Zaniemówiłam na dłuższą chwilę.

- Mnie się nie kocha, ja się nie nadaję... Mnie nie trzeba kochać, Dyziu. Nie trzeba - przemówiłam z trudem.

- Nie chcę, ale... Zabierasz mi zbyt wiele czasu. Nie wiedziałem, że to miłość. Bóg mi świadkiem, nie wiedziałem. Teraz zrozumiałem... Właśnie teraz.

- Jak to, teraz? - chlpałam.

- W tej chwili poczułem, że bez ciebie nigdy nie będę już mógł żyć normalnie - wyszeptał pokornie. - Kocham cię, moja ty choreńka kretynko...

- Pocałuj mnie, Dyziu - poprosiłam.

Pocałował mnie. Na środku wsi, wobec wszystkich Młynian. Stary Pietras patrzył na nas. Kiwał tylko głową, nie zaśmiał się ani nie powiedział słowa.

- Właściwie to najchętniej chciałabym teraz wejść w łopiany i wrzeszczeć do ochrypnięcia - wyznałam, odsuwając go delikatnie.

- Kiedy już się zestarzeliliśmy, nie mogę sobie wyobrazić, że wrzeszczymy w łopianach. Rany boskie, jak myśmy dorośli - powiedział z autentycznym zdziwieniem.

- Jestem szczęśliwa. Jestem najszczęśliwszą dziewczyną na całej kuli ziemskiej! - zawołałam. Popatrzyłam w niebo i zdawało mi się, że jedna z chmur uśmiecha się do mnie.

- O rany! Przecież musimy pędzić! - oprzytomniał Dyzio.  
- Dolar, kurcze, spada, funt idzie w górę, trzeba to wykorzystać...

Westchnęłam. Dyzio - to Dyzio.

Anglicy wyjechali na trzy dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. Zasadniczo mogli jeszcze zostać, bo i pogoda sprzyjała i wcale nie było im spieszno do kraju, ale oni po prostu wydali wszyscyutkie pieniądze. Młynianie wysnali z nich wszystko do ostatniego pensa. Dziadzius musiał pożyczyć lordowi dwadzieścia dolarów, żeby miał w razie czego do granicy. Potem już są banki.

Koło Gospodyń Młyńskich przygotowało im jedzenie na drogę. Byli wszak bez pieniędzy, a poza tym - jak powiedziała stara Matylda - „w drodze trzeba jeść swojskie, żeby się nie zatruć obcym”. Ładowały więc kobiety w podręczne lodówki jaja ugotowane na twardo (bez jajek ugotowanych na twardo żaden szanujący się Młynianin nie rusza w drogę nawet do miasteczka), dorodne malinowe pomidory, dużo cieniutkich plasterków szynki, mnóstwo rogalików z jagodami, biały ser oraz masło z kropelkami maślanki, owinięte w liście chrzanu.

Małych bochenków specjalnie pieczonego chleba, podplomyków, ciast ze śliwkami i różnych strudli nikt by nie policzył. Anglicy niewiele wydadzą w drodze do domu. To pewne.

- Nigdy nie zapomnimy waszej wsi i waszego domu - powiedział lord żegnając naszą rodzinę. - Jesteście niezwykli.

Dziadzius uśmiechnął się skromnie i pogładził swoją białą (ongis ruda) czuprynę, a potem spojrzał z uwielbieniem na babcię. Oczywiście, wszystko, co dobre, spotyka go tylko i wyłącznie za sprawą Niusiuchny.

Kiedy już odjechali, zebraliśmy się w kuchni, żeby odetchnąć, jak zwykle po gościach.

- Kto chce zdjęcie? - spytała nagle wesolutko ciocia Brońcia.

- Jakie zdjęcie? - zdziwił się dziadzius.

Ciocia Brońcia wyciągnęła spod fartucha supernowoczesny japoński aparat fotograficzny. Rodzina zdębiała.

- Skąd ty to masz? - bez tchu spytała babcia.

- Od lordowej, rzecz jasna. We wsi są takie cztery. Stara Matyllda ma identyczny, Bartusiowa i Pietrasowa dostały trochę mniej nowoczesne - wyjaśniła spokojnie ciocia. - Angielki tak prosiły, że nie miałam serca odmówić.

- Ale o co, na Boga?! - zawołała ciotka Sabina.

- Oczywiście o obrusy. Sześć kompletów sprzedałam. W rezedy i mimozy. - Ciotka popatrzyła na nas dumnym wzrokiem. - Tak się napały, a pieniędzy już nie miały. Comi tam, dobry i aparat. Przyda się.

- Chryste Panie! Po jakiego diabła ci aparat, kobieto?! - wrzasnął oburzony dziadzius. - Jak można być tak pazerną, żeby za kilka szmatek aparat japoński wyhandlować... I to moja rodzona siostra!

Ciotka zaczęła chlipać.



- Przestań Ignas - zdenerwowała się babcia. - To nie żadne szmatki, tylko mozolna praca bardzo uzdolnionych rąk. To Angielki zrobiły interes, a nie Bronia.

- Ja tam nie wiem, ale mnie się to nie podoba. Aparat!!! Stara baba z aparatem!!! A Matylda też taka sama głupia! - prychnął.

- Ależ tatusiu! Angielki za sześć kompletów kupiłyby trzy takie aparaty. Prace cioci Brońci są unikatowe. Białe kruki - przekonywała ciotka Sabina.

- Kruki, panie, kruki! W naszej rodzinie gości się nie obskubuje! - huczał dziadek.

- Ja obskubuję gości? - zboląłym głosem przemówiła ciocia Brońcia i rozplakała się na dobre.

- Aparatu się zachciało! - wrzeszczał dziadziuś, nie zważając na łzy siostry. - Do śmierci ludzie będą się śmiać ze starych bab. Bo to naprawdę zabawne. Mnie samego śmieszy - rzekł dziadek i roześmiał się nagle.

Cała rodzina zaczęła się śmiać. Ciocia Brońcia też się rozpogodziła i otarła łzy. Taka to już rodzina Jasieniów. Płacz i śmiech na przemian.

- Jak ja sprzedałam swoje własne obrusy, to jestem wyzyskiwaczem, ale jak Bodzio za angielskie pieniądze hangary kończy, a Sabina rower kupiła, to w porządku - ciocia Brońcia przypomniła sobie, że też ma język w buzi.

- Aparat ci nie pasuje. I nie trzeba było... - upierał się dziadziuś.

- Widać mi pasuje, skoro ja go mam, a nie wy - zakpiła ciocia Brońcia. - Podobnie jak Sabina rower.

- Nie rozumiem, co w tym złego? - zdziwiła się ciotka Sabina. - W końcu zapracowałam, podatek zapłaciłam i mam prawo kupić to, co mi wpadnie do łba.

- Chciałem zwrócić uwagę, że Sabina uiściła oddzielny podatek dochodowy za działalność rozrywkową i cyrkową - zażartował wujek Bodzio.

- Wymyśliłeś sobie ten cyrk! - rozeźliła się ciotka.

- Strzelanie ma w sobie coś cyrkowego - zauważyła babcia z wyrozumiętym uśmiechem. Moja babcia rozumie wszystkie dziwactwa.

- Sztuczne ognie to nie strzelanie! - Ciotka Sabina była naprawdę zła. - Odczepcie się od moich sztucznych ogni. Anglikom się podobało, byli zachwyceni, a że musieli płacić? Ja też płaciłam firmie, w której kupowałam. Miałam im pokazywać ognie za darmo? Cała rozrywka była przecież wkalkulowana w koszty utrzymania.

- Jesteś w porządku, Sabinko, przecież ja żartuję - rzekł łagodnie wujek. - Prawdę mówiąc, wszystkim nam się opłacało goszczenie Anglików.

- Dzień dobry wszystkim - rozległo się od drzwi. Była to sołtyska Bartusiowa we własnej osobie. - Pan inżynier, gospodarz przystani i Zenek Patyk mają się stawić w gminie, w miasteczku - powiedziała urzędowym tonem.

- Po co? - zdziwił się wujek.

- Zatrudnię wszystkich. Pana inżyniera jako kierownika jeziora i jeszcze dwóch pracowników - wyjaśniła spokojnie. - Usiądę sobie - dodała przysuwając sobie taboret.

- Nic nie rozumiem. Jestem metalurgiem... - zdumiał się wujek. - Nikt mi nic nie mówił.

- Mówię przecież. Mogłabym dostać szklanek wody? - poprosiła sołtyska.

- I będą mu wypłacać pensję? - spytała niepewnie ciotka Sabina.

- A jakżeby inaczej? Kiedy się pracuje w administracji państwowej - to pensja murowana - odparła Bartusiowa i pociągnęła spory łyk kompotu ze śliwek.

- Ja wiem, oczywiście - tłumaczyła się ze swojej głupoty ciotka Sabina. - Rozumiem, ale spadło to na nas dość nieoczekiwanie. Prawie przyzwyczaiłam się do zasiłku dla bezrobotnych.

- Ludzie, ale ja jestem metalurgiem! - wrzasnął zirytowany wujek Bodzio. - Po co mi teraz to wykształcenie? Żeby jezioro oczyszczać i żaglówki szorować?

- Jezioro, przystań i plac kempingowy zarejestrowane są jako własność gminy - informowała sołtyska. - Zgromadzone wkłady będą policzone i zamienione na akcje. Każdy dostanie to, co mu się należy.

- Czyli to już należy do gminy, a nie do Kołeczka? - spytał skołowany do cna wujek.

- Wyrok jeszcze nie zapadł. Gmina uważa, że to jest jej własność, zaś Kołeczek - że nie. Sąd rozsądzi. Na razie macie pracować na gminnym. Ja bym się zbytnio nie przejmowała Kołeczkiem. Młodojcecy kiedyś tam komuś sprzedali sto hektarów lasu. O ugorach, na których jest jezioro, nic nie wiadomo. A długów ciążących na lesie było więcej niż drzew.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - spytała ciocia Brońcia.

- A kto ma wiedzieć? - powiedziała z godnością Bartusiowa. - Chcę wam jedno powiedzieć: sprawy byłych właścicieli gruntów, od pół wieku zagospodarowanych, są tak zagnatwane, że właściwie jeszcze dzieci inżyniera mogą stawać przed sądem - ostrzegła.

- No tak... - jęknął wujek.

- Na razie wygląda na to - ciągnęła swą wypowiedź sołtyska - że odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Gmina przyjęła Anglików, którzy zapłacili za swój pobyt, i wszyscy na tym dobrze wyszli. Koło gospodyń ma sześć kompletów francuskich serwisów z ciemnego szkła. Wykończono przystań i choć do hangaru trzeba będzie jeszcze trochę dołożyć, stanie i żaglówki na zimę będą zakonserwowane.

Zbudujemy specjalne pomieszczenie, gdzie będą łazienki, prysznice... Słowem - stawiamy na turystykę! - oznajmiła dumnie.

- Anglicy znów przyjadą? - zdziwiłam się.

- Nie oni, to inni. Zawsze ktoś może przyjechać, jak się zrobi dobrą reklamę. - Bartusiowa okazała się pierwszorzędnym menedżerem.

Wszyscy przyznali jej rację.

Wieczorem zadzwonił Dyzio.

- Cześć! Dzwonię, bo mam już rurki aluminiowe. Wymiarowe, całe trzydzieści metrów prosto z Kęt. Zapłaciłem żywą gotówką. Cieszysz się? - w jego głosie brzmiała sama radość.

- Miałeś tyle pieniędzy?

- Przecież pracowało się przy Anglikach. Zostało jeszcze na linkę.

- Gdzie kupiłeś? Przywieźli do sklepu?

- Od Kołeczka...

- Od kogo? - wrzasnęłam nieludzko.

- Co się drzesz prosto w ucho?! Pan Kołeczek był u Wilkoszów i zgadaliśmy się, jak już wyjeżdżał. Mógł mi sprzedać sto metrów, gdybym tyle potrzebował. On czymś podobnym handluje.

- A czym przyjechał? - spytałam przytomnie.

- Starym żukiem, zresztą nie jego, tylko współnika.

Przywieźli składane koszycki dla perliczek. Perliczki muszą być w czymś takim transportowane za granicę. Pan Wilkosz dawno u niego zamówił.

- Amelcia już jest?

- Skąd mam wiedzieć. Nie byłem u Wilkoszów. Spotkałem Kołeczka po drodze. Zaczepił mnie sam. Wie, że buduję lotnię i spytał, czy nie potrzebuję rurek. Z nieba mi spadł.

- Dyziuuu - wykrztusiłam, czując ucisk w gardle.

- No...

- A tamto? No wiesz... tamto...

- Oczywiście. Nic się nie zmieniło... Nie zmieni się. Zrozumiał w ciągu ułamka sekundy. Zarumieniłam się i powolutku odwiesiłam słuchawkę. Żeby się tak rumienić! Stara baba! Boże! Jaka ja jestem szczęśliwa!!!

- Buruś! - zawołałam i zachęcająco klepnęłam się po udach. Burek w jednej chwili skoczył na mnie, oblizując dokładnie moją twarz.

- Burek! - krzyknęła babcia. - Nie liź Zuzki! Bóg wie, co on tam w lesie zjada, a ty pozwalasz mu na takie rzeczy. Wariatka.

Zaśmiałam się i przytuliłam mocniej Burka. Przecież nie powiem babci, jak bardzo jestem szczęśliwa, że to nie Burek, że to TAMTO...

Pierwszego września dowiedziałam się, że nie będę chodziła do szkoły wraz z innymi uczniami. Objęta zostałam indywidualnym tokiem nauczania. Uznałam, że ta decyzja nie może mnie zmartwić. Ja jestem człowiek szczęśliwy, a takiego smutki się nie imają. Niby dlaczego mam się martwić? Wiekowo nadaję się do klasy czwartej, a miałabym siedzieć z piętnastolatkami? W domu też się nauczę. Rodzice wynajmą profesora, ale dopiero od pierwszego października. Będzie do mnie przyjeżdżał na lekcje.

Wszystko to nic. Anielka wróciła! Przyszła na plac szkolny, jakby nigdy nic. Filip Bartuś spytał ją, gdzie była i usłyszał: „U babci”. Dyzio twierdzi, że Anielka jest jakaś zgaszona i patrzy na boki.

Wpadła do mnie późnym wieczorem. Cała rodzina siedziała i oglądała film w telewizji. Byłyśmy same. Od razu zwróciłam uwagę na zmianę, jaka zaszła w Anielce. Spostrzegłam, że nie nosi już cygańskich złotych obręczy,

niemiłosiernie obciągających uszy, a włosy, zwykle rozpuszczone, tym razem miała zaplecione w jeden warkocz. O kurczę!

- A ty coś raptem taka skromniutka? - spytałam surowo. - Już się martwiłam, że uciekłaś do jakiejś Ameryki lub jeszcze dalej. Twój tata szukał cię przecież przez policję. Siadaj. Uprzątnij te gazety, ciotka zawsze je rozwlecze po fotelach.

Anielka jak grzeczna dziewczynka pozbiierała gazety ze wszystkich mebli, ułożyła je w kupkę i przysunęła sobie mój pluszowy fotel.

- Nie uciekłam, chociaż żałuję - powiedziała.

- Nie żartuj. A szkoła?

- No właśnie. Szkoła. Gdyby nie to, pewnie bym nie wróciła.

- Dobra. Powiedz, co się właściwie stało. W pierwszej chwili, jak się dowiedziałam, że zniknęłaś, strasznie się zdenerwowałam. Pamiętasz? Opowiadałaś mi coś o Zenku... Najgorsze myśli mnie nachodziły.

- Że się zabiłam? - zapytała z gorzkim uśmiechem.

- No nie aż tak... - skłamałam.

- Zenek chyba mnie nie chce, a teraz, jak się dowie... - rozszlochała się.

- Przestań ryczeć! - krzyknęłam. - Porozmawiajmy spokojnie. Najgorsze, co może być, to histeryczne popłakiwanie. Nic się już nie odstanie. Chcę wiedzieć, co się stało, jeżeli przyszłaś szukać u mnie pociechy.

- Przysięgnij, że nikomu nie powiesz! - zażądała ocierając łzy.

- Jak Boga kocham, nie powiem nikomu - wypowiedziałam przysięgę.

- Ani Dyziowi - zastrzegła.

- Ani Dyziowi - zgodziłam się z ociąganiem, bo właśnie chciałam powiedzieć sobie w duchu: „tylko mojemu Dyziowi”.

- Lepiej, żeby mnie szlag trafił - zaklęła z zapalem - nim mi wpadło do głupiego łba, by tam jechać.

- Gdzie? Mów po kolei, z łaski swojej, bo nic nie rozumiem - poprosiłam.

- Kołeczek... - zaczęła.

- Kto? - wrzasnęłam, przerywając jej w pół zdania.

- Kołeczek mi szepnął tę bzdurę, a ja, jak ostatni tłumok, musiałam go usłuchać - dokończyła nieomal z płaczem.

- Ten Kołeczek mnie prześladowuje. Zaraza na Młynię padła - rozżłościłam się niemożebnie. - Gdzie się obróczę, tam Kołeczek! Wiem tylko, że wszystko, co z nim związane, przynosi jakieś nieprzyjemności.

- Żebyś wiedziała! Cholerny Kołeczek - zgodziła się Anielka.

- No, ale co w końcu zrobiłaś? - zapytałam.

- Powiedział mi, szmondak brudny - określenia Anielki są barwne - że mam okazję wygrać samochód, jeżeli nie japoński, to chociaż naszego malucha.

- Gdzie wygrać? - zdziwiłam się.

- No przecież nie w toto - lotka, wariatko - odparła ironicznie. - Brałam udział w wyborach miss, rozumiesz?

Zdębiałam. Zamurowało mnie na dłuższą chwilę.

- Gdzie, na litość boską?! - wykrztusiłam z siebie, gdy oprzytomniałam wreszcie.

- Na Mazurach. Ale to jeszcze nie wszystko... - urwała nagle.

- Jezus Maria! A jak się można jeszcze bardziej wygłupić? Masz zbyt wysokie mniemanie o swojej urodzie - rzekłam wprost.

- Ależ nie. Mówię ci, że Kołeczek mi to wmówił. Był tam zresztą... To by było nie takie najgorsze... ale... - Anielce wyraźnie brakło słów.

- No, mów wreszcie! Ktoś cię skrzywdził? - Najgorsze przychodziło mi do głowy.

- Nie. Sama się skrzywdziłam - odparła ponuro. - To były wybory miss biustu...

Prawdą jest, że w absolutnej ciszy słycać przelot muchy. Taka właśnie cisza zaległa po słowach Anielki.

- Dobrze - odezwała się pierwsza. - Brałaś udział w konkursie, to znaczy paradowałaś z gołymi piersiami przed obleśnymi typami?

- Na Zachodzie, na każdej plaży... - zaczęła nieco speszona.

- Nie jesteś na Zachodzie, tylko w Młyni - ucięłam ze złością. - Mówmy raczej z pozycji wiejskich dziewczyn, które do najbliższego małego miasteczka mają dziesięć kilometrów. Zachodnie wzorce niech wprowadzają inni. Niekoniecznie ty.

- Co się drzesz?! Kazanie? Słyszałam już od ojca!

- wrzasnęła czerwieniąc się, lecz natychmiast dodała:

- Przepraszam. Ja to wszystko wiem, ale dopiero teraz. To znaczy zrozumiałam zaraz potem, jak taki jeden się do mnie przyczepił i dałam mu w pysk. Wtedy pojęłam, że palnęłam największe głupstwo w życiu, że jak się Zenek dowie, to już nigdy nie przyniesie mi konwalii, że... że... najlepiej umrzeć... - Anielka rozplakała się na dobre.

- Mówiłam, nie rycz! - fuknęłam ze złością. - Rozpatrzmy sprawę spokojnie. Ja też niepotrzebnie się wkurzyłam. Opowiedz od początku.

- No więc, Kołeczek mnie zapisał... - zaczęła nieśmiało.

- Nie powtarzaj tego nazwiska, proszę cię - jęknęłam.

- Kiedy mnie zapisał - ciągnęła ocierając łzy - kupił bilet i zawiózł na stację.



- Czym cię odwiózł?
- Samochodem.
- Jakim?
- Czy ja wiem jakim? Noc była. Dużym.
- Koloru nie widziałaś? - dopytywałam się. Nazwisko Kołeczek budziło we mnie doktora Watsona.
- Pojęcia nie mam. Co ci strzela do głowy? - zirytowała się Anielka:
  - Nic. Opowiadaj. Najlepiej zacznij od momentu, kiedy znalazłaś się na Mazurach - poprosiłam.
  - No więc przyjechałam. Czekał na nas gruby facet i wymalowana facetka. Ze mną przyjechały jeszcze trzy dziewczyny. One autobusem, a ja pociągiem - wygnieciona, sponiewierana, jak tylko można być sponiewieranym po nocnej jeździe koleją. Myślałam nawet, że jestem najbrzydszą dziewczyną i nie wiedziałam, po co się tam pcham.
  - Anielka opowiadała, a łzy obsychały jej na policzkach.
  - Zaraz chciałam dzwonić do taty, ale tam nie było automatu. Trzeba było zamawiać rozmowę na poczcie, która jest czynna od ósmej do trzeciej. Trochę się zdenerwowałam, bo bałam się, że tata zacznie mnie szukać przez policję. Tak się też stało i wtedy pierwszy raz mnie tknęło, że chyba głupstwo zrobiłam.
  - Tknęło cię? Dobrze, że chociaż cię tknęło - wtrąciłam złośliwie.
  - O Jezu, przestań! Mówię ci wszystko, jak na świętej spowiedzi, a ty gderasz jak stara baba - warknęła na mnie.
  - Dobrze, już dobrze, przepraszam - powiedziałam, jak mogłam najłagodniej.
  - Potem już było lepiej. Przyjechały różne dziewczyny, z miasta, ale także i ze wsi. Też uczennice. Jakoś przestałam się martwić tatą i Młynią. Mówię ci - zaczęło być fajnie.
  - Właśnie - mruknęłam.

- Całe dwa tygodnie uczyłyśmy się ładnie chodzić, stawiać stopy jedną przed drugą, trzymać prosto głowę i takie tam dyrdymały. Potem już było gorzej: zaczęli nas obmierznać i się wygłupiali... - Anielka zamilkła na chwilę.

- Dobrze - przerwałam milczenie. - Powiedz mi, jak było na samym konkursie?

- Pełen luz - odparła z lekkim uśmiechem. - Początkowo dziewczyny były speszone, ale potem zaczęłyśmy rywalizację. To tak jakoś wciąga człowieka - wyznała.

- Patrzcie ją! Wciągnęło sierotkę! - zakpiłam.

- Po pierwszym wyjściu podszedł do mnie facet: stary, brodaty i brzuchaty... Nie musisz się śmiać, do diabła! - wrzasnęła na mnie w przerwie. - Nie powiem ci, co mówił, bo ja sama z wrażenia zdębiałam, po czym z całej siły walnęłam go w zęby. Krew mu poleciała z rozciętej wargi, jak Boga kocham... - dokończyła wzburzona.

- I co? Co on zrobił? - spytałam niecierpliwie.

- Oblał mnie w konkursie. To był jeden z jurorów. Takiego już mam pecha. Zawsze się do mnie przystawia nie ten, na którego czekam. Mniejsza z tym. Potem zobaczyłam Kołeczka i nogi się podę mną ugięły.

- Dlaczego? Przecież z nim uzgadniałaś występ - zapytałam naiwnie.

- Co innego uzgadniać, a co innego paradować nago przed znajomym chłopem - odparła. - Nogi zaczęły mi się plątać, byłam czerwona jak burak. Wyglądałam chyba dość nieszczęśliwie. - Anielka znów zamilkła na dłuższą chwilę.

- I...? - ponaglałam.

- I nic. Dziesięć razy tak łążyłyśmy. Potem dowiedziałam się, że zajęłam czwarte miejsce. Oczywiście, ten brodaty mnie załatwił. Kołeczek mi powiedział. Byłabym miała co najmniej drugie. Nie wygrałabym samochodu, ale zawsze...

- Kto o tym wie? - spytałam.

- Tata, Kołeczek i teraz ty. Przysięgałaś! Pamiętasz, przysięgałaś! - zawołała z niepokojem.

- Ja nie powiem nikomu ani słowa - powiedziałam stanowczo.

- Ani Dyziowi? - dopytywała się Anielka.

- Ani Dyziowi. Nie łamię raz danych obietnic - rzekłam dobitnie. - Co powiedział tata?

- Myślałam, że mnie do domu nie wpuści. Wiedział, gdzie jestem, bo w końcu się dodzwoniłam, tyle że nie powiedziałam dokładnie, jakie to wybory. Był zły, ale jeszcze nie znał całej prawdy. Potem Kołeczek go uświadomił. Podobno wściekł się, spił jak wieprz i wrzeszczał, że mnie zabije.

- I co?

- Nie zabił mnie, jak widzisz. Nie odzywa się do mnie, traktuje jak powietrze. Myślę, że z czasem... - urwała nagle.

- Z czasem mu przejdzie - dokończyłam. - A ile trzeba mieć w biuście, żeby wygrać konkurs? - zapytałam, chcąc nieco rozładować atmosferę.

- Biust musi być ładny - Anielka ożywiła się. - Wstań - poleciała. - Nosisz stanik?

Wstałam i wypięłam biust.

- Wymiary idealne, to tyle samo w biuście, co w biodrach. Może być kapkę więcej. Ty masz wysoki biusy, przynajmniej w bluzce. Rozbierz się. Obmierzę cię - zaproponowała na koniec.

Oprzytomniałam.

- Odczep się, wariatko! - wrzasnęłam.

- Najpierw się pytasz, a teraz krzyczysz. To ty jesteś wariatka - obruszyła się.

- Chciałam tylko znać idealne wymiary. To wszystko - wyjaśniłam. - W każdym razie tobie nie opłacała się ta cała

wyprawa. Przyjechałaś taka sama, jak wyjechałaś, czyli bez forsy.

- Posiedziałam za to trochę na plaży, miałam wikt, pośmiałam się - pocieszała się jak mogła Anielka. Powiem ci, że w sumie było fajnie.

Zaczynałam poznawać dawną Anielkę z jej dewizą życiową „jakoś to będzie”.

- Jakoś to będzie - powiedziałam głośno.

- O rany! Żeby tylko ktoś nie rozgadał - rzekła z obawą i pomału zaczęła zbierać się do wyjścia.

Późnym wieczorem zadzwoniła pani Amelia.

- Cześć! Jak się miewa moja koleżanka Zuzia? - pytała śmiejąc się w słuchawkę.

- Dziękuję, znakomicie. Anielka jest w szkole - poinformowałam.

- Wiem. Wiem nawet, gdzie była i po co...

- Mówiła pani, że przestała poszukiwać Anielki.

- Oficjalnie tak, ale przecież nie może być tak, żeby policja nie interesowała się obywatelem pozostającym pod jej opieką. Gdyby się rzeczywiście coś stało, nikt by mi tego nie wybaczył - wyjaśniła i po chwili spytała: - Zuziu, ty masz chyba wszystkie książki Romain Rollanda, prawda?

- Owszem, mam, ale chyba nie wszystkie - odparłam.

- Jutro będę nad jeziorem, ty zapewne też, bądź więc tak dobra i przynieś mi „Colasa Breugnon”. Naszło mnie na Rollanda.

- Mnie też czasem nachodzi na jakiegoś pisarza.

- A co teraz czytasz? - zapytała.

- Po historii z ucieczką Anielki lubię poczytać sobie o przygodach Szwejka. To mi łagodzi charakter - odrzekłam ze śmiechem.

- Zdumiewające... No to cześć. Z góry dziękuję. Aha, ile to trzeba mieć w biuście, żeby wygrać konkurs na miss? - zapytała najpoważniej w świecie.

Roześmiałam się prosto w słuchawkę.

- To samiutko chciałam wiedzieć, kiedy mi Anielka opowiadała swoje przygody! Kazała mi się rozebrać, żeby mnie obmierzyć. W ten sposób nie dowiedziałam się najważniejszego - odparłam.

- Zapewne ja się też nie dowiem - powiedziała Amelia, chichocząc po swojemu.

Minęło kilka dni. Właśnie siedziałyśmy z ciotką Sabina przy jak zwykle spóźnionym śniadaniu, gdy do kuchni weszła zamasyście Matylda.

- Dzień dobry. Gdzie są wszyscy? - zapytała.

- To znaczy, kto jeszcze? Z wyjątkiem Bodzia wszyscy są w domu, tylko gdzieś w gospodarstwie - poinformowała ciotka.

- Chciałam pożyczyć wiertarkę. Franek do czegoś tam potrzebuje. Kable będzie przez ścianę prowadził. Jakies satelity czy coś takiego... - Matylda przysunęła sobie taboret, usiadła i nie widać było, że jej gdzieś spieszo.

- Odpocznij chwilę, ciociu - zapraszała ciotka Sabina. Wszyscy nazywaliśmy starą Matyldę ciotką. We wsi było jeszcze kilka przyszywanych cioc. - Może kawy?

- Świat nie widział, co się na tej wsi wyprawia. Nie wejdiesz do żadnego domu, gdzie by ci kawy nie proponowali. Kto to kiedyś pił kawę? - dziwiła się. - Oczywiście wypiję szklaneczkę, byle była mocna, słodka i gorąca - dodała.

- Chyba będę musiała świeżej zaparzyć, bo w dzbanku już kapkę ostygła - bez najmniejszej chęci zaofiarowała się ciotka.

- Lury z dzbanka nie piję, więc jak sobie chcesz... - oświadczyła stanowczo Matylda. - Nie wiem, czy wiecie,

gdzie była Anielka Wilkoszów, kiedy to ją policja szukała - zaczęła z namaszczeniem.

Ja zdrętwiałam, a ciotka Sabina uniosła zaciekawioną głowę.

- Nie wiemy - powiedziała spokojnie.

- Brała udział w konkursie. - Matylda przyjęła szklanę kawy. - Takim, co się nazywa wybory miss biustu, a to znaczy, że paradowała z gołymi, za przeproszeniem, cyckami, przed obcymi ludźmi. Konkursu nie wygrała, tylko wstydu się najadła. Ot, Wilkoszówna! - Matylda powiodła po nas triumfującym wzrokiem. - Matki brakło! - stwierdziła.

- Coś podobnego - odezwała się ciotka Sabina. - Nie wygrała? Przecież to zgrabna dziewczyna. Widocznie były od niej lepsze. Szkoda, bo jak się już zdecydowała, to dobrze by było, żeby zwyciężyła.

Stara Matylda tym razem zdrętwiała. Nie mogło się jej widać w głowie pomieścić, że ciotka tak lekko przyjęła wiadomość.

- A ile to właściwie trzeba mierzyć w tym całym, jak mu tam, biuście, żeby wygrać? - zapytała po chwili.

Roześmiałyśmy się z ciotką Sabiną szaleńczo, a potem śmiałyśmy się już we trójkę. Miło, jak stara wiejska kobieta ma poczucie humoru. Uwielbiam naszą Matyldę.

Listy, listy... Od Krysi i Marysi wspólne, związane pisanie: o podróży poślubnej, mężach, psie Burku, czystym kundlu znalezionym pod własnym samochodem, o samych drobiazgach, może i zabawnych, ale nic nie mówiących o moich siostrach. Nie widziałyśmy się kilka lat, a przedtem też mało obcowałyśmy ze sobą. Przestałyśmy umieć ze sobą rozmawiać. Jakoś nie mogą pojąć, że mam już osiemnaście lat, że mimo choroby interesuje mnie świat i mam na jego temat własne zdanie. Obawiam się, że trudno byłoby nam się naprawdę zaprzyjaźnić.

List od rodziców. Serdeczny, ciepły, pełen tęsknoty. Nie tej napisanej i ułożonej w odpowiednie słowa. Tej wyczytanej między wierszami.

Wiem, że przeogromnie martwią się o moje zdrowie, o przebieg choroby. Wiem, że im ta sprawa spędza sen z powiek. Tak bardzo chciałabym być z nimi.

List od ciotki Teresy. Potwornie chaotyczny. Sprawy najwyższej wagi obok zmartwienia o pchły kotki Eweliny. Ciotka startuje na uniwersytet!!! Marzy się jej tłumaczenie książek pisarzy polskich. Chwalebne. Ciotka Teresa przeważnie dochodzi do tego, co sobie postanowiła, dlatego też nie lekceważyłabym nowego hobby ciotki, co robi wujek Hans. On, biedny, w dalszym ciągu nie zna mojej wspaniałej cioci, ulubienicy ciotki Brońci, doktora Sznicera i księdza proboszcza.

List z Austrii od profesora Adlera. Wolne miejsce w jego klinice może być dopiero w grudniu. Dziękuję ci, święty Tadeuszu, że do grudnia jeszcze prawie trzy miesiące.

List od naszego angielskiego lorda do dziadka Ignacego Jasienia. Lord przesyła pięćset dwadzieścia funtów. Dwadzieścia oddaje dziadziusiowi z podziękowaniem za pożyczkę, pięćset przekazuje na budowę hangaru dla żaglówek.

Wujek Bodzio stanął na rękach, jak się o tym dowiedział. A zachowuje się tak tylko w przypadkach nadzwyczajnej radości. Podobnie jak ja. Tyle że ja wrzeszczę w łopianach.

Młynia nad potokiem Młynkiem, wijącym się wśród dzikich grusz, jest wsią na końcu świata albo „zadupiem”, jak woli ciocia Brońcia. Do najbliższego miasta mamy bite dziesięć kilometrów. Niemniej Młynia rozwija się. Nie jest wsią zacofaną. Wciąż ktoś przynosi jakąś nowinkę. Tak pojawiły się u nas domofony, o pralkach automatycznych i mikserach już nie wspominał. Ostatnio Młynia zachorowała

na kuchenki mikrofalowe. Już jest kilka, a przysięgłabym, że w ciągu roku znacznie ich przybędzie.

Anglicy nad jeziorem też byli nowinką. Młynia zawzięła się, żeby sobie zapracować na status wsi turystycznej. Może nie uczyniła tego w pełni profesjonalnie, ale zagraniczni goście odjechali niezwykle zadowoleni, a mieszkańcom przybyło nowego doświadczenia. Docenili jezioro, a w każdym razie zaczęli na nie patrzeć okiem gospodarza. Nagle wszystkim zaczęło się szalenie podobać przebywanie nad jeziorem. Ku zdumieniu młodzieży starsi nie wystąpili przeciw propozycji organizowania ogniska w sobotnie wieczory. Odwrotnie, sami zaczęli na nie uczęszczać gromadnie. Dwie godziny przed ogniskiem przybiegały dzieci, potem w odstępach, z małymi stołeczkami w rękach, starsi. Stary Piecuch przynosił sobie fotel z wikliny i zapas tytoniu do fajki. Rozsiadali się, gdzie kto mógł, i czekali na zmierzch, żeby zapalić ognisko. Potem zazwyczaj słuchali prób orkiestry dętej lub kameralnej smyczkowej, czy też nowo powstałej kapeli. Posiedzieli, pogwarzyli i rozchodzili się do domów koło północy.

Wszyscy lubiliśmy te sobotnie wieczory przy ognisku. Zwabiły one też w końcu mieszkańców sąsiedniej wsi.

- Pszeniczne przyszły! - zawołał z wielkim oburzeniem brat Dyzia, mały Kuba, który nie mógł zrozumieć, że mieszkańcy Pszenicznej dobrowolnie, nie ciągnięci na powrozach, przybyli na nasze ognisko.

- Niech siadają - jakby nigdy nic rzekł gospodarz przystani. - Mają prawo. A stołeczki mają? - zatroskał się.

Natomiast trzej starsi panowie plus prezes Okoński i ja zajęliśmy miejsce bliżej jeziora, bo ksiądz proboszcz łowił ryby. Na razie bez skutku. Komisarz Amelia Kita wraz z Dyziem Leszczem pływali żaglówką i, jak można było dostrzec, robili to z nie byle jakim kunsztem. Pani Amelcia



przemieszczała swą korpulentną sylwetkę z burty na burte, w zależności od potrzeb.

- Czy oni się nie utopiają? - zmartwił się ksiądz. - Amelcia tak skacze z jednej strony na drugą.

- Mają kapoki - spokojnie poinformował doktor.

- A jakby nawet, to nic by się znowu takiego straszego nie stało.

- Widać jak już coś powie, to obrzydzenie bierze - zezłościł się proboszcz.

- Trochę byłoby szkoda - powiedział z uśmiechem prezes.

- Kto by czuwał nad bezpieczeństwem Młynian? Kto by rozwikływał zawile zagadki kryminalne? Wreszcie, kto by woził Zuzię?

- Drogi panie - odezwał się dziadzius dobrotliwie - jak Młynia Młynią nigdy tu nie było żadnej zagadki kryminalnej. Zuzia po operacji znowu będzie sama chodzić. Mogą się więc topić - rzekł i zrobił do mnie perskie oko.

- W imię Ojca i Syna - przeżegnał się ksiądz - czy wy musicie grzeszyć? Życzą porządnym ludziom, żeby się potopili!!!

- A nieporządni mogą się topić? - złapał księdza za słówko doktor.

- Nie pleć - warknął ksiądz. - Ciszej bądźcie, bo ryby straszycie. Już trzeciego robaka zakładam.

Było cicho przez jakieś trzy minuty.

- Jakie trzeba mieć sumienie, żeby tak ostre szpile z przynętą nastawiać na biedną rybkę - udając zgorszenie odezwał się doktor. - Porządny człowiek, a nie ma sumienia. I to ksiądz, z przeproszeniem.

- Właśnie - przytaknął dziadzius, bo przeczuwał dobrą zabawę. - Gdybym był rybą...

- No właśnie, Ignaś, co byś zrobił, gdybyś był rybą? - spytał doktor.

- Nie skusiłbym się na proboszczowską glizdę, to pewne - poważnie odparł dziadzius.

- Ja też nie - zgodził się doktor. - Ja bym jeszcze... Wiesz, co bym jeszcze zrobił?

- No? - dziadzius się świetnie bawił.

- Przywiązałbym do jego haczyka karteczkę z napisem: „A gównno, a gównno, a gównno...” Tak bym zrobił.

Prezes roześmiał się na cały głos, za nim ja, bo sobie wyobraziłam piszącą rybę, a potem zaśmiali się wszyscy. Śmiali się Młynianie i Pszenicznicy, i żeglarze, chociaż nie wiedzieli z czego. Śmiech rozlegał się po całym jeziorze. Nie wiem, czy to było aż takie śmieszne. Widocznie było nam wesoło i czuliśmy potrzebę śmiechu. Ksiądz ocierał załzawione oczy, a wędka beznadziejnie moczyła się w wodzie, bez najmniejszego drgnienia. Prezes spoglądał raz na mnie, raz na dziadziusia.

- Wiecie, że jesteście bardzo podobni do siebie? Zuzia to żywy portret dziadka - zauważył. - Te same oczy, ten sam śmiech...

- Owszem - zgodził się doktor - również te same rude włosy i piegi.

- No i dobrze. Nam one nie przeszkadzają - odparł ze śmiechem dziadzius.

- Dyziowi się podobają - powiedziałam wesoło.

- Mój drogi panie - odezwał się do prezesa znad swej wędki ksiądz. - Jasieniowie łapią życie na swój uśmiech. Dzięki uśmiechowi wszystko im wychodzi, za co by się nie wzięli. Ignas, mogę opowiedzieć historię twego małżeństwa?

- Małżeństwo jak małżeństwo - odparł dziadzius, choć nie mógł ukryć zadowolenia.

- Widzi pan - rozpoczął ksiądz, porzucając wędkę - zaraz po wojnie, całkiem przypadkiem, do Młyni przyjechała panna

Halina Malinowska. Przystojna i śliczna studentka z Poznania. Wkrótce natknęła się na Ignasia Jasienia...

- Kurdupla, o głowę niższego od panny - wtrącił dziadziuś z niejaką dumą.

- Właśnie - zgodził się ksiądz. - Panna zagadała, chłopak odpowiedział i na nieszczęście uśmiechnął się tym swoim Jasieniowskim uśmiechem. I co pan powiesz? Została. I jest do dzisiaj. Rzuciła studia, Poznań, żeby mieszkać w Młyni, urodzić ośmioro dzieci i palić w Starym Łajdaku, kopącym piecu w starym domu. Piec zresztą dymi do dziś.

- Tylko na deszcz - uściśliłam.

- Ale dymi - upierał się proboszcz. - Dymi jak diabli. Ośmioro dzieci odziedziczyło kolor włosów ojca, wszystkie są rude, piegowate...

- Ciocia Teresa ma ciemne włosy babci - przerwałam.

- Tak, jedyna Tereska, ale uśmiech ma ten sam. Wnuczki, zamiast wrodzić się w ładniejszego z rodziców, wszystkie rude, piegowate, z zębiskami... - Proboszcz urwał nagle spojrzawszy w stronę jeziora. - Rany boskie! - wrzasnął. - Widuś, bierz no siatkę! Jakaś wielka ryba się złapała!!! Podaj sak. Pośpiesz się, bo się urwie!!! Co za gamoń! Szybko!

Wędka jak oszalała miotła się po brzegu, a ksiądz za nic nie mógł jej uchwycić. Wreszcie, przy pomocy prezesa, wyciągnięto blisko dwukilogramowego karpia. To był prawdziwy okaz. Potem złowiono jeszcze sześć karpia. Szczęście dopisało także wujkowi i staremu Leszczowi.

Karpie natychmiast oczyszczono, pokrojono i rozdano uczestnikom ogniska. Wbite na patyk i upieczone nie mają sobie równych w smaku.

Koło północy przyszedł Wilkosz z córką i Zenkiem. Anielka usiadła na ziemi, pociągając za sobą Zenka.

- Proszę, siadaj, Anielciu. - Wujek Bohdan podał jej własne krzeselko z nadzwyczajną grzecznością. - Niech no

który ustąpi swojego stołeczka panu Wilkoszowi! - zawołał do młodych.

Wnet znalazło się wolne krzesło.

- Słyszeliśmy takie śmiechy nad jeziorem, że nas skusiło i przyszliśmy - zagadał Wilkosz.

- Prosimy, dla każdego miejsce się znajdzie. - Niezorientowany w wiejskich plotkach wujek Bohdan nie wiedział, że dzisiejsza obecność Anielki wśród Młynian to jej być albo nie być w tej wsi.

- A myśmy dzisiaj z Zenkiem interes ubili - rzekł powoli i bardzo głośno pan Wilkosz. - Zastępcą mi będzie w moim interesie. Eksport się rozwija, roboty coraz więcej, trzeba mi więc zaufanego człowieka, bo inaczej nie powiększę hodowli.

Pomruk zaciekawienia rozległ się tu i ówdzie.

- Chłopak szkołę ma, pracował w kółku rolniczym, o swoje będzie jeszcze lepiej dbał...

- O swoje? - podchwycił doktor.

- Zaraz po maturze Anielki bierzemy ślub - wtrącił poważnym tonem Zenek. - To znaczy: ona jest teraz moją narzeczoną. Tak, narzeczoną - powtórzył dobitnie i rozejrzał się groźnie dookoła, czy nie słyhać jakichś niemiłych komentarzy.

Komentarzy nie było, natomiast pojawiło się coś w rodzaju westchnienia ulgi. To był sposób na Młynię. Jedyny.

Pierwsza klasa licealna idzie mi nadspodziewanie dobrze. Nauczyciel jest zadowolony. Uznał widocznie, że nie jestem ostatnim jęłopem. Nie poświęcam zbyt wiele czasu siedzeniu przy biurku, po pierwsze zdrowie mi na to nie pozwala, a po drugie zwyczajnie jestem leniwa. Mimo to jakoś idzie. Jest nadzieja, że zdam do drugiej klasy, mimo przerwy na planowaną operację. Zresztą zobaczymy.

Ciotka Sabina przestała rozmawiać i odłożyła na stolik słuchawkę telefonu.

- Mamo! - krzyknęła w stronę kuchni.
- Słucham - odkrzyknęła babcia.
- Franek pyta, czy Stary Łajdak dymi, bo nie wiedzą, czy jechać zbierać ziemniaki. W radiu mówili, że będzie padać.
- Nie dymi. Będzie pogoda - stanowczo oświadczyła babcia.

Ciotka wróciła do telefonu.

- W radiu jak zwykle podają nieścisłe informacje - powiedziała. - Stary Łajdak nie dymi, więc mama twierdzi, że nie będzie padać. Możecie jechać.

Stary Łajdak był dla całej wsi autorytetem w dziedzinie meteorologii. Aż dziw, że radio nie zainteresowało się jeszcze naszym piecem.

Pan nauczyciel przyszedł około jedenastej.

- Poczujemy się trochę? - zapytał uprzejmie.
- Musimy - odpowiedziałam bez entuzjazmu.

Siedzenie przy biurku sprawia mi wiele trudności, jednak jakoś nie chce mi się o tym mówić ciotce Sabinie. Dotąd tego nie zauważałam. Teraz pochylenie się w przód w pozycji siedzącej sprawia mi nie tyle ból, ile drętwienie i lekkie mrowienie kręgosłupa. W sumie uczucie bardzo nieprzyjemne, a co gorsza prowadzące osłabienie. Ostatnio zmieniłam długopis. Stary metalowy, od taty, był stanowczo za ciężki.

Poczyliśmy się do pierwszej.

Po południu coś załomotało na moście. Jasieniowie znakomicie rozróżniają dudnienie mostu. Inaczej słysząc idące krowy, inaczej wóz konny, jeszcze inaczej przejeżdżającego malucha lub przebiegające pędem stado baranów Bartusiowych. Tym razem był to duży samochód osobowy.

- Jakby samochód Hansa... - rzekła nadstawivszy ucha ciotka Sabina.

- Ale to przecież niemożliwe... W środku tygodnia? Potem usłyszeliśmy klakson i nie było już żadnej wątpliwości.

Najpierw wypadła ciotka Teresa, na którą w pierwszej kolejności skoczył Burek, potem wujek Hans, aż wreszcie... Tata!!! Mój tata z samej Wenezueli!!!

Powitalne wrzaski pomieszały się ze szczekaniem ogłupiałego ze szczęścia Burka. Ja siedziałam na wózku i płakałam. W odróżnieniu od Burka muszę oplakać takie szczęście. Nawet nie marzyłam o tacie. Nawet przez sekundę nie przyszło mi na myśl, że może przyjechać. Witaliśmy się długo.

- Stach przyjechał kupić tego całego Kołeczka - oświadczyła ciotka Teresa. - Hans jest skłonny przystąpić z nim do spółki.

- Z Kołeczkiem? - zdziwiła się ciotka Sabina.

- Ależ nie, ze Stachem. Załatwią sprawę z Kołeczkiem, mianują Bodzia dyrektorem turystycznego interesu i po krzyku. Burek! - wrzasnęła nagle. - Burek mnie obsikał!!!

- Z radości - poinformowała ciocia Brońcia.

- Przecież wiem... - Ciotka Teresa nie była tym zachwycona.

- Bodzio już jest dyrektorem - pochwaliła się trochę na zapas ciotka Sabina. Bogiem a prawdą stanowisko wujka nie nazywało się „dyrektor”, tylko „dozór obszarów wodnych w Młyni”.

- Nie szkodzi. Teraz będzie dyrektorował u nas - powiedział tata.

Nie odstępowałam ojca. Zazdrosna byłam o każde jego słowo. Chciałam, żeby mówił do mnie, o mnie, o dziewczynach, o tym, że za mną tęskni, że mama przyjedzie... Pachniał po swojemu, sama nie wiem czym. Trochę mydłem, trochę wodą kolońską i papierosami. Obwąchiwałam go

wzorem Burka. Nikt na świecie nie wie, jak bardzo brak mi było tego właśnie zapachu.

Pod wieczór kuchnia dziadków Jasieniów była pełna. Przyszli ksiądz z doktorem, za nimi pani Małgosia, potem jeszcze Franek Leszcz, Bartusiowa i stary Pietras. Ciocia Brońcia zносиła krzesła z innych pomieszczeń, częstowała winem z porzeczek i ciastem z jabłkami.

- Moglibyśmy przejść do Stodoły i usiąść w salonie - zaproponowała ciotka Teresa..

- Bodaj tam! Po salonach każe chodzić! - obruszył się ksiądz proboszcz i łyknął duży haust wina. - Niczego sobie - dodał ocierając usta.

- I co Stasio myśli o sprawie naszego Bodzia? - zwróciła się do mego ojca Bartusiowa.

- Sądzę, że Bohdan dał się wmanewrować w śmieszłą aferę przez swoje społecznikowstwo. Są ludzie, którzy usiedzieć na tyłku nie mogą, żeby nie działać dla ludu - powiedział tata bez złośliwości. - Bohdan do nich należy. Oczywiście wszystko, co robili z księdzem, było dla dobra gminy i praktycznie na jej gruntach.

- O właśnie. Kołeczek próbuje udowodnić, że robili to na jego ziemi - rzekła Bartusiowa.

- Jeszcze nic nie udowodnił - wtrącił ksiądz.

- Tak, ale Bodzio prowadził różne roboty, obracał pieniędzmi pochodzącymi z hodowli ryb, wypożyczenia żaglówek i przeróżnych matactw silnikami do łodzi motorowych. - Bartusiowa знаła temat. - Nie płacił podatków ani dzierżawy. Kołeczek chce udowodnić, że to wszystko było robione bezprawnie.

- Gmina przecież wiedziała o wszystkim - przypomniał tata.

- Tak naprawdę nikomu nie przyszło do głowy, że Bodzio robi coś wbrew prawu. Przecież to dusza człowiek, jak każdy Jasień - powiedziała sołtyska.

- Myślę, że pan Kołeczek ma wielką ochotę na wasz ośrodek turystyczny i próbuje go wycygnąć możliwie jak najtaniej - oświadczył zdecydowanie tata. - Na razie oburza się na istnienie sztucznego jeziora, za jakiś czas zgodzi się przejąc je wraz z całym majątkiem.

- Papierów nie ma... - odezwał się wujek Bohdan.

- Są świadkowie. Sąd wyda sprawiedliwy wyrok - rzekł tata. - Wierzę jeszcze w sprawiedliwość sądów, w przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. Oczywiście, Bodzio powinien był płacić przynajmniej podatki, jeżeli wieś nie żądała dzierżawy, ale to się wszystko wyliczy i zapłaci. Nie ma tu żadnego przestępstwa podatkowego. Doktor nam niepotrzebnie napędził stracha.

- Ja? - zdziwił się doktor.

- A jak tam, Stachu, żyje się za granicą? - odważył się spytać stary Pietras.

Od tej chwili rozmowa potoczyła się na zupełnie inny temat. Tata i ciotka opowiadali o zwyczajnym życiu innych narodów, które w gruncie rzeczy nie tak bardzo się różniło od życia w Młyni. Inne zwyczaje, inne tradycje, ale poza tym ludzie tak samo się kochają, tak samo nienawidzą, bywają skąpi i bywają rozrzutni. Są uśmiechnięci i smutni. Ludzie jak to ludzie. Nie warto jechać na drugą półkulę, żeby się o tym przekonać.

Goście siedzieli w kuchni do późna w nocy.

Rano tata pojechał z wujkami do miasteczka, a my z ciotką odtrąbiłyśmy byle jak gimnastykę i telefonicznie odwołałyśmy lekcje. Rozpakowałyśmy wreszcie wszystkie prezenty, których było jak zwykle zatrzęsienie. Babcia oglądała już piątą z rzędu żelazko elektryczne ze specjalnym



pojemniczkiem na wodę i jeszcze coś. Najchętniej używała starego żelazka elektrycznego, które kupiła sobie sama w gminnej spółdzielni, kiedy jeszcze takowa istniała. Córki uważały za punkt honoru podarować matce coś ekstranowoczesnego i nie przyszło im na myśl, że babcia dość niechętnie przyjmuje nowości. W Stodole pełno już było podobnych prezentów, przeważnie nie używanych.

Ciotka nurzała się w ciuchach wszelkiej maści, a ja beczałam nad kolejnym prezentem wujka Hansa, to znaczy butami. Wujek uparcie kupował mi najpiękniejsze buty, jakie mógł dostać w Wiedniu. Z zaciętym wyrazem twarzy podtykał mi je pod nos albo wsadzał na nogi.

- Nosi buty Zuzanna, nosi buty... - mówił z prawdziwym przejęciem.

Tym razem pantofle były zamszowe, na niskim koturnie. Spojrzałam na firmę. „Salamandra”, jak zwykle.

Wujek z ojcem wrócili w południe. Prawie nic nie załatwili.

- Trzeba czekać - oświadczył tata. - Gmina chętnie sprzeda te tereny. Jest tylko jeden problem: sąd musi ustalić właściciela.

- Mówiłam, że tak będzie! - przechwalała się ciotka Teresa.

- W każdym razie zaklepaliliśmy sobie pierwszeństwo - powiedział tata. - Obiecaliśmy dopuścić gminę do akcji na tej samej zasadzie, co ksiądz i Bodzia.

- Nie rozumiem - zdziwił się dziadziuś. - Jakich akcji?

- Wycenimy wszystko. Każdy wkład, jaki dotąd włożono w ośrodek turystyczny, zostanie określony wartością akcji. Przecież ksiądz poświęcił ogromną masę pieniędzy, Bodzio też nieźle kombinował, skoro majątek na byłych ugorach okazuje się spory.

- Macie handlowe głowy, więc róbcie, co chcecie - zgodził się dziadziuś. - Tylko już nic nie kombinujcie, a postępujcie zgodnie z prawem. Książdz musi dostać swoje, Bodzio swoje, gospodarz przystani swoje. Wtedy będzie sprawiedliwie.

- Nie mam zamiaru działać wbrew prawu - zapewnił dziadka tata. - Zresztą, po co, jeżeli można normalnie.

- O której wyjeżdżamy? - spytała niechętnie ciotka Teresa.

- Przed nocą. Jutro mam samolot z Wiednia do Londynu, a potem z Londynu do domu - odparł cicho tata.

- Już?! - krzyknęłam w panice. - Przecież jeszcze nie rozmawiałam z tobą ani z ciocią, ani z wujkiem... - poskarżyłam się.

- Zaraz idziemy na spacer, tylko we dwoje - powiedział tata i pogładził moją głowę. - Wiesz, ile jeszcze godzin do nocy? Ile minut? Wszystko dla nas.

- Sekund będzie najwięcej - chlipnęłam wcale niepokieszona.

Tata pchał mój wózek w stronę skarpy prowadzącej do Młynka. Zjechaliśmy pod dzikie grusze, zatrzymaliśmy się trochę dalej, nad samym brzegiem potoku.

- Dzisiaj znowu śpiewa bluesa... - powiedziałam do siebie cicho.

- Młynek? - zapytał.

- Tak. Wydaje różne odgłosy: niekiedy ledwo szemrze, czasem kwili, a bywa, że huczy basem.

Tata przykucnął i wsadził rękę w wodę.

- Masz rację. Śpiewa bluesa - szepnął.

Nad nami, wysoko w chmurach, coś zawarczało. Podnieśliśmy głowy.

- Patrz, tato! Lotnia z silnikiem! - zawołałem. - Marzenie Dyzia!

- Marzy o lotni z silnikiem?

- O silniku nic nie wiem, ale na razie wszystkie siły poświęca, żeby zrobić lotnię. Ile ja się o tym nasłuchałam - o kilach, o dźwigarach... Obrzydliwość. Chociaż przyznaję, że lotnia może być marzeniem. - Patrzyłam cały czas na lotnię, która teraz zaczęła krążyć nad Młynią.

- To tak, jakby rasowego psa ubrać w kubraczek - powiedział. - Nie pasuje mi motorek do lotni...

- Chyba nie pasuje - zgodziłam się.

Potem siedzieliśmy pod dzikimi gruszami: tata na trawie, ja na wózku. Opowieściom nie było końca. Dowiedziałam się wszystkiego o zajęciach rodziców, o mieszkaniach przygotowanych dla nowożeńców, o akademii plastycznej, do której właśnie zapisała się mama, o całym wenezuelskim życiu. Ich życiu.

- Rozmawiałem z profesorem Adlerem w Wiedniu - rzekł wreszcie. Wiedziałam, że czekał z tym od wczoraj.

- Tak? - zapytałam obojętnie.

- Powiedział, iż nie widzi przeszkód, byś po operacji przyjechała do domu.

- A gdzie miałabym jechać? Pan profesor przewidział jeszcze inne miejsce? - spytałam niezbyt grzecznie. Słowo „cmentarz” nie padło, ale tata doskonale rozumiał, co miałam na myśli.

- Chodzi mi o nasz dom w Caracas - powiedział tata lekko zdenerwowany.

- Bez dziadków? Bez ciotki Sabiny, Brońci, księdza, doktora i Dyzia? Tam nie jest mój dom! - krzyknęłam.

- Myślałem... Myślałem, że też tęsknisz - westchnął tata.

- Oczywiście. Ale ja nie potrafiłabym żyć w obcym środowisku. Ja bym tam umarła jeszcze przed operacją - oświadczyłam ponuro.

- Będzie tak, jak zechcesz. Z drugiej strony rozumiem cię. Tam nie ma Młynka, który w cieniu dzikich grusz śpiewa bluesa... - powiedział ojciec ze smutkiem.

- Ani orkiestry straży pożarnej, ani starej Matyldy, ani sołtyski Bartuśki, ani listonosza Stasiaka i Starego Łajdaka, który dymi na deszcz - dodałam. - Tam przede wszystkim nie ma Dyzia...

Tata spojrzał na mnie uważnie. Wytrzymałam spojrzenie.

- Wziął forszę? - spytałam obojętnie.

- Kto?

- Profesor Adler, rzecz jasna - odparłam wykrętnie.

- Wpłaciłem część honorarium. Oczywiście przejdiesz jeszcze dokładne badania i gdyby okazało się to konieczne - operacja będzie w grudniu.

- Z pewnością operacji nie da się uniknąć - burknęłam.

- Zuziu, nie utrudniaj mi - szepnął tata.

- Przepraszam... przepraszam, tatku... - Natychmiast zdałam sobie sprawę, jaka jestem niewdzięczna. - Przecież wiem, że to nie twoja wina, że chcecie jak najlepiej. Ja to wszystko rozumiem, ale tak mnie czasem boli... - Rozbeczałam się na dobre.

Tata wyciągnął mnie z wózka, posadził koło siebie na trawie, nic nie mówił, tylko gładził moje włosy. Rozumieliśmy się bez słów.

Wróciliśmy na bardzo późny obiad. W domu panował prawdziwy młyn. Bartusiowa podarowała wianki suszonych grzybów dla Helci i marynowane rydze dla Tereski. Po chwili pani Małgosia przysłała suszone borowiki dla Tereski i słoiki marynowanych rydzów dla Helci.

- Teresko, nie zapomnij obrusa w bławatki - wołała ciocia Brońcia.

- Teresko, nie zapomnij konfitur wiśniowych - upominała babcia. - Dla Helci zrobiłam szal, lekki jak puch.

- Teresko, mam dla ciebie szal! - krzyknęła znów ciocia Brońcia.

Uwielbiam taki ruch w domu, niezależnie, czy ktoś wyjeżdża czy też przyjeżdża. Mijaliśmy się w drzwiach, pędziliśmy po coś do Stodoły albo z pokoju do kuchni i z powrotem. Wszyscy podekscytowani. Wujek Hans na podwórku sprawdzał samochód i wrzeszczał: „Tereza! Wo ist latarnia, pozakrew?”. „Latarka po prawej stronie, w schowku” - odkrzyknęła ciocia. „Was ist das schowku?” - chciał wiedzieć wujek. Jednym słowem było bardzo śmiesznie. Potem nastąpiło mniej śmieszne pożegnanie: kilka dobrze skrywanych łez rodziny i głośne buczenie ciotki Teresy. „Jedźcie z Bogiem” babci i odgłos bali na moście.

- Pojechali - powiedziała z trudem babcia.

- Pojechali. Przyjadą za jakiś miesiąc - rzekł dziadzius.

Wieczorem zadzwonił Dyzio.

- Nie masz pojęcia, ile mam nauki. A jeszcze muszę gonić do Wilkosza, bo robią transport za granicę. Na nic nie mam czasu. Nie byłem u ciebie już dwa dni. Byli twoi zagraniczniki? - spytał.

- Byli i pojechali.

- Smutno ci, prawda?

- Trochę, ale to minie. Widziałeś lotnię? - zapytałam.

- Byłam z tatą nad Młynkiem, kiedy właśnie leciała. Była z motorkiem. Co ty na to?

- Nie odpowiada mi. To jakby śpiewającemu słowikowi ktoś akompaniował na gitarze - odparł dowcipnie. - Nie, to nie dla mnie.

- Tata powiedział coś podobnego - ucieszyłam się.

- Też mu nie leży motorek? - Nie leży - potwierdziłam.

- Kto cię wozi? Byłaś na wsi? - dopytywał się Dyzio. - Nie byłam, też się uczę...

- Obwiozę cię po Pszenicznej w niedzielę, jak zechcesz.

- Fajnie. Dyziu... - zaczęłam nieśmiało i urwałam.
- Tak?
- Zresztą nie - bąknęłam.
- Oczywiście, że tak... - powiedział łagodnie.
- Przecież nie wiesz, o co pytam.
- Wiem znakomicie. Boże, jak ja ciebie znam! Nawet jak nic nie mówisz, to wiem, co byś chciała powiedzieć! Kończę, bo muszę iść z tatą wyczyścić stajnię. Cholerna robota. Cześć!
- Dobranoc, dobranoc... - wyszeptałam wzruszona.

Siedziałyśmy z babcią w reprezentacyjnej kawiarni Koła Gospodyń Młyńskich. Reprezentacyjnej, bo jedynej, zresztą nie można jej nic zarzucić. Czyściutko, przyjemnie i bardzo jasno. Wjazd też znakomity. Łatwo mi podjechać moim wózkiem.

- Bardzo lubię posiedzieć sobie w kawiarni. - Babcia rozsiadła się w miękkim, zielonym foteliku. - Wprawdzie za mało ludzi, jak na mój gust, ale co kawiarnia, to kawiarnia.

- Mało ludzi, bo sobota i do tego przed południem - wtrąciłam. - Szanująca się gospodyni nie pójdzie przesiadywać w kawiarni, gdy w domu należałoby zabrać się do porządków. Wieczorem będzie aż ciemno od ludzi.

- O, pani Jasieniowa! I Zuzia! Jakże miło panie widzieć - usłyszałyśmy ciepły głos. Do naszego stolika podeszła pani Amelia. - Przechodziłam i nie mogłam sobie odmówić filiżanki kawy - dodała.

- My właściwie po zakupy - tłumaczyła się babcia.

- Zmęczyłyśmy się obydwie z Zuzią. Proszę usiąść. A cóż pani w godzinach pracy robi w kawiarni? - spytała z uśmiechem.

- Byłam na przystani u pana Jasienia - odparła pani komendant. - Bodzio przeprowadza dokładną inwentaryzację całego majątku. Chce, żeby gmina wiedziała dokładnie, co i ile posiada. Oczywiście, ma świętą rację. Będzie zarządzał nie

byle jakim majątkiem. - Amelia zamówiła dużą kawę ze śmietanką i bez cukru. - Tak Bogiem a prawdą, wciąż się zastanawiam, dlaczego Kołeczek przyczepił się do młyńskich ugorów jak rzep do psiego ogona. Coś w tym musi być - powiedziała po chwili, dmuchając w filiżankę.

- Może ta ziemia kryje w sobie złoto albo diamenty? - wyrwało mi się.

- Mieszkam w Młyni przeszło czterdzieści lat, ale nie słyszałam, żeby ugory cokolwiek kryły - powiedziała lekceważąco babcia.

- Babciu - poprosiłam - postaraj się przypomnieć sobie. Może coś się tutaj działo? To niemożliwe, aby facet obrotny, cwaniak można powiedzieć, uparł się na odłogi - przejęłam się sugestią Amelii.

- Kołeczek pojawił się w Młyni zaraz po przewrocie w naszym kraju - rzekła babcia. - Wtedy prace ledwo zaczęto i nawet największemu optymiście Bodziowi nie śniło się, że będzie to tak piękne jezioro, po którym niby łabędzie pływają żaglówki. ( - Moja babcia od czasu do czasu „robi za poetkę”).

- Czyli słuszne jest moje zdumienie zapalem pana Kołeczka do posiadania tych gruntów - stwierdziła Amelia.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie - zaczęła babcia w zamyśleniu - ale w czasie wojny mieszkała tu jakaś księżniczka, podobno rosyjska. Ja jej nie znałam. Wyjechała tuż po wojnie, chyba do Londynu...

- Gdzie mieszkała? - zainteresowałam się ogromnie.

- W domku myśliwskim, bardzo starym i zdewastowanym, pamiętającym chyba szwedzki potop. Zaraz... On stał tam, gdzie teraz jest hangar, tak bliżej lasu. Po wojnie rozpadł się całkiem i zarósł trawą, ale ruiny powinny być gdzieś widoczne. - Babcia mieszała łyżeczką w filiżance. - Księżniczka musiała być piękna i bardzo bogata. Stary Pietras, wtedy miły chłopak, kręcił się koło domku, czy też koło

księżniczki - zaśmiała się po swojemu, dziewczęco - w każdym razie księżniczka dała mu szpilkę z perłą do krawata. Z początku nikt nie przywiązywał do tego wagi, ale kiedyś Pietras pokazał ją jubilerowi w Warszawie. Czy uwierzycie, że za zdawałoby się głupią szpilkę kupił potem parę koni? To była prawdziwa perła na jakiejś tam platynowej szpili. Pietras do dzisiaj opowiada o bogatej księżniczce i szpilce do krawata. Cała wieś mu wtedy zazdrościła, bo nędzne było powojenne życie. Para koni stanowiła majątek nie lada.

- Nie widzę związku z panem Kołeczkiem - powiedziała Amelia.

- Ja też nie, ale sędzę, że opowieść o bogatej księżniczce może mieć jakieś znaczenie - oświadczyłam z nadzieją w głosie.

Zamyśliłyśmy się wszystkie trzy i przez dobrą minutę nikt nie powiedział słowa.

- Dzień dobry. Przepraszam, Amuś, spóźniłem się, ale musiałem wydać jeszcze dwa samochody. - Przed nami skłaniał głowę pan inżynier Piotr Okoński.

Usłyszałam to „Amuś”. Bardzo dobrze usłyszałam i zalechtało mnie pod sercem. Czyżby?

- Dzień dobry, Piotrusiu. Dobrze, że jesteś. Właśnie miałam wyjść i nie czekać na ciebie - najnaturalniej w świecie powiedziała pani komendant.

„Piotruś” przywitał się z nami, nie można powiedzieć, z całym szacunkiem, ale jego oczy widziały tylko Amelię. Przysięgam! Znam ten wyraz oczu! Wyglądał na bardzo zakochanego. Amelia, jak zwykle zrównowazona, wydała mi się mniej zaangażowana.

- Zepsułam zamek w drzwiach. Chciałabym bardzo, żebyś mi go wymienił. Właśnie kupiłam nowy - powiedziała z miłym uśmiechem.

- Kto jest w domu? - zainteresował się pan Piotr.



- Nikt. A kto ma być? - spytała.
- To znaczy zostawiłaś otwarty dom?
- W Młyni oprócz jednej owieczki nigdy nikomu nic nie zginęło - orzekła Amelia, podnosząc się z fotela.
- Ta dziewczyna jest naprawdę lekkomyślna - z zachwytem stwierdził pan inżynier.

Chryste! Ciekawa jestem, czy istnieje coś związanego z Amelcią, co by go nie wprawiło w podziw.

Dopiłyśmy kawę, zjadłyśmy znakomite napoleonki i wróciłyśmy do domu. Babcia nic dotychczas nie wiedziała o naszej młyńskiej parze, dlatego też trochę się zdziwiła.

- Oni się kochają, Zuzka, zauważyłaś to? - zapytała.
- Owszem. On się w niej zakochał od pierwszego wejrzenia. Byłam przy tym. Zupełnie jakby w niego piorun strzelił. Jakby go poraziło! Coś pięknego - zachwycalam się.

- Pomyśleć tylko: stara panna Amelcia, nie nadzwyczajnej urody, mówiąc delikatnie, i piękniś nad pięknisiami Piotr Okoński. Grubiutka, malutka Amusia i wysmukły, przystojny Piotruś.

- Myślę, że uroda nie ma tu nic do rzeczy. Oni są sobie przeznaczeni. Spotkały się dwie połówki ziarna grochu... - babcia wyraźnie znów poczuła się poetką.

- Tak, chyba tak. Wszystko widać w spojrzeniu pana Okońskiego - powiedziałam poważnie.

Skąd ja znam to spojrzenie? Skąd ja je znam? Owszem, wiem już skąd...

Pocztę przyniósł sam Stasiak, wyjątkowo trzeźwy i rozmowny.

- Listy od synów, druk z banku i karta z pozdrowieniami. Z zagranicy nic nie ma - poinformował nas dokładnie. - Słyszeliście? Ksiądz proboszcza okradli. Przy okazji zwinęli opla Wilkoszów. Podobno nie był zamknięty i kluczyki tkwiły w stacyjce.

Najpierw zatkało nas ze zdumienia.

- Przecież w Młyni jeszcze nigdy nic... - zająknęłam się i zamilkłam.

- Do czasu, do czasu moje dziecko. Księdzu podobno ukradli wszyściutkie pieniądze. Aha, jeszcze to, co pani Małgosia trzymała w wazie na zupe.

- Gdzie? - zdziwiła się ciocia Brońcia.

- W wazie, w kredensie, przecież słyszysz - odparł niecierpliwie dziadziuś. - U nas też się trzyma pieniądze w sosjerce. Taki widać młyński obyczaj.

- Poczekajcie trochę - wtrąciła zdenerwowana ciotka Sabina. - Przyjdzie Bodzio i na pewno nam wszystko opowie.

- Pan inżynier nic więcej nie wie - obraził się Stasiak. - Dopiero co byłem na plebanii. Komendantka policji i jej pomocnik spisują wszystko. Mieli jeszcze iść do Wilkoszów. No cóż. Pójdę już. Zostańcie z Bogiem.

Wychodząc minął się w drodze ze starą Matyldą, która już od progu wołała z przejęciem:

- Księdza naszego okradli!!! Słyszycie?! Pieniądze wszystkie mu zabrali, zwyczajne i zabytkowe.

- Jakie zabytkowe? - spytała niezorientowana ciocia Brońcia.

- Podobne do tych, co za nie przystań wybudował - wyjaśniła Matylda. - W wazie były zwyczajne banknoty, a zabytkowe monety na półce.

- Cały ksiądz proboszcz - szepnęła ze zgrozą babcia.

- Szczęście, że im nic nie zrobili. Teraz różne rzeczy się zdarzają. Jak to się mogło stać? Zostawili otwarte drzwi, tak jak Wilkosz zostawił kluczyki w samochodzie?

- Drzwi zamknęli, tylko pootwierali wszystkie okna na dole, a sami poszli spać do swoich pokoików na górze. Spali spokojnie, a złodzieje grasowali. Musieli się nie śpieszyć, bo wypili butelkę wina i zjedli szynkę z lodówki.

- Trzeba przyznać, że stara Matylda miała bardzo dokładne informacje.

- Musiał to być ktoś znajomy - nie bez racji zauważył dziadziusia. - Skąd by wiedział o pieniądzech w wazie i o numizmatach na półce?

- W Młyni nie ma złodziei! - przypomniałam z urazą.

- Kto mówi, że w Młyni? Na pewno nie w samej Młyni. Ale przecież ksiądz ma różnych znajomych w okolicy.

Wszyscy byliśmy niezwykle podnieceni. Zdumienie faktem kradzieży przewyższało nawet nasze oburzenie na nieuczynny postępek.

Wieczorem dzwonił Dyzio.

- W Pszenicznej widziano białego mercedesa - rzekł tajemniczo. - Nie wiążesz tego faktu z kradzieżą?

- Owszem, wiązę - zgodziłam się. - Ja kojarzę białego mercedesa wyłącznie z kradzieżami. Zaczynam nawet wierzyć, że białe mercedesy istnieją na świecie gwoli zbrodniczych poczynaniach.

- Co ty tak... „gwoli”? - zdziwił się.

- Słowo polskie, jak najbardziej, proszę Dyzia - odparłam uprzejmie.

- Kretynka. O ósmej jest koncert w remizie. Jedziemy? - zapytał.

- Kto gra?

- Duża orkiestra. Co prawda mają tylko próbę, ale wiara przyjdzie.

- To jadę - zdecydowałam natychmiast.

- Po próbie będzie ognisko na przystani. Weź pled i sweter. Jest chłodno - powiedział z troską w głosie.

- Już ty się o mnie nie martw.

- Dobrze, dobrze. Zaraz u ciebie będę. Poszliśmy na koncert. Nie było nadzwyczajnie. Marsza z „Aidy” w żaden

sposób nie mogli zagrać, choć próbowali wielokrotnie. Nauczyłam się go na pamięć.

Przy ognisku wszyscy mówili o kradzieży. Każdy dorzuczał inny szczegół, dotyczący najnowszego wydarzenia. Anielka z Zenkiem stali z boku objęci wpeł i nie odzywali się ani słowem.

- Oni się wcale nie martwią - zauważyłam.

- Co im tam głupi opel - zadrwił Dyzio. - Masz pojęcie, ile ich ojciec zarabia?

- Mam. Mniej więcej tyle, co mój, ale dla mnie samochód to dużo.

- Dla mnie też bardzo dużo - przyznał.

Anielka z Zenkiem odeszli jeszcze przed zgaśnięciem ogniska. Nie widać było u nich chęci podtrzymywania szkolnych przyjaźni. Wracaliśmy z Dyziem powolutku. Wszyscy nas wyminęli, ostatni weszliśmy na most. Potem zegnaliśmy się pod naszym domem. Długo, bardzo długo...

Sprawa kradzieży na plebanii i u Wilkoszów nabrała nieoczekiwanie wielkiego rozgłosu. Ni mniej, ni więcej, tylko z samej Warszawy przyjechał dryblas w okularach i węszy po całej Młyni. Nam złożył wizytę w towarzystwie naszej pani komendant.

- Pan komisarz Wilga chciał z państwem porozmawiać, dlatego pozwoliłam sobie go przyprowadzić - zaczęła Amelia dość oficjalnie.

- Może przejdziemy do salonu? - zaproponowała ciotka Sabina, chcąc niewątpliwie błysnąć.

- Kto tam będzie po salonach... - zlekceważyła babcia salon, ciotkę i komisarzy. - W czym możemy pomóc?

- Co państwo sądzą o kradzieży? - zapytał dość nietypowo warszawski komisarz.

- Że to świństwo - wypaliła ciotka Sabina.

- Och, na pewno - zgodził się. - Chodzi mi jednak o to, czy ktoś z państwa zauważył coś szczególnego, coś, co na pierwszy rzut oka nie ma znaczenia.

- Dyzio powiedział, że w Pszenicznej widziano białego mercedesa - poinformowałam zgodnie z prawdą.

- Białych mercedesów jest dość sporo w Polsce - trochę lekceważąco powiedział dryblas. Miał wypukłe zielone oczy i łysinę. Rozzłościł mnie.

- Owszem, tylko od jakiegoś czasu wszędzie, gdzie są dziwaczne włamania, pojawia się biały mercedes, osobiście nam znany, zresztą - oświadczyłam lodowato. - Omal mnie nie przejechał miesiąc temu. Poza tym pyta pan, czy nie zauważyliśmy czegoś niezwykłego. Otóż biały mercedes jest właśnie tym, o czym zapewne powinien pan wiedzieć.

Chwyciło. Zaczerwienił się.

- Istotnie. Przepraszam panią. Czy to jest samochód któregoś z tutejszych mieszkańców? - zapytał pokornie.

- Otóż nie ma takiego w promieniu stu kilometrów

- odparłam sucho.

- Przepraszam, że się wtrączę - odezwała się Amelia.

- Chodzi o samochód, który widziano w miejscowościach, gdzie dokonano włamań i kradzieży sreber. Oczywiście, może to tylko zbieg okoliczności, ale dość częsty zbieg okoliczności.

- Aha, już wiem - zadumał się chwilę. - Mówi pani - zwrócił się znów do mnie - że był widziany tutaj?

- W Pszenicznej. To jest wieś granicząca z Młynią

- Tak, rozumiem... Ten chłopczyk może to potwierdzić?

- Jaki chłopczyk? - zdziwiłam się.

- Wspomniała pani o Dyziu...

- To nie jest chłopczyk, tylko Dezydery Leszcz, mój... no, mój ten... kolega... - wyjąkałam.

Przez twarz komisarza przemknął uśmiech. Przyłapał mnie, skubany.

- Może potwierdzić w każdej chwili - dodałam pośpiesznie.

- Znakomicie, tylko skąd państwo wiecie, że to był ten sam mercedes? - zapytał.

- Nie wiemy na pewno, tylko wiecznie nam się płące biały mercedes w miejscach kradzieży - rzekłam zirytowana.

Amelia nieznacznie uśmiechnęła się, co oznaczało, że jest pewna swych racji i świetnie się bawi.

- Dobrze byłoby sprawdzić - powiedziała ostrożnie.

- Ale jak? - zapytał komisarz.

- Zuzanko, może wyjaśnisz panu coś jeszcze - zaproponowała.

Wściekłam się. Mam mówić o dość paskudnym zachowaniu się Dyzia? Zwariowała, czy co?

- Otóż ten „nasz” mercedes - zaczęłam niechętnie - powinien mieć wgniecenie na pokrywie bagażnika, bo... właśnie Dezydery Leszcz... walnął w niego kamieniem, kiedy samochód chciał na mnie najechać.

- Walnął? - zdziwił się komisarz.

- No tak! Podniósł kamień i rzucił. On mnie chciał bronić... - usprawiedliwiałam Dyzia. - W radiu mówili, że w jednym przypadku widziano białego mercedesa z lekko wgniecionym bagażnikiem, ale w drugim zauważono już tylko mercedesa i nikt nie zapamiętał wgniecenia.

- A ten, co się pojawił w Pszenicznej, w dniu kradzieży na plebanii? - zapytał.

- Dokładnie nie wiadomo. Wiemy, że tam był, stał na skraju wsi, ale o wgnieceniu nikt nie mówił.

- Sprawdzimy, chociaż informacja nie wydaje mi się istotna. Białych mercedesów wszędzie pełno - pozostał przy swoim.

Byłam na siebie wściekła. Po diabła wyskoczyłam z tym samochodem?!

- Nic więcej na temat kradzieży nie wiemy - powiedziałam z niechęcią.

- Aha - komisarz popatrzył na nas obojętnie - może zainteresuje państwa fakt, że samochód pana Wilkosza odnaleziono na drodze do Białegostoku. Stał bez kropli benzyny. Po zbadaniu przez biegłych zostanie oddany właścicielowi.

- Biednemu zawsze wiatr w oczy - westchnęła ciocia Brońcia.

- Dlaczego? - pan komisarz znowu nic nie zrozumiał.

- Bogatemu złodzieje oddali samochód, a biednemu księdzu nie zwrócono pamiątek i pieniędzy - wyjaśniła.

- Myślę, że wcale nie chcieli oddać samochodu, tylko zabrakło im benzyny i nie czuli się dość bezpiecznie, by szukać pomocy u przejeżdżających kierowców. - Komisarz uśmiechnął się pobłażliwie. - A numizmaty księdza prawdopodobnie znajdziemy. Gorzej zaś będzie z gotówką.

- Bodaj tam - zachnęła się ciocia - już tam złodziej odda...

Wszedł wujek Bohdan.

- O, dzień dobry. A tu co? Policja? W jakiej sprawie? - Wujek nie pałał miłością do policji.

- Państwo pytają, czy nie mamy jakichś własnych spostrzeżeń odnośnie kradzieży - poinformowała babcia.

- A mamy? - dość głupio zapytał wujek.

- Zuzanka mówi, że w Pszenicznej widziano białego mercedesa.

- Biały mercedes pojawia się tam, gdzie kogoś ograbiono - przyznał wujek.

- Pan komisarz uznał, że nie jednemu psu Burek - nie omieszkałam wbić szpileczki.

Burek szczechnął głośno. Nie miał pojęcia, czego od niego chcą.

Wszyscy roześmieli się i atmosfera jakby zelżała.

- Ja tego nie zgłaszałem, bo nie jestem pewien, ale zdaje mi się - to znaczy tak twierdzi mój gospodarz - że ktoś plądrował nasz hangar. Właśnie tej samej nocy, kiedy okradziono księdza - powiedział niechętnie wujek.

- Dlaczego pan nie zgłosił? - zdziwił się komisarz.

- Bo nic nie zginęło. Zresztą gospodarz jest przesadny w pilnowaniu naszego majątku i wciąż mu się zdaje, że ktoś w nocy tam łązi. Po co miałby włazić i nic nie ukraść?

- Czy mam rozumieć, że fakt plądrowania hangaru miał miejsce kilkakrotnie? - spytał z poważną miną komisarz.

- Tak mówił gospodarz.

- Może coś zostało poprzestawiane lub leżało nie na swoim miejscu. Dobry gospodarz zna swoje gospodarstwo - pouczył wujka komisarz.

- Hmm - mruknął powątpiewająco wujek. Komisarze uznali, że już dowiedzieli się wszystkiego, co rodzina Jasieniów ma do powiedzenia w sprawie kradzieży, i odeszli.

- A swoją drogą, skąd Małgosia weźmie na utrzymanie domu? - zastanawiała się ciocia Brońcia.

- Pożyczy od doktora - podpowiedziała natychmiast ciotka Sabina.

- Nie może, bo na jego wykupienie pożyczyła od nas. Potem doktor jej oddał, ale właśnie wszystko ukradli.

- Babcia była na bieżąco w sprawie zasobów materialnych plebanii. - To nie są zamożni ludzie. Ani ksiądz, ani doktor. Ciężko im będzie.

- Ja im dam - krzyknęłam upojona nagle swoją zamożnością. - Pieniądzy mam dość dużo. Tata mi zostawił.

- Trzymaj sobie, dziecko. Pieniądze dodają pewności siebie. Małgosi my pożyczymy - zdecydował dziadziuś. - Co



ty, Bodziu, zawracałeś głowę policji hangarem? Gospodarz coś mówił? - zwrócił się do wujka.

- Stale mówi. Wciąż mu się zdaje, że ktoś się włamuje do hangaru. Ale, na litość boską, po co? - odparł wujek Bohdan.

- Ja bym tego nie lekceważyła... - powiedziałam, jak wypadało doktorowi Watsonowi.

Miałam najszczerze chęci spenetrowania hangaru i okolic jeziora, ale mi jakoś schodziło. A to lekcje się przedłużały, a to musiałam służyć za pilnego słuchacza Dyzia, który miał bardzo wiele do powiedzenia o lotni. Schodziło mi z dnia na dzień.

Ciocia Brońcia wróciła z porannej mszy, a ja próbowałam się jakoś pozbierać z łóżka. Nie powiem, żeby to była łatwa sprawa. Weszłam jednak do kuchni o własnych siłach, bez wózka.

- Moja wnusia... - roztkliwiła się babcia.

- Dzień dobry wszystkim - powiedziałam, udając znakomite samopoczucie.

- Siadajcie, siadajcie. Jak wam coś powiem, to oniemiejecie z wrażenia - oświadczyła ciocia Brońcia. - Zgadnijcie, co przeczytałam na tablicy ogłoszeń. W niedzielę pierwsze zapowiedzi... - zawiesiła głos.

- Anielki i Zenka - powiedziałam pierwsza.

- Łodzi i jej faceta ze Śląska - zgadywała babcia.

- Łodzia prowadzi jakiegoś górnika pod rękę w każdą niedzielę, ale żeby zaraz ślub? - Ciocia rozsiadła się przy stole i z triumfem popatrzyła na nas. - A czy Zenuś będzie chciał Anielkę po tych pokazach, też bym nie dała głowy.

- Było i minęło - próbowałam przyhamować ciocię.

- No, zgadnijcie! Jak na razie - nie wiecie. Byłam pewna, że nie odgadniecie - cieszyła się.

- Leonia Pietrasów też z kimś chodziła, chyba z miasteczka - przypomniała sobie babcia.

- Bodaj tam! No to słuchajcie: Amelia Kita i Piotr Okoński!!!

Udało się. Ciocia Brońcia autentycznie nas zaskoczyła.

- Tak szybko?! - krzyknęłam zaskoczona.

- Ona chyba jest dużo starsza! - zdziwiła się babcia.

- Rany boskie, jaki on piękny! - z odrobiną zazdrości rzekła ciotka Sabina.

- Pięć lat starsza. Było napisane - poinformowała ciocia Brońcia.

- No, to niewiele. - Babci wyraźnie ulżyło. - Duża różnica wieku, obojętnie w którą stronę, nigdy nie jest dobra.

- Myślę, że oni naprawdę są w sobie zakochani

- powiedziałam i wszyscy przyznali mi rację.

Wiadomość przyniesiona przez ciocię Brońcię była tak miła i nieoczekiwana, że postanowiłyśmy czym prędzej podzielić się nią z innymi. Ciotka Sabina już wydzwaniała do swej koleżanki Gery:

- Jak ci coś powiem, to upadniesz - dochodziło z sieni.

Sądzę, że w pół godziny po zakończeniu mszy świętej nowina została przekazana całej Młyni.

Po obowiązkowych ćwiczeniach rehabilitacyjnych wybrałam się do wujka Bodzia. Prosił, żeby mu poprawić napis na żagłówce „Sabina”. Źle mi się jechało. Od jakiegoś czasu mam mniej siły. Najchętniej jeżdżę, kiedy ktoś inny pcha wózek. Na moście stanęłam trzy razy. Te cholerne bale!

- Dzień dobry, wujku, zaraz cię zastrzelę wiadomością - powiedziałam na powitanie.

- Jak o ślubie Amelci z Piotrem, to już wiem - rzekł wesoło. - Żona gospodarza chodzi na poranną mszę. Cieszę się. Niech się żenią, zamiast tak luzem sobie chodzić...

- To co mam malować? - przypomniałam.

- Znowu musimy odłożyć malowanie. Jakiś nawiedzony z Warszawy przyjechał wraz z rodziną fiatem z przyczepą.

Trzeba się nimi zająć - z ukrywaną dumą powiedział wujek. - Czekam na gospodarza. Trzeba ich zakwaterować, zadbać o śniadanie, a on sobie poszedł na grzyby.

- A są?

- Borowiki. Żadnych innych grzybów nie ma, tylko borowiki. Gospodarz codziennie biega do swoich zaklepanych miejsc. - Wujek cały czas coś przekładał, układał, popychał, nie potrafiąc postać sekundy bez ruchu.

- Pojechałabym...

- Czy ja wiem? - zawahał się wujek. - A dasz sobie sama radę? Ja nie mogę z tobą iść.

- Dam sobie radę. Nie będę schodzić z wózka.

- Ale tam nierówno - wrzosy, kępy traw. Nie wiem, czy to bezpieczne.

- Och, wujciu, nie nudź. Przecież nie pojedę daleko, tylko za hangar, na skraj lasu.

- Dobrze - zgodził się z oporami wujek - ale uważaj, na miły Bóg. Gdyby coś ci nie wychodziło, to krzycz. I proszę, bądź zawsze na odległość głosu.

- O rany! Wujek mówi jak ciocia Brońcia! Nie pierwszy raz siedzę na wózku! - Miałam dość upomnień.

Ostatecznie pojechałam. Nawet nie bardzo się zmęczyłam, chociaż po miękkiej ściółce o wiele trudniej pchać wózek. Pachniało żywicą i grzybami. Znalazłam pierwszego grzyba. Podjechałam do niego bardzo łatwo, nachyliłam się i ukreśliłam korzonek. Borowik był dorodny. Pocałowałam go z radości. Potem zobaczyłam dwa, jeden mniejszy, jeden większy, potem znów jednego, i znów, i znów. Zbierałam je w spódnicę, bo nie wzięłam żadnego koszyka. Zorientowałam się, że odjechałam zbyt daleko od hangaru. Odwróciłam wózek i zaczęłam wracać, tyle że nie ścieżką wzdłuż lasu, a przez polanę porosłą wrzosami.

Bardzo lubię skromne kwiaty: konwalie, bratki, stokrotki i właśnie wrzosy. Patrzyłam na nie z zapartym tchem. Mieniły się fioletem w blasku słońca. Bez przerwy poruszały nimi pszczoły. „Niech się dzieje, co chce” - pomyślałam i wjechałam między wrzosy. Oczywiście, natychmiast coś zastopowało koło. Próbowałam wyjechać raz i drugi, szarpałam kołem. Nic nie pomagało. „Muszę zejść” - postanowiłam. Pomalutku wygramoliłam się z wózka, lecz - niestety stanęłam nogą w mrowisko. W jednym momencie miałam pełne skarpetki mrówek, próchnicy i igieł. Coś mnie użarło, zapewne mrówka, najpierw raz, potem drugi i dziesiąty. Próbowałam się poruszać szybciej i tylko pogorszyłam sprawę. Odepchnęłam niechcący wózek, który odjechał, uderzył kołem o kamień i się przewrócił. Pokuśtykałam dalej, gryziona przez mrówki. Wreszcie usiadłam na pniu i próbowałam zdjąć skarpetki. Wtedy właśnie przyszedł ból. Najpierw lekkie ukłucie, potem pulsowanie, wreszcie on sam. Ból zatykający oddech. Spociałam się, w mgnieniu oka byłam mokra od stóp do głów. Krzyczałabym, gdybym mogła wydobyć głos z krtani. Ale nie mogłam. Nie czułam już ukąszeń mrówek ani przerażenia sytuacją, tylko ogłupiający, szaleńczy, z niczym nie dający się porównać ból kręgosłupa. Zrozumiałam. Nie da się samej siebie oszukać. Neurinoma wróciła!!!

- Mamo... - wyszeptałam i położyłam się na ziemi.

Nie wiem, jak długo leżałam. Fale bólu przychodziły i odchodziły kilka albo kilkunastokrotnie, wreszcie jakby przycichły. Leżałam próbując nie oddychać, żeby znowu nie sprowokować bólu. Nie miałam pojęcia, jak się go pozbyć. Stała nade mną: wysoka, czarnowłosa, z czarnymi jak węgielki oczyma, w których zamigotało przerażenie.

- Co się stało? Co z panią?! - mówiła nieskładnie.

- Nic... nic... dobrze, że pani jest... - wyszeptałam.

- Upadłam. Mój wózek się przewrócił i jeszcze do tego wlałam w mrowisko... Proszę przyprowadzić wózek i pomóc mi trochę. Ja zaraz wstanę... Tylko trzeba podać mi rękę...

- Jak można samej jeździć wózkiem po lesie! - oburzyła się. - Rodzice pozwolili?

- Nie pozwolili. - Z trudem próbowałam usiąść. Ściągnęła mi buty, skarpetki i oczyściła je z mrówek.

Potem podniosła mnie i umieściła w wózku. Nie zapomniała o grzybach. Wszystkie pozbierała i wsadziła do kieszeni wózka.

- Mogę odwieźć panią do domu. Jestem samochodem - powiedziała troskliwie.

- Och, dziękuję, ja tylko do przystani. Jeśliby pani pomogła mi dostać się do ścieżki, byłabym wdzięczna. - Mój głos wydawał mi się jakiś zmieniony. Dobiegał gdzieś z żołądka.

- Ależ proszę, mogę panią odprowadzić do samej przystani. - Dziewczyna była bardzo serdeczna. Cieszyła się, że oto kogoś uratowała z opresji.

- O, to tutaj - powiedziałam, gdy już byliśmy blisko. Nie chciałam, żeby wujek zobaczył tę scenę. - Bardzo pani dziękuję, bardzo...

- Och, głupstwo... Może się jeszcze kiedyś zobaczymy. Do widzenia. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Patrzyłam na nią z wdzięcznością. Wysoka, zgrabna, migiała między drzewami. „Nawet nie zapytałam, jak się nazywa, ani sama się nie przedstawiłam” - pomyślałam z wyrzutem. Wtem dostrzegłam samochód. Stał przy lasku, na drodze wiodącej do Pszenicznej. Samochód był biały, marki „Mercedes”. Drugi raz tego dnia nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

Wujka zastałam przed kantorkiem przystani.

- Stało się coś? - zapytał patrząc na mnie badawczo.

- Długo cię nie było.  
- Nic się nie stało. Co się miało stać? - odparłam obojętnie.

- Znalazłaś coś?

- Zobacz. Mam w torbie chyba ze dwadzieścia prawdziwków.

- Ale ładne. - Wujek policzył grzyby. - Dwadzieścia osiem. Mama je zrobi na słoninie. Borowiki są najlepsze na słonince - stwierdził.

- Chętnie bym wróciła do domu, ale chyba przeliczyłam się z siłami - powiedziałam cicho. - Nie idzie ktoś teraz do wsi?

- Gospodarz cię podwiezie pod dom. Idzie do Bartusiów. Musi zameldować rodzinę z Warszawy - rzekł wujek. - Panie Jankuuu! - wrzasnął w stronę kantorka.

Gospodarz podwiózł mnie pod sam próg domu. Podziękowałam najpiękniej, jak tylko potrafię. W domu nie było nikogo. Bardzo dobrze. Spokojnie się przebrałam, bez żadnych pytań i dociekań. Potem zadzwoniłam od razu na komisariat.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam ważną sprawę - powiedziałam poznając głos Amelii.

- Ależ proszę, bez ważnej sprawy też możesz do mnie dzwonić.

- Widziałam samochód.

W słuchawce zaległa cisza. Po chwili usłyszałam znów panią komendant:

- Gdzie?

- Na drodze do Pszenicznej - wyjaśniłam.

- Czy to ten?

- Biały mercedes. Numerów nie widziałam. Prawdopodobnie prowadziła go dziewczyna.

- Skąd wiesz?

- Bo właśnie ta nieznajoma podniosła mnie, gdy upadłam na wrzosowisku.

- Uhm... Czyli nie widziałaś jej w mercedesie?

- Nie, ale szła do samochodu, kiedy się już pożegnałyśmy. Zresztą mówiła, że może mnie odwieźć.

- Głupio zrobiłaś nie zgadzając się.

- Głupio. Teraz to widzę.

- A poza tym, jak się czujesz?

- Dziękuję, znakomicie.

- Mówiłaś, że upadłaś.

- Owszem. Prosto w mrowisko.

- I?

- I nic. Mrówki mnie pogryzły. Ta dziewczyna mnie uratowała, bo pewnie bym jeszcze tam leżała.

- Zuzka, nie sądzę, byś mogła sama robić wyprawy do lasu.

- Zgadza się. Nie powinnam, ale gdybym nie pojechała na grzyby, nic nie wiedziałybyśmy o białym mercedesie - powiedziałam z satysfakcją.

- Tak. Spróbuję zbadać całą sprawę - obiecała pani komendant.

- Aha, serdecznie gratuluję... - szepnęłam ciepło w słuchawkę.

- Oczywiście już wiecie? - odezwała się po chwili Amelia. - Dziękuję.

- Myślę, że cała Młynia już wie i się cieszy.

- Dziękuję jeszcze raz. - Amelia zaśmiała się wdzięcznie.

- Do zobaczenia.

Weszła babcia z ciocią Brońcią.

- Już jesteś? - zdziwiła się babcia.

- Przyniosłam grzyby na kolację. Same borowiki - pochwaliłam się.

- Sama nazbierałaś?

- Sama. Byłam na wrzosowisku, za przystanią.
- Nie powinnaś jeździć na wózku po lesie - powiedziała stanowczo babcia.
- Też tak myślę. Mrówki mnie pogryzły - użaliłam się nad sobą.
- Jakim cudem? - dopytywała się ciocia Brońcia.
- Upadłam z wózkiem... - chlipnęłam.
- Wnuczuś, kochanie. - Babcia podeszła do mnie zmartwiała.
- I mnie bolało... - urwałam i wreszcie rozplakałam się długo i żałośnie.

Płakałyśmy we trójkę. To był smutny dzień.

Młynia ma nowe szaleństwo. Wesele Amelii i Piotra. Nie wiadomo dlaczego mieszkańcy wsi tak się przejęli zwyczajnym przecież wydarzeniem. Ślub jak ślub. Okazuje się jednak, że ten jest w jakiś sposób ważniejszy. Może dlatego, że panią komisarz, Amelcię dla zaprzyjaźnionych, wszyscy na ogół bardzo lubią.

- Pietrasowie hodują świniaka, a Wilkosz obiecał dwadzieścia perliczek - oznajmiła ciocia Brońcia.

- Cielak będzie od Chudziaków, a jaja i kurczaki od Bartusiów. Nie wiem, co Leszcze szykują, ale Franek Leszcz nie lubi być ostatni - poinformowała babcia.

- A my? - zapytałam.

- Pieczemy siedem tortów, jeśli o to ci chodzi - odparła ciocia Brońcia, nie odrywając oczu od haftowanej właśnie serwetki w rezedy. - Oczywiście Amelcia chce za wszystko płacić, ale bodaj tam... Skąd, chudzina, by na to wzięła.

- Chudziną ona nie jest - zaśmiał się dziadziuś, który bardzo lubił Amelię. - Ale rzeczywiście, co z jej pensji będzie za wesele. Wszyscy chcą pomóc, więc niech pomagają. Weselisko będzie, jak się patrzy.



- Nie wierzę, żeby Piotr i Amelcia pozwolili sobie na takie składkowe wesele. Kto to w ogóle widział? - obruszyła się ciotka Sabina.

- Mogą zapłacić, ale przecież się nie pali - rzekł pogodnie dziadzius. - Powiem ci, dziecko, że Młynianie nie są skorzy do rozdawania, a jeśli już tak się przejęli ich weselem, nie trzeba tego wyśmiewać. Trzeba uszanować.

- Przecież to nie jakieś dziady - upierała się ciotka.

- A kto mówi, że dziady? - zdziwił się dziadzius. - W każdym razie straż pożarna nie weźmie grosza za salę, a koło gospodyń będzie gotować i podawać bez wynagrodzenia. Już decyzja zapadła. Jeszcze tylko nie wiadomo, która orkiestra będzie grać, ale jest pewne, że za dziękuję.

- Młynia zwariowała - oznajmiła pokonana ciotka.

- A tak - zgodził się dziadzius - czasem się to wsiom zdarza. Nie częściej jednak, jak raz na pół wieku. Żeby nie przesadzać. Wydaje się, że właśnie mamy taki przypadek.

Wesele wyznaczono na dwudziestego listopada, czyli na trzy dni przed świętą Katarzyną, która adwent zaczyna i w żaden sposób nie można wtedy weselić się ślubnie. Czasu jeszcze dużo, ale wesele to temat niezwykle wdzięczny, można omawiać go całymi tygodniami i nigdy nie jest za wiele. Młynia zastanawia się jednakowo poważnie nad weselnym menu, jak i nad kreacjami panny młodej. Leszczowa, babcia i Bartusiowa opowiadają się za kremowym kostiumem i takimż kapeluszem do ślubu kościelnego, ale ciocia Brońcia, Chudziakowa i stara Matylda widzą Amelię wyłącznie w długiej, białej sukni z welonem. Nad strojem do ślubu cywilnego nikt nie myśli, bo uroczystość ta i nie w Młyni, i nie taka znowu ważna.

Różnica zdań wynikała też na temat lodów, o których na swoje nieszczęście napomknęła ciotka Sabina.

- Zgłupiała ta Sabcia - mówiła poważnie stara Matylda. - Lody na weselu? Wszystkie dzieci pochorują się na drugi dzień. Na weselach mają być torty i lemoniada, a dla starszych kawa. Tak było i tak będzie.

Przygotowania do wesela Amelii i Piotra spowodowały, że sprawa niedawnej kradzieży znacznie przycichła. Wszak co się stało, to się nie odstanie.

Tymczasem koniec października był naprawdę piękny. Prawdziwa złota jesień, pełna żółtych i czerwonych liści, fioletowych wrzosów i zapachu mgły. Nie powiem jednak, że kocham jesień. Wolę wiosnę. Młynia tonie wtedy w bieli kwitnących dzikich grusz.

Moje bóle jak na razie nie wróciły. Może tylko lekkie drętwienie kręgosłupa i przedziwna słabość. Nie umiem tego określić, ale na przykład uczesanie włosów, co wymaga wzniesienia rąk w górę, staje się dla mnie coraz bardziej męczące. Rzadziej też przechadzam się po pokoju, mimo napomnień spanikowanej ciotki Sabiny. Przedziwny stan. Jestem zmęczona, chociaż nic nie robię.

Ciotka wysłała do profesora Adlera prowadzone codziennie karty chorobowe. Ostatnio rozpisuje się w nadmiarze, nie rozstając się ze słownikiem polsko - niemieckim. Wszyscy w domu złagodnieli albo może mi się zdaje. Dyzio też jakby mniej szorstki. Nauczyciel zachorował i nie mam lekcji. Sam miód.

Już trzecie popołudnie siedzimy w hangarze. Musimy, bo robimy przecież lotnię wszechczasów. Zabieramy ze sobą trzech najmłodszych Leszczów, zapas jedzenia, trzy termosy picia i wędrujemy do hangaru. Dzieci musimy zabrać, bo dostajemy za to pieniądze. Rodzice Dyzia dość sporo płacą za pozbycie się „szarańczy”, jak mówi stara Matylda, lub też „cholernych bachorów”, jak określa swoje własne potomstwo matka Dyzia. Pięcioletni Kuba, dziesięcioletnia Andzia i

jedenastoletnia Wiesia mają temperament, ale nie sprawiają większego kłopotu. Zresztą przebywanie z nami jest, nie wiadomo dlaczego, wielkim dla nich świętem. Boją się trochę Dyzia i mają respekt przede mną. Może dlatego zawsze się dziwię, co też te baby chcą od porządnych dzieci.

- Draństwo skończone - mówi Dyzio i chyba wie, co mówi. - Kuba, gdyby się mnie nie bał, pokazałby, do czego jest zdolny.

- Przesadzasz - powiedziałam, patrząc na niewinną minę Kubu. Wyglądał jak słodki cherubinek ze sztambucha babci.

- Mędrkujesz, stary koniu - bez złości odezwał się Kuba.

- No widzisz? Jak on się odzywa do dorosłych? Wynocha na dwór. Żebyście mi nie odchodzili od hangaru. Dziewczyny, przypilnujcie go, bo polezie Bóg wie gdzie - zarządził Dyzio.

Oczywiście Kuba mówi słowami taty albo starszych braci. Powtarza wszystko, czego się od nich nauczy. Zdziwienie Dyzia było więc niezbyt logiczne.

Przez ostatnie pół roku wujek Bodzio z Dyziem wszystkie wolne chwile poświęcali rysunkowi konstrukcji lotni, a potem dokładnemu wykrojowi pokrycia z dakronu, w naturalnych wymiarach. Nic dziwnego, że jedynym miejscem nadającym się do budowy lotni był hangar dla żaglówek. Dyzio nareszcie kupił dakron. Cały majątek wydał na belę szmaciska. Kolor mu jednak nie odpowiadał. Lotnia będzie żółto - niebieska, a on marzył, żeby miała kolor moich włosów, czyli złotawoczerwony. Oczywiście nie jest to dla mnie komplement. Dyzio po prostu uważa wspomniany kolor za ładny.

- Zuzia, czy nie mogłabyś mi pożyczyć pięćdziesiąt dolarów? - zapytał, kiedy zostaliśmy sami. - Twój rodzice na pewno przyślą trochę pieniędzy za wożenie. Jak dostanę forszę za pilnowanie bachorów, to ci oddam. Spłukałem się do

grosika i jeszcze pięćdziesiąt dolarów pożyczyłem od Wilkosza. Inaczej dakron sprzątnęliby mi sprzed nosa.

- Ależ proszę bardzo, zawsze chętnie wszystkim pożyczam - odparłam uprzejmie, chociaż od lat chciałam, żeby Dyzio nie brał pieniędzy od rodziców za pchanie wózka.

Dyzio chyba wyczuł niechęć w moim głosie.

- Trzeba być ostatnią kretynką, żeby myśleć w ten sposób - powiedział niegrzecznie.

- W jaki sposób? - zapytałam zadziornie.

- Ty myślisz, że ja cię wożę dla pieniędzy. Kretynka! Będę cię woził, jak długo będziesz jeździć na tym cholernym wózku! - wydarł się. - Zdaje się, że powiedziałem ci: na zawsze. Powiedziałem czy nie powiedziałem?

- Powiedziałeś - przyznałam pokornie.

- Jeszcze tylko jedno słowo, zapamiętaj proszę - rzekł łagodniej. - Pieniądze twoi rodzice wypłacają, a ja je biorę, bo mam przeróżne, niezwykle potrzeby. Za chińskiego boga nikt by mi w domu nie dał pieniędzy na lotnię. Całe życie, od małego, na wszystko muszę zarobić. Rozumie tumanek?

- Rozumie.

Uchwyciłam jego rękę i przytuliłam do niej policzek.

- To dobrze. Teraz przygotuj się psychicznie: będziesz zszywała dakron, i to żyłką nylonową, co jest piekielnie trudne. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Najlepiej załóż na dwa palce napastrki, bo będzie ciężko. Przeszywasz dwukrotnie materiał... - Dyzio urwał i zaczął nasłuchiwać. - Słyszysz dzieci? Gdzie te dranie?

Stanął na progu hangaru i wrzasnął z całych sił: - Wieśka! Andzia!

- Jesteśmy tutaj, w ruinach - dobiegło nas z zarośli.

- Aha, no dobra. Nie oddalać mi się! - rozkazał.

- Mędrkujesz, stary koniu - usłyszał w odpowiedzi głos Kuby.

- W jakich ruinach? - zapytałam.
- To jest domek myśliwski, a właściwie jego ruiny, zarośnięte zielskiem i krzewami. Jak byliśmy mali, domek jeszcze stał - wyjaśnił Dyzio.
- Racja! Patrz, zapomniałam. Kiedyś tu mieszkała rosyjska księżniczka, która dała starymu Pietrasowi platynową szpilkę z perłą do krawata - zawołałam.
- Coś słyszałem. W każdym razie teraz są to niczyje ruiny, o które boje toczy pan Kołeczek.
- O ruiny też?
- O całą tę ziemię. Coś tu jest grane, Zuzka. Nie mam czasu, bo bym się tym zajął.
- Roześmiałam się.
- Pani Amelcia mówi tak samo, ale się tym zajmuje chyba tylko z urzędu. Bez takiej gorliwości, z jaką pracuje choćby mój wujek. Od kiedy został dozorcą całego interesu, poczuł się pewny siebie, wypogodniał.
- Pić - zawołał nagle Kuba - może też być jeść, ale pić najpierw. Dużo.
- Mówi się „proszę” - pouczyłam go.
- Dobra, proszę. A jak chcecie „Carmeny” i zapalniczkę, to mogę wam przehandlować - zaproponował piekielny cherubinek.
- Co? - krzyknął Dyzio.
- Paczkę „Carmenów” i zieloną zapalniczkę. Sam znalazłem.
- Może to pana gospodarza albo pana Bodzia? Gdzie znalazłeś?
- Na cegle leżały, w ruinach. Jest tam jeszcze butelka po winie i szklanka, ale chyba nie zechcecie - tłumaczył mały.
- Nie zechcemy! Papierosy i zapalniczkę zaraz mi tu przynieś! - rozkazał Dyzio.
- A co? Tak za darmo?! - wrzasnął Kuba.

- Przyłożę ci, Kuba, jak Boga kocham - ostrzegł Dyzio.  
- Tylko by się bił - burknął Kuba, ale poszedł i przyniósł, o co go proszono.

- Kto z naszych pali „Carmeny”? - zastanawiał się Dyzio.  
- Nie mam pojęcia - odparłam. - Zapalniczka jest inna niż wszystkie, jakie dotąd widziałam. Zatrzymajmy ją.

- Dobrze. Ale teraz potrzyмай. - Wsadził mi w rękę kawał dakronu.

Wróciliśmy do domu po zmroku. Zmęczeni, pełni zapachu lasu, zadowoleni.

Późnym wieczorem zadzwoniłam do pani Amelii.

- Przepraszam, że tak późno, ale coś się wydarzyło, to znaczy nic się nie wydarzyło... - zaczęłam dość pokrętnie.

Usłyszałam dzwoneczkowaty chichot Amelii.

- Zdecyduj się, Zuziu, wydarzyło się czy się nie wydarzyło?!

- Byliśmy w hangarze z Dyziem i jego rodzeństwem. Mały Kuba znalazł paczkę „Carmenów” i zapalniczkę - powiedziałam tajemniczo.

- Ktoś zgubił zapewne - zauważyła obojętnie Amelia.

- Ale kto? To mogło się wydarzyć wyłącznie w niedzielę, na jakimś przypadkowym spacerze. Dzisiaj jest piątek, a papierosy są suchutkie i świeże. One nie leżały przez kilka dni w wilgotnych ruinach.

- Powtórz mi, proszę, gdzie Kuba je znalazł.

- W ruinach leśniczówki. Leżały na cegle, przy nich stała szklanka i pusta butelka po winie.

- Może masz rację, że to zasługuje na uwagę. Dziękuję ci za informację, zaraz z Piotrusiem się nad tym zastanowimy... Dobranoc, kochanie, śpij smacznie - powiedziała łagodnie pani komendant.

„Amelcia cała w skowronkach. Teraz się będzie zastanawiała. Z Piotrusiem na dodatek” - pomyślałam odkładając słuchawkę.

Prawie nocą przybiegł Dyzio.

- Pożyczysz mi trochę pieniędzy? Potrzebuję pięćdziesiąt pięć dolarów. Dokładnie - wysapał. - Wkrótce ci oddam.

- Ależ proszę bardzo - byłam niezwykle uprzejma.

- Nie znoszę długów u obcych - oświadczył i uśmiechnął się po swojemu.

Powiedział: „u obcych”. Pewnie, że u obcych, a co?

Ból nadszedł w nocy, był potworny, nie pozwolił krzyczeć. Znalazłam na niego sposób - odpowiednie ułożenie kręgosłupa. Ze zdziwieniem zauważyłam, że mija. Została słabość.

Od tego dnia zarzuciłyśmy codzienną gimnastykę rehabilitacyjną. Ciotka nie protestowała.

- Zobaczymy, co powie profesor po badaniach. Jeżeli uważasz, że nie czujesz się na siłach, by trochę pochodzić, będziemy tylko robić masaż - uznała ku mojemu zdumieniu.

- Nie drzesz się na mnie? - zapytałam ze zdziwieniem.

- Nie bądź głupia, słoneczko - odparła. Masowanie było o wiele mniej męczące. Ciotka jakby zwolniła bieg. Bo też wymęczyła mnie straszliwie przez ostatnie trzy miesiące.

Zaterkotał domofon. Przyszła Różia Stasiakówna, w zastępstwie dziadka roznosząca pocztę.

- Dzień dobry. Macie szesnaście kartek od bliźniaczek, listy z Wenezueli, Wiednia i Londynu. Można powiedzieć, że cały świat wziął się, by napisać do Młyni - mówiła poważnie.

- Kartki są z różnych miejsc i grubo przeterminowane, ale widać leżały gdzieś na poczcie.

Weszła babcia z michą pełną pokrojonego ciasta z serem.

- Przyniosłam wam, bo z daleka słyszę Rózię. Jedz, dziecko, na zdrowie, zmęczona pewno jesteś. Pocztę nosić to nie byle jaka praca. A dziadek gdzie? - zapytała.

- Głowy od poduszki nie może podnieść. Nie żeby kac, buraczki mu wczoraj zaszkodziły. Był u Pietrasów na świniobiciu. Jedli i pili do drugiej w nocy - poinformowała nas uprzejmie. - Dziadek mówi, że do podgardla podawali buraczki z chrzanem i one mu zaszkodziły.

- Bardzo możliwe - mruknęła babcia. - Jedzcie dziewczyny - zaprosiła.

My rzuciłyśmy się na listy, a Różia na ciasto. Pocztówki jak pocztówki - pozdrowienia, a to z Hongkongu, a to z Pekinu. Bóg wie gdzie moje siostry poniewierają się po świecie ze swymi mężami.

Rodzice przyjadą na grudzień do Wiednia, na czas mojego tam pobytu. Wyczytałam to w ich liście i w liście ciotki Teresy. Mama pisała:

Do Młyni przyjedziemy dopiero przywożąc Zuzię, chyba w styczniu, o ile profesor pozwoli. Wtedy sobie pogadamy, poplotkujemy, pośmiejemy się. Nie mogę się doczekać. Żałuję, ale na ślubie Amelki niestety nie będziemy. Prezent przywieziemy w styczniu. Nie ucieknie. Strasznie jestem ciekawa...

Mama była ciekawa dokładnie tego samego, co ciotka Teresa. Czy Krasula się ociełiła, czy ma cielaczka czy też cieliczkę, czy Burek zdrowy, czy kogut Maciej jeszcze gania za Kubą Leszczem w niecnym celu wyklucia mu mózgu i tak dalej, i tak dalej.

Uwielbiam listy mamy i ciotki. Są prześmieszne.

Z Londynu nadszedł list do dziadka. Od lorda.

- Nasz zacny Anglik pisze - referowałam w skrócie treść listu - że nie zapomni Młyni i naszego gościnnego domu, a najbardziej żuru z ziemniakami i białą kielbasą, który kiedyś



podawała mu ciocia Brońcia. Bardzo polubił grę w zechcyka. Codziennie grają ze swoim synem i kamerdynerem, uważając to za bardzo miłą rozrywkę.

- Pogłębiającą intelekt - wtrąciła ironicznie ciotka Sabina i lekko się skrzywiła.

- Daj spokój... - zganiłam ją. - Lord dodaje, że równocześnie wysyła listy do księdza i doktora, by ich zaprosić do siebie na Nowy Rok. Będzie mu bardzo miło zagrać znów z nimi w zechcyka. On sam przyjedzie wraz z rodziną już w czerwcu przyszłego roku. Zamierza pobyć w Młyni trzy miesiące. Oficjalnie też zaklepuje miejsce na kempingu dla swoich znajomych.

- Zawsze mówiłam, że wieś Młynia nad potokiem Młynkiem to najpiękniejsze miejsce na świecie. Anglicy się poznali - triumfalnie oznajmiła babcia.

- Nie wiem, czy najpiękniejsze, ale na pewno kojące w jakiś sposób. Może dlatego, że spokojne... - Ciotka Sabina zamyśliła się i jakby nieco pobladła.

- Złodzieje plądrują, Anielka wystąpiła w idiotycznym konkursie, pani Amelcia wychodzi za pana Piotra i to ma być spokój? - zdziwiła się Różia.

- Masz rację, dziecko, masz rację - zgodziła się ciotka.

- Wiecie co? - zaczęła po chwili milczenia. - Dzieje się ze mną coś dziwnego. Wczoraj zjadłam kawałek ciasta i mnie zemdleło. Dzisiaj to samo... Jakoś nie mogę jeść ciasta z serem - dodała.

- Antosię Kmieciców też mdliło po zjedzeniu ciasta i ogórka kiszzonego. Miała bliźniaczki - monotownie, z buzią pełną ciasta, powiedziała Różia. - Niech pani sprawdzi, czy panią zemdle po ogórku. Jak nie, to może będzie tylko jedno...

Zatkało nas wszystkie trzy. Ciotce oczy zaokrągliły się i wyraźnie wstrzymała oddech.

- Rany boskie - mruknęła po chwili. Wstała i dość niepewnie ruszyła do telefonu. Wykręciła numer.

- Bodziu, Różia Stasiaków mówi, że ja jestem w ciąży  
- oznajmiła łamiącym się głosem. - Nie plotę żadnych głupstw... Nie wiem, skąd Różia wie, ja sama dotąd nie wiedziałam... Dobrze, dobrze, przyjedź koniecznie... - Odłożyła słuchawkę.

Różia podniosła się z krzesła.

- Zwykła rzecz, a tak się dziwią - powiedziała i wyszła. Stawiam cały swój majątek, że od tej pory Różia roznosi powyższą wiadomość pod wszystkie numery domów, gdzie ma coś doręczyć.

Wieczorem zadzwonił Dyzio.

- Pięć dolarów już ci mogę oddać. Tata mi wypłacił zaległe pieniądze za pomoc przy robieniu pustaków - powiedział na powitanie.

- Nie śpieszy mi się, nie zamierzam kupować mercedesa.

- Dlaczego mercedesa? Wiesz coś nowego?

- Nie wiem, tak mi się powiedziało.

- Aha, mój ojciec widział tego mercedesa przedwczoraj w miasteczku i dobrze mu się przyjrzał. Ma wgniecenie na bagażniku. Już mu nawet trochę przyrdzewiało, a mówią, że mercedesy nie rdzewieją.

- Widocznie ktoś ma takiego w miasteczku, a my robimy sensację. Zbrzydło mi mówienie o mercedesie - oświadczyłam.

- Mnie też - dodał Dyzio - ale wczoraj ktoś buszował w hangarze i przed hangarem, gdzie stoją stare traktory. Jakoś tak się zawsze składa, że cokolwiek się dzieje, ktoś równocześnie widział mercedesa.

- Zadzwoń do Amelci, Dyziu, to może być bardzo ważne - poprosiłam.

- Dobrze, zaraz zadzwonię - obiecał.

- Nie było cię dzisiaj...

- I było ci mnie brak?

- Trochę...

- Powiedz, że bardzo, proszę cię - mówił śmiejąc się.

- Bardzo.

- Boże! Jak ja... - przerwał na chwilę, widocznie rozejrzał się, czy na pewno jest sam - ciebie kocham, Zuzik.

- Dyziu, powiedz mi, skąd wiesz? - zapytałam.

- Co?

- Jak to co?

- Aha, nie wiem skąd - odparł, domyślając się jednak, o co mi chodziło. - Wtedy na drodze, pamiętasz? Na moment zamarło mi serce. Jak Boga kocham! Naprawdę przestało bić i już wiedziałem... Dlaczego nie zrozumieliśmy tego wcześniej? Zdaje mi się, że straciliśmy czas... Mogliśmy bardziej cieszyć się sobą...

- Trudno, żebyśmy to czuli w przedszkolu - łagodnie przywołałam go do porządku.

Zaśmiał się najwyraźniej szczęśliwy.

- Powrzeszczymy? - zapytał.

- Teraz?

- No tak, cichutko, co ci zależy... - poprosił i wydał z siebie odgłos przypominający żabi skrzek.

Odwrzasnęłam. Najpierw cichutko, potem trochę głośniej.

- Kocham cię jak stąd na księżyc razy tysiąc - powiedziałam głośno i wyraźnie.

- A ja ciebie jak stąd na księżyc razy lata świetlne - rzekł wesoło Dyzio, a ja sobie wyobraziłam jego bardzo niebieskie, prawie fiołkowe oczy.

- Zuzka, nie siedź przy telefonie! Wieje w sieni, że niech Pan Bóg broni - usłyszałam głos babci.

Znowu sensacja: doktor z księdzem wpadli do piwnicy pod hangarem, a właściwie nie do piwnicy, tylko do jakichś

lochów. Awantura na całą wieś, a nawet województwo. Z Warszawy ponownie przyjechał komisarz Wilga, by zająć się tą sprawą.

- Ale Sajgon - określił barwnie ostatnie wydarzenie mały Kuba Leszcz.

- Ale numer - powiedział Dyzio.

- Ale draka - rzekła podekscytowana nowiną moja babcia.

To, że starsi panowie wpadli do lochów to dopiero początek „Sajgonu”. Zacznę jednak od początku.

Ciotka Sabina - bardzo przejęta swym odmiennym stanem (Franciszkiem, jak wszyscy nazywamy przyszłego Jasienia) - o wiele mniej zajmuje się moim stanem. Nie, żeby mnie zaniedbywała, och, to absolutnie niemożliwe, ale nie jestem już pępkiem świata. Dlatego też może więcej czasu spędzam w hangarze przy przystani. Doktor przychodzi po mnie, razem jedziemy po księdza i już zgodną trójką wędrujemy do hangaru. Na mnie czeka żmudne zszywanie dakronu, według dokładnych wykrojów Dyzia, a starsi panowie pucują jacht. Swoją własny, jak najbardziej prywatny, którego nikomu nie wolno nawet tknąć. Przed południem dołącza do nas Kuba, przeważnie z siostrą Andzią, i płacze się dookoła, zasypując nas tysiącem pytań. W udzielaniu odpowiedzi cierpliwy jest wyłącznie ksiądz, ja pędzę małego drania, a i doktor nie wykazuje nadzwyczajnej opiekuńczości.

Ksiądz wraz z doktorem zachorowali na jacht dobre kilka miesięcy temu. Zakupili listwy sosnowe na szkielet kadłuba. Z innych kawałków drewna wycięli piętnastomilimetrowe żebra, nałożyli na nie klej epoksydowy, przypasowali listwy i tak powstał szkielet. Teraz trzeba na to wszystko nałożyć sklejkę wodoodporną i nasączyć pokostem. Tylko, żeby taki szkielet gdzieś stanął, należy zbudować coś na kształt rusztowania. Nie bardzo było gdzie, bo hangar ma swoje przeznaczenie i nie nadaje się na prace stoczniove. Wujek Bodzio doradził

postawienie tymczasowego rusztowania z tyłu hangaru, prawie pod lasem. W przyszłości tam właśnie, na miejscu ruin domku myśliwskiego, rozbuduje się hangar.

Starsi panowie z zapalem wymierzali odległości i przygotowywali specjalne kołki, które należało wbić w ziemię. Gorzej było z posługiwaniem się ciężkimi siekierami. Niemrawo im szło, bo już i siły nie te, i humor nie zawsze dopisywał. Zmartwienie o pieniądze znakomicie niweczy zapal do pracy.

- Po diabla kupiles te szekle, kabestan i zawiasy do steru?  
- zloscil sie doktor.

- Okazja byla. Myslisz, ze je gdzie dostaniesz w naszym miasteczku? Zreszta jeszcze nie zaplacilem, bo nie mialem grosza. Wilkosz poczeka - tłumaczył sie ksiadz.

- Wiesz, ile mamy dlugu? - wrzeszczal doktor, walac w jeden z kolkow w czworoboku.

- Przeciez szekle musimy miec! - odparl ksiadz.

- Musimy, ale trzeba bylo poczekać.

- Nie mozemy czekać. Za starzy jesteśmy.

- Do wiosny niedaleko - zazartowal doktor.

- Zwariowales, mam czekać az do wiosny? - oburzył sie ksiadz.

- Przeciez po lodzie nie poplyniesz.

- Po jakim lodzie? Juz trzy lata nie bylo wielkiej zimy.

- W tym roku bedzie. Nam na zlosc. - Doktor splunal po furmansku i otarl czolo brudna dlonia.

Postanowilam sie wtracic.

- Przeciez moge wam pozyczyc... - zaczalam nieσμialo.

- Niech sie Jaworowna nie wymadrza. Ruda, piegowata wiewiora - rzekl z usmiechem ksiadz.

- Wiewiora - powtorzył uradowany Kuba.

- Nie bedziemy pozyczac pieniedzy od nieletnich! - wrzasnal doktor. - Zglupialas?

- Jestem pełnoletnia. - Śmiałam się jak szalona. - Rodzice dają mi pieniędzy w nadmiarze, żeby uspokoić swoje wredne sumienia.

- Co prawda, to prawda - zgodził się ksiądz. - Może byśmy chociaż na okucia pożyczyci, co?

Wujek Bodzio zażegnał spór. Przyszedł z jeszcze jedną ogromną siekierą i przyprowadził gospodarza.

- Słuchajcie, ja z gospodarzem wbijemy jeden kołek, a wy we dwójkę drugi. Tak na „raz i dwa, raz i dwa”, dobra?

Zaczęli wbijanie. Andzia, Kuba i ja liczyliśmy, a oni walili. Przy którymś z rzędu odliczaniu zakurzyło się, i ksiądz zniknął z pola widzenia. Kuba rozwrzeszczał się ze strachu. Wszyscy zamarliśmy. Kiedy chmura kurzu opadła, nie było widać księdza, doktora i gospodarza. Kołków też nie było. W miejscu, gdzie pracowali, powstała głęboka, nieforemna jama.

- A niech to jasna cholera - usłyszeliśmy głos doktora.

Po chwili na dnie dołu ukazali się trzej poszkodowani, troszkę przestraszeni, ale za to cali. Zapadli się - jak się okazało - niezbyt głęboko, jakieś dwa metry pod ziemię.

Najpierw, bardzo cichutko, zaczęłam się śmiać tylko ja, potem dołączyli Kuba i Andzia, wreszcie ryknął śmiechem wujek Bodzio. Patrzyliśmy na nieszczęśników - brudnych, zakurzonych i pękaliśmy ze śmiechu, nie mogąc w żaden sposób się powstrzymać. Ksiądz miał na włosach kępkę suchej trawy, w dodatku z białym kwiatuszkiem. Widok był niesamowity.

Ofiary wypadku usiadły na dnie leja i poszły w nasze ślady. Śmialiśmy się zgodnie, chociaż tak bardzo nie było z czego. Przecież mogli zrobić sobie krzywdę.

- Musiała tu być jakaś piwnica - stwierdził ksiądz.

- Tu, gdzie teraz jest przystań, był kiedyś, bardzo dawno temu, dworek. Mogły w nim być piwnice, które prowadziły do domku myśliwskiego. - Gospodarz otrzepywał się starannie.

Wygramolili się wreszcie z dołu, trochę jednak poobijani. Siedzieliśmy, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Miejsca przed hangarem wyraźnie ubyło.

- Skąd ja wezmę nowe kołki? Strugałem je trzy wieczory - martwił się ksiądz.

- Poszuka się - przytomnie zauważył gospodarz. - Muszą gdzieś być.

- Jasne, że muszą - zgodził się Kuba i zsunął się do dziury. Zaczął grzebać patykami w spulchnionej ziemi.

- O, coś mam! - zawołał radośnie z dołu.

Oczom naszym ukazała się piękna szabla, z pochwą wysadzaną jakimiś kolorowymi kamieniami. Zdębieliśmy wszyscy z wyjątkiem Kuby.

- Szabla. Dziadek Pietras też taką ma - poinformował nas obojętnie.

W jednej chwili w dole znaleźli się wszyscy panowie plus Andzia. Jak szaleni zaczęli rozgrzebywać ziemię patykami.

- Opamiętajcie się! - krzyknęłam. - Chyba trzeba jakoś rozsądniej... - pouczyłam.

- Ona ma rację, na Boga! - zreflektował się pierwszy wujek. - Wychodźmy stąd. Zaczniemy poszukiwania jak należy.

- Trzeba by może zawiadomić Bartusiową, żeby znowu nie było na nas - odezwał się gospodarz.

- Słusznie, trzeba sołtyskę powiadomić - zgodził się doktor.

- Ja myślę, że także panią Amelcię - zaproponowałam.

- Kołki mi zatupią obcy - zmartwił się ksiądz, trzymając w ręce szablę. - Wiecie? Tu są prawdziwe szmaragdy i rubiny! O, cztery szafiry i mnóstwo opali!!! - zawołał zdumiony.

- No nie! W tej sytuacji trzeba szybko biec do Amelci - stanowczo stwierdził wujek. - Może to skarb?

- Najwyraźniej tak - oświadczył ksiądz.

Wujek pobiegł zatelefonować po panią komendant i Bartusiową.

W pół godziny zaroilo się na przystani. Więcej było gapiów niż funkcjonariuszy. Zastępca komendanta, Florek, ogrodził cały teren żółtą taśmą i absolutnie zabronił komukolwiek ją przekraczać. Potem lunął deszcz i przegnał wszystkich do domów. Na miejscu został tylko Florek i sierżant z miasteczka.

Od tego dnia ekipa poszukiwawcza zmieniła się radykalnie. Wreszcie sam komisarz Wilga zaszczyił nas swoją obecnością.

Wieczorem przyszedł Dyzio. Pojechaliśmy pod dzikie grusze posłuchać Młynka.

- Powiedziałaś im o zapalniczce i papierosach? - zapytał z zaciekawieniem.

- Nie. Przypomniałam sobie, ale zaraz lunęło i musiałam uciekać. Zmokłam jak kura, a przy mnie doktor.

- To wcale nie musi być skarb... - zamyślił się. - Może ktoś chciał coś przechować?

- To znaczy, że ksiądz z doktorem pomieszali komuś szyki?

- Tak właśnie myślę. Te „Carmeny” i zapalniczka jakoś się tam znalazły. Ciekaw jestem, co myśli pani Amelcia - zastanawiał się głośno.

- Ona myśli najwięcej o swoim weselu - zaczęłam bez aprobaty dla Amelii. - Nie widziałam, żeby się przejęła.

- Bo ma ślub. Jednak zarządziła, co trzeba... Jedźmy do domu, zimno się zrobiło po deszczu. Możesz się przeziębic - powiedział z troską.

- Nic mi nie będzie. Jeszcze troszkę... - poprosiłam. Następne pięć minut było bardzo, ale to bardzo miłe...

Późnym wieczorem zadzwoniła Amelia.



- Pamiętasz papierosy „Carmeny” i zapalniczkę? - zapytała bez wstępu.

- Właśnie mówiliśmy o nich z Dyziem - poinformowałam. - On by ich nie lekceważył...

- I słusznie - przyznała pani komendant. - Odnaleźliśmy w ruinach domku wejście do piwnicy. Wyobraź sobie, było pod progiem. To znaczy pod kamiennym schodkiem, przy wyjściu z domku. Ta kamienna płyta była często ruszana.

- O rany! - jęknęłam z wrażenia. - I co?

- I nic. Komisarz Wilga przejął sprawę. Zasadniczo nie powinnam ci nic mówić, ale wy z Dyziem macie bardzo trafne spostrzeżenia. Chciałabym was prosić, żebyście sobie dokładnie przypomnieli, co jeszcze widzieliście i, poza tym, rozglądajcie się za białym mercedesem - dokończyła.

- Wciąż myślę o dziewczynie, którą spotkałam na wrzosowisku - przyznałam się Amelii.

- Czy ty ją wcześniej gdzieś widziałaś? - zapytała.

- Nie, wtedy w lesie zobaczyłam ją pierwszy raz, ale...

- Ale co? - nie dała mi dokończyć.

- Ona była bardzo sympatyczna. Pomogła mi, uśmiechała się do mnie naprawdę życzliwie - próbowałam bronić dziewczynę. Dziwnie niemiła była mi myśl, że mogłaby mieć coś wspólnego ze sprawą.

- Komisarz Wilga chciałby, żebyś podała jej rysopis - powiedziała łagodnie Amelia.

- Po co? - zdenerwowałam się.

- Żeby udowodnić jej niewinność... Cześć. Dziękuję za chwilę miłej pogawędki - zakończyła uprzejmie.

Po trzech dniach sprawa ucichła. Oprócz szabli nic nie znaleziono, a Młynię żadna szabla nic a nic nie obchodzi, tym bardziej, że w perspektywie wesele Amelii i Piotra. Koło hangaru pracowała ekipa policyjnych specjalistów, ale nikt się nimi zbytnio nie interesował.

Wujek Bodzio wreszcie odetchnął. Prokuratura zawiadomiła, iż w jego działaniach nie dopatrzono się cech przestępstwa kryminalnego i wobec tego dochodzenie zostaje umorzone, natomiast kwestie podatkowe będą przekazane urzędowi skarbowemu.

- Patrzcie państwo! - zdenerwowała się babcia. - Kilka miesięcy człowieka denerwują, by teraz napisać: „nie ma znamion przestępstwa"! Jeżeli nie ma, to znaczy, że nigdy nie było - dowodziła logicznie.

W nocy obudził mnie ból. Przyszedł nagle i był potworny. Próbowałam mu zaradzić zmieniając ułożenie ciała. Przekrzywiałam kręgosłup, wyciągałam się jak guma, ale dość długo trwało, nim ustąpił. Spocona, rozedrgana, usnęłam dopiero nad ranem. Nic nie powiedziałam ciotce ani babci. Po co mam je denerwować.

W związku z obecnością policji w ruinach domku myśliwskiego i w hangarze, Dyzio musiał zawiesić prace nad lotnią. Właściwie to ja je musiałam zawiesić, bo Dyzio i tak głównie siedzi w szkole albo u Wilkosza, gdzie pracuje przy załadunku perliczek. Dakron, zwinięty w wielki rulon, spoczywa w hangarze, czekając na lepsze czasy. W końcu latać możemy dopiero na wiosnę. Napisałam „możemy". Mam bowiem nadzieję, że po operacji... Przecież po pierwszej operacji chodziłam wcale dobrze. Chyba, żeby się nie udało... Co tam, nie będę teraz o tym myśleć.

Dyzio oddał mi całe pięćdziesiąt dolarów, które natychmiast pożyczyłam doktorowi Sznicerowi na okucia do jachtu. Kupił je na kredyt i bardzo się martwił, czym później zapłaci. Chciałam mu dać więcej, ale oczywiście zrugął mnie od ostatniej rudej wiewióry.

Młynia zajęta była nade wszystko weselem Amelci. Wiadomości o poszukiwaniach w ruinach domku

myśliwskiego mieliśmy wyłącznie od wujka Bodzia i Rózi Stasiakówny, która wie wszystko.

- Czegoś się tam dokopali - oznajmiła Rózia podając listy.  
- Dokładnie nie wiem, bo na razie zostawili sierżanta i mają przyjechać jutro z tym „pietruszką” z Warszawy.

- Z kim? - zapytałam zdziwiona.

- No, z tym długim, bladym jak ugotowana w rosole pietruszka - wyjaśniła.

Roześmiałam się. Komisarz Wilga istotnie przypominał pietruszkę.

- Z zagranicy dzisiaj nic nie ma - stwierdziłam ze smutkiem.

- Dla was nic, ale dla Dyzia jest z Anglii list od jakiejś Alice - powiedziała, przyglądając mi się badawczo.

- Och, ciekawa jestem, co u niej słyhać - rzekłam z udaną swobodą. Bardzo chciałam, żeby już sobie poszła.

- Jak Dyzio przyjdzie, to Zuzi opowie. Mogłabym kawałek ciasta? - Rózia sięgnęła ręką do talerza, nim zdążyłam powiedzieć słowo. - Lecę już. Aha, ten lord, co u was mieszkał, zamówił w miasteczku trzydzieści róż - koniecznie herbacianych - dla pani komendantki. Mają jej zanieść w dniu ślubu.

Po południu spadł deszcz. Dyzio pakował u Wilkosza perliczki w eleganckie zagraniczne pojemniki, przystosowane specjalnie dla drobiu. Było nudno. Zadzwoiła Amelia.

- Jest Bodzio? - zapytała.

- Jest w pracy, jak zwykle.

- Dzwoniłam na przystań. Powiedzieli mi, że poszedł do domu. A jak czuje się Sabina i... Franciszek? - Amelia zaśmiała się cicho.

- Dziękuję w imieniu cioci. Chyba czują się nieźle - odparłam i postanowiłam natychmiast skierować rozmowę na

interesujący mnie temat. - Podobno coś znaleźli? - zapytałam, nie mogąc dłużej wytrzymać.

- W domku myśliwskim?

- No przecież.

- Odkryli połączenie z drugą częścią piwnic, oddzieloną zamaskowanym kamieniem. Było tam trochę rupieci...

- To znaczy?

- Nie wiem, nie byłam tam. Florek mi mówił, że srebra, kilka obrazów, jakieś teczki i, co najważniejsze, kasa pancerna. Wszystko trzeba najpierw opisać na miejscu, a potem zobaczymy, co to jest. W każdym razie, oprócz kasy pancerniej, wszystko pochodzi z kradzieży i zawędrowało tam stosunkowo niedawno - wyjaśniła Amelia.

- Aha, jak przyjdzie Bodzio, bądź tak dobra i przekaż mu, że dzwoniłam - poprosiła. - Chodzi o to, żeby na noc zatrzymał na przystani gospodarza. Sierżantowi nie będzie tak nieswojo.

Przekazałam polecenie pani komendant. Wujek poinformował gospodarza, że ma siedzieć kamieniem na przystani razem z sierżantem.

Wieczorem, jak zwykle, zadzwonił Dyzio.

- Cześć. O rany, nie mam chwili czasu. Kto cię dzisiaj woził? - spytał nieśmiało.

- Trochę doktor, ale najwięcej jeździłam sama - skłamałam.

- Przykro mi.

- To nic. Podobno dostałeś list od Angielki? - zapytałam zjadliwie.

- Tak. Miałem ci o tym powiedzieć. Alice, po pierwsze, chce przyjechać do Młyni na zimowe ferie, a po drugie - może przywieźć czerwonożłotawy dakron.

- Nie potrzebujemy już dakronu.

- Właśnie. Trochę mi głupio, ale odpisałem, że niestety nie będziemy jej mogli gościć, ponieważ ty masz wyznaczoną operację i w ferie zostaną przy tobie. Przeprosiłem ją. Na szczęście Anglicy głupio się nie obrażają. Wiedzą, że jak mus - to mus - tłumaczył cierpliwie.

- To ty będziesz przy mnie? - zdziwiłam się.

- Całe ferie. Twoja ciotka Teresa mnie zaprosiła. Nie wiedziałaś?

- Nie wiedziałam. - Poczułam, że coś ściska mnie w gardle.

- Zapomniałem ci powiedzieć - wyjaśnił beztrąsko.

- Aha, słyszałaś, że coś znaleźli w domu myśliwskim?

- Rozmawiałam z Amelcią. Policja sama nie jest jeszcze zorientowana, co tam jest.

- Zuzka, chciałbym stale być przy tobie - powiedział nagle Dyzio. - Nie wiem, dlaczego nigdy nie mam na nic czasu. Wszystko, co robię, muszę robić szybko, bo ciągle gdzieś się śpieszę. Tymczasem cały czas myślę o tobie...

- Ja też myślę o tobie - wyznałam.

- Tylko że ty nie musisz się martwić, a ja wciąż się boję, że coś ci się stanie, że się wywalisz wraz z wózkiem albo że cię boli... Bo czasem cię boli, prawda?

Przełknęłam ślinę.

- Czasem... - załkałam.

- Nie płacz, kochanie, proszę cię, nie płacz... To wszystko minie, zobaczysz... - uspokajał mnie.

- Wiem. Wierzę w to, co mówisz, Dyziu... - urwałam i odwiesiłam słuchawkę, bo nie mogłam wykrztusić ani jednego słowa więcej. „A ja głupia byłam zazdrosna o jakąś Alice” - pomyślałam.

Awantura wybuchła wczesnym rankiem. Policjant Florek pojechał zwolnić z posterunku sierżanta, który winien pełnić straż całą noc. Zdziwił się, gdy zobaczył, że żółte paski

otaczające domek myśliwski są pozrywane i wiszą nieporządnie na pobliskich krzakach. Nigdzie też nie dostrzegł rosłej postaci sierżanta.

- Halo! Jest tam kto? - zawołał, kierując się w stronę niedomkniętego hangaru.

Znalazł ich śpiących. W pierwszej chwili myślał, że zwyczajnie sobie wypili za dużo. Podszedł i lekko trącił nogę gospodarza.

- Eee, wstawajcie, stróże - krzyknął niezbyt głośno, żeby ich nie przestraszyć. Potem jednak sam się wystraszył. Dwie blade, rozłożone na workach po cemencie postacie, jawiły mu się nieboszczykami. W końcu, kto śpi na gołej podłodze w chłodną, jesienną noc?

Florek wrzasnął rozpaczliwie i rzucił się do ucieczki. W panice pognął prosto przed siebie, do lasu, zamiast w stronę wsi. Omal nie roztrzaskał się o sosnę. Wtedy stanął i oprzytomniał. Wrócił i skierował się prosto do kantorka na przystani, gdzie był telefon.

Po dziesięciu minutach przyjechała swoim maluchem pani komisarz, a w pół godziny później karetka pogotowia ratunkowego. Zjawiło się też pół Młyni, w tym na pewno wszystkie dzieci. My dotarliśmy około godziny dziewiętej, kiedy sierżanta z gospodarzem zabierano do szpitala. Okazało się, że zostali uśpieni, ale jeszcze nie było wiadomo czym. Sierżant ledwie dychał, a gospodarz prawie wcale nie dawał znaku życia.

Doktor Sznicer, który mnie przywiózł, poszedł dowiedzieć się, co się stało. Potem zdał mi sprawozdanie, pchając mój wózek z powrotem, do domu.

- Zbadałem ich. Wyżyją - zapewnił mnie. - Moim zdaniem kilka kopniaków też dostali. Mają charakterystyczne siniaki. Ogólnie są dość sponiewierani. Musiało być co najmniej dwóch chłopów do tej roboty.

Nie mogłam ochłonąć z oszołomienia. Wszak jak Młynia Młynią nic podobnego się nie wydarzyło. Niecierpliwie kręciłam się na wózku.

- Albo i trzech - snuł swe przypuszczenia doktor. - Wszak to niemożliwe, żeby sierżant, kawał chłopca, pozwolił sobie założyć szmatę z chloroformem na twarz. Ktoś musiał go przytrzymać, a co w tym czasie robił gospodarz? Będzie miała o czym myśleć nasza Amelcia. - Doktor zupełnie nie zwracał uwagi na doły i kępki traw na ścieżce.

- Kurcze - syknęłam podskakując na wózku.

- Przepraszam, drobinko, przepraszam. Stary głupiec ze mnie - bił się w piersi doktor. - Krzywdę dziecku wyrządzam.

- Nic mi nie będzie - uspokoiłam go. - I co? Co dalej? Co zniknęło z piwnicy? Co z szablą? - dopytywałam się.

- Szabla ocalała, bo zaraz pierwszego dnia - gdy wpadliśmy z księdzem do piwnicy - zabrała ją Amelcia. Miała wysłać ją do ekspertyzy - wyjaśnił. - Postójmy trochę, zasapałem się - dodał ciężko dysząc.

Staliśmy nic nie mówiąc. Patrzyłam na doktora i zobaczyłam nagle, że jest stary. Ogarnęła mnie tkliwość, co zdarza mi się zawsze, gdy patrzę na dziadka.

- Może ja sama popcham koła - zaproponowałam.

- Łapy przy sobie, wiewióro ruda i piegowata!

- krzyknął doktor, udając dobre samopoczucie, a z kamizelki dyskretnie wyjął małą pigułkę i włożył ją pod język.

- Przecież całe życie tak jeżdżę! - upierałam się.

- Ani mi się waź! - zagroził. Ruszyliśmy powoli.

- O czym to mówiliśmy? - zaczął doktor. - Aha. No więc zabrali wszystko oprócz kasy pancерnej. Cieszę się, że nie udało im się jej otworzyć.

- Dlaczego? - spytałam ze zdziwieniem.

- Bo to jedna z tych kas pancерnych, których w dzisiejszych czasach nie potrafią otworzyć najlepsi fachowcy.

- Doktor śmiał się i pokasływał. - Podobna jest tylko w Warszawie i chyba jeszcze w Katowicach.

Dobrnęliśmy do mostu. Burek przybiegł na powitanie i, oczywiście, obsikał ze szczęścia koła mojego wózka i doktorowe buty.

- Skubany, zawsze mnie obleje - mruzczał doktor.

- Buruś, piesku, no dobrze, już dobrze, przywitaliśmy się.

- Ciekawa jestem, co teraz robi policja? - wróciłam do tematu.

- Śledztwo jest wszczęte, a więc będzie je prowadziła dalej, może tylko bardziej intensywnie - odparł. - To już nie przelewki. Przecież są ofiary, które zresztą ledwo zipią - zakończył dowcipnie.

Wreszcie dotarliśmy do domu. Babcia natychmiast poczęstowała nas gorącą herbatą i pysznym ciastem z jagodami.

Wieczorem dzwonił jak zwykle zabiegany Dyzio. Oczywiście znał cały przebieg wydarzeń. Ponadto poinformował mnie, że „ofiary” szczęśliwie odzyskały przytomność i poczuły się nawet bardzo głodne, co było dobrym znakiem.

Powiedzieliśmy też sobie wiele innych, ciepłych słów...

W początkach swego istnienia dom Jasieniów miał tylko cztery izby i długą sień. Po jednej stronie była kuchnia i sypialnia dziadków, po drugiej jadalnia i pokój. Kiedy ośmioro dzieci zappełniło wszystkie kąty, jadalnia była sypialnią chłopców, a łączący się z nią mniejszy pokój sypialnią dziewcząt. Prawdziwa jadalnia była w kuchni i tak już zostało.

Sześciu synów Jasieniowych z czasem przebudowało stajnię, dostawiając do starego domu dwa pomieszczenia: łazienkę i spiżarnię. Łazienka jest wielka i nieprzytulna, ale za to mieści brodzik i pralnię. W spiżarni gromadzone są



przeróżne stare rupiecie, w dawnych czasach przechowywane na strychu.

Najlepiej czułam się zawsze w sypialni dziadków, gdzie stały wielkie szafy oraz nocne stoliki z szufladami pełnymi szmatek, chusteczek, skarpetek i innych ciekawych rzeczy. Nigdzie też nie było tak ciepło i bezpiecznie, jak w samym środku dwóch połączonych łóżek. Kiedy byłam siedmioletnią dziewczynką, którą rodzice zostawili „tymczasem” u dziadków, często przesiadywałam właśnie w tym miejscu. Później opłakiwałam tam pierwsze symptomy choroby, strach przed operacją i przeogromną tęsknotę za matką.

Między dwoma oknami stała toaletka o trzech ruchomych lustrach, mająca kilka szufladek i szufladeczek. Właśnie przed nią siedziałam teraz na swoim wózku i przymierzałam ciuchy przysłane przez ciotkę Teresę. Na ślubie pani Amelii miałam wystąpić w prześlicznej turkusowej sukience, takimż kapelusiku, z turkusową torebką i w atłasowych turkusowych bucikach.

- Świetnie harmonizuje ten kolor z twoimi włosami - zauważyła babcia. - Teresa dobrze wie, co dla ciebie odpowiednie.

- Babciu, kto będzie świadkiem na ślubie? - spytałam.

- Bohdan ze strony Amelci, a ze strony Piotra jakiś kolega. Nie wierć się! - krzyknęła. - Przymierzmy kapelusz. - Babcia kręciła się koło mnie jak fryga. - Nie za duże to rondo?

- Nie za duże, widziałam większe. Teraz takie modne - upierałam się.

- Nie przesadzaj - rzekła babcia. Nigdy nie przywiązywała wielkiej wagi do nowości.

Weszła ciotka Sabina i rozsiadła się w fotelu.

- Czymś tu zawsze pachnie i nigdy nie wiem czym - zauważyła.

- Pigwami. We wszystkich szafach trzymam pigwy. Moja mama tak robiła i mama mamy - wyjaśniła babcia.

- Jak się czujecie? - zapytała dla porządku.

- Dziękujemy. Ja i Franciszek mamy się znakomicie

- odparła z uśmiechem ciotka Sabina. - Ach, przecież przyszłam wam powiedzieć, że sierżant i nasz gospodarz czują się coraz lepiej. Najgorsze, że nie mają bladego pojęcia, co im się przytrafiło. Najbardziej boją ich skopane tyłki. Obydwaj przysięgają, iż nie byli razem. Sierżant przyszedł na służbę i rozpoczął obchód terenu, a gospodarz przygotowywał kanapki w biurze przystani. Wstawił na kuchenkę pełen czajnik wody i miał zamiar zaparzyć kawę. Obudził się w szpitalu.

- A co z czajnikiem? - zapytała babcia.

- Ekipa śledcza stwierdziła, że ktoś zgasił gaz, a także wypił kawę i zjadł przygotowane kanapki. Na stole pozostawiono dwie brudne szklanki. Na tym ślad się urywa. Nie pomogą żadne ekipy z Warszawy. Zmartwienie pozostanie wyłącznie Amelce. Pani komendant jest ponura jak grób - oświadczyła ciotka.

Wkrótce wszystkie trzy przestałyśmy zawracać sobie głowę wynikami śledztwa i z całym zapałem zajęłyśmy się ciuchami.

W sypialni właśnie odnalazła nas bez trudu Anielka Wilkoszówna.

- Dzień dobry. Stara Matylda będzie u nas piekła perliczki z nadzieniem i bardzo prosi o pożyczenie gałki muszkatołowej - powiedziała grzecznie.

- Oczywiście - zgodziła się babcia. - Dam ci jeszcze zielony koperek.

- Prześliczna sukienka - pochwaliła Anielka moje turkusy.  
- Na moim ślubie będziesz świadkiem, jak zechcesz, oczywiście. Możesz być w tej sukience...

- Kiedy? - spytałam zaskoczona.

- W święta - wyszeptła cichutko. - Tylko proszę nic nie mówić, żeby nie gadali... o tamtym...

- Gratuluję! - wrzasnęła ciotka. - Nikt nie będzie gadał! Cieszę się, że się pobierzecie. Zenek to porządny chłopak.

- Nie mogę być twoim świadkiem - powiedziałam zdenerwowana. - Pierwszy raz w życiu mam taką okazję i nie mogę! Będę w Austrii.

- Trudno, wobec tego niech już będzie pan Kołeczek.

- Kto? - krzyknęłyśmy wszystkie trzy.

- Pan Kołeczek. Bardzo się napraszał - spokojnie wyjaśniła Anielka.

- Kiedy się napraszał? - zapytałam.

- To było dzień przed ostatnią kradzieżą i całą awanturą. Przyjechał oddać tacie tysiąc dolarów. O co chodzi?

- Ona pyta, o co chodzi! Przecież to Kołeczek! - wołałam zgorszona.

- No to co? - zdziwiła się.

- Jakim był samochodem? - spytałam, czując narastające podniecenie.

- Białym.

- Ale jakiej marki? - dociekałam.

- Nie znam się, bardzo ładnym. Obiecał, że zawiezie nas z Zenkiem do ślubu. - Anielka popatrzyła na nas ze zdziwieniem.

W turkusowej sukni i kapeluszu pojechałam do telefonu w sieni. Wykręciłam numer naszego posterunku.

- Dzień dobry. To ja, Zuzanna.

- Tak. Słucham cię, Zuziu - usłyszałam spokojny głos Amelii.

- Czy pani wie, że Kołeczek był wieczorem u Wilkoszów, kiedy to wszystko stało się w domku myśliwskim? - zapytałam.

- Wiem. Wiem także, że przyjechał białym mercedesem z wgnieceniem po prawej stronie bagażnika. - Głos Amelci nie wibrował zwykłym śmieszkiem.

- I co?

- Prowadzimy dochodzenie. Dziękuję za telefon.

- Usłyszałam trzask odkładanej słuchawki.

- Do widzenia - powiedziałam w przestrzeń.

W kuchni natknęłam się na wychodzącą Anielkę. Trzymała w ręku trzy gałki muszkatołowe i słoik solonego koperku.

W kościele zapalono wszystkie światełka. Pachniało kwiatami, kadzidłem i perfumami. Siedziałam na wózku tuż obok ławki babci. Za mną stał Dyzio. Czekaliśmy na wejście państwa młodych, Amelii i Piotra.

Rozglądałam się dyskretnie. W kościele była dokładnie cała Młynia i część Pszenicznej. Wolne miejsca wskazywały, że orszak panny młodej też będzie duży. Mimochodem zauważyłam, że pod ławką, przy nogach babci, leży - próbując udawać, że go nie ma - Burek!

- Rany boskie! Burek skądś się wziął - szepnęłam do Dyzia.

- No to co, niech sobie siedzi - usłyszałam szept. - Nie będziemy teraz robić cyrku.

Nagle odezwały się organy. Na czerwonym chodniku, rozłożonym na całą długość kościoła, ukazała się młoda para. Wstrzymałam oddech.

- Oni są piękni! - powiedziałam cichutko do Dyzia.

- No - zgodził się krótko.

Amelia w kremowym, obcisłym kostiumie i w kremowym kapeluszu, trzymająca w dłoni czerwoną różę na bardzo długiej łydydze. Piotr w smokingu, z powodzeniem mogący pozować do magazynu mody męskiej.

Zrobiło się trochę zamieszania. Obok babci usiadła matka pana młodego. Popatrzyły na mnie roześmiane oczy i już wiedziałam, po kim pan Piotr odziedziczył urodę.

- Ślicznie wyglądają, prawda? - szepnęła do mnie.

- Prześlicznie - zgodziłam się.

Rozpoczęło się nabożeństwo. Ucichły organy i do młodych odwrócił się nasz stary ksiądz proboszcz. Patrzył na nich i uśmiechał się po swojemu - radośnie i troszkę przekornie.

Chłonełam wprost całą uroczystość. „Bywasz egzaltowana” - zwraca mi nieraz uwagę Dyzio. Może ma rację, ale dlaczego mam nie przeżywać ślubu dwojga kochających się ludzi? Złożyli przysięgę, założyli sobie obrączki i ksiądz powiedział do nich parę słów. To nie było kazanie, tylko kilka dobrych słów, takich, jakie się potem pamięta do śmierci.

Popatrzyłam na matkę pana młodego. Płakała. Rozpłakałam się też, lecz w jednej chwili przypomniałam sobie, że mam pomalowane oczy i zaraz popłyną mi ciemne strugi po policzkach. Natychmiast łzy mi obeschły, chociaż nie byłam pewna, czy nie za późno.

- Dyziu, jak wyglądam? - zapytałam cicho.

- A jak masz wyglądać?

- Czy się nie rozmazałam?

- Nie. Jesteś jeszcze ładniejsza niż Amelcia - powiedział poważnie i całkiem głośno.

Zrobiło mi się lekko na sercu, prawie zapomniałam, że jeszcze tylko kilkanaście dni... W tej chwili liczył się wyłącznie Dyzio, ślub Amelii i Piotra, moja turkusowa sukienka i kapelusz przewiązany białą gazą. Dobrze jest mieć osiemnaście lat.

Potem było składanie życzeń. Trwało to bardzo długo. Świeżo poślubieni Okońscy stali obok siebie z naręczami

kwiatów. Posuwaliśmy się z Dyziem w długiej kolejce. Wreszcie tuż nad sobą zobaczyłam najszcześniejsze oczy na świecie.

- Życzę pani... życzę pani i panu... - jękałam się.

- Dziękuję, dziękuję... - Poczułam delikatne muśnięcie policzka i zapach perfum „Soir de Paris”. (Wiem, bo mama też ich używa).

- Dziękuję, pani Zuziu - usłyszałam i rozpoznałam zapach „Impulsu”.

Na powitanie chlebem i solą, przed salą straży pożarnej, nie zdążyliśmy. Państwo młodzi pokonali tę trasę samochodem. My zaś pieszo.

Weszliśmy do środka. Nigdy, jak długo żyję w Młyni, sala teatralno - kinowa nie wyglądała tak pięknie. Odmalowane ściany, okna i drzwi, prześliczne nowe firany i ogromna masa kwiatów. Wszędzie wyczuwało się specyficzną atmosferę uroczystości, którą przeżywa się tylko raz w życiu i nie zapomina nigdy.

Wiele elegancko ubranych pań znikło w kuchni. Po chwili ukazały się w białych fartuszkach i zaczęły podawać do stołu. Bartusiowa, Leszczowa, Chudziakowa, Lodzia z kiosku i nasza ciotka Sabina obsługiwały gości, a starsze panie, jak Matylda, ciocia Brońcia i stara Leszczowa przygotowywały w kuchni kolejne dania. A był ich duży wybór. W skład obiadu podanego na weselny stół wchodziły takie gorące potrawy i desery, jak:

Zupa pieczarkowa

Sandacze i szczupaki z wody w sosie tatarskim

Paszteciki z perliczek w kruchym cieście

Perliczki pieczone z nadzieniem

Kapusta z bułeczką Schab w całości z paluszkami z ziemniaków

Salatki

Kompoty

Ptysie z kremem

Kawa

Likiery.

Doktor Sznicer siedział obok nas, na samym końcu stołu.

- Jak pomyślę, że do tego jest jeszcze zimny bufet, a potem będzie gorąca kolacja, to mi żal, iż nie jestem w stanie zjeść wszystkich znakomitości - oświadczył. - Na pewno najślynniejszy hotel w kraju nie przygotowałby przyjęcia weselnego tak wykwintnie, jak zrobiły to proste wiejskie baby.

Do tańca przygrywał zespół smyczkowy, utworzony przez członków orkiestry straży pożarnej. Tańczono do upadłego. Z początku przeszkadzały trochę dzieci, odurzone świętem, muzyką i górami słodocy, których nareszcie nikt nie bronił jeść w dowolnej ilości. Plątały się pod nogami, napraszając się do tańca z mamą czy tatą. Wreszcie popadały jak kawki. Kuba usnął na moim wózku, gdzie się wepchnął i ulokował za moimi plecami. Siedziałam na samym brzeżku, żeby go nie zbudzić, wreszcie pan Leszcz zlitował się nad dzieckiem i nade mną i zaniósł go do domu.

O północy salę oczyszczono z dzieci, podano palące się lody i przygaszono światła. Widok był rzeczywiście imponujący.

Dziadziuś, ubrany w elegancki szary garnitur, skłonił się przede mną.

- Proszę do tańca moją kochaną wnuczkę - powiedział.

- Coś ty, dziadziusiu... Coś ty... - bąkałam, bo niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak wstać i zatańczyć z dziadkiem.

- Nie będziemy tańczyć polki, bo już jestem za stary, dlatego proszę - zatańcz ze mną tango - upierał się.

- Dyziu, bądź niedaleko, bo jak runę na twarz... - poprosiłam i pomalutku zeszłam z wózka.

Dziadzius chwycił mnie mocno i prawie niósł przed sobą. Goście zaczęli bić brawo. Czułam się uskrzydłona. Zdawało mi się, że mogę tak tańczyć całą noc, że nigdy nogi nie odmawiały mi posłuszeństwa. Wreszcie spojrzałam wymownie na Dyzia. Podjechał wózkiem i całkiem zgrabnie usiadłam na swoim miejscu. Ciężko dyszałam. Przetańczyłam dziesięć kroczków i byłam śmiertelnie zmęczona. Czułam rumieńce na twarzy. Goście weselni bili brawo, a pan młody rzucił mi na kolana bukiet amerykańskich fiołków.

- Dyziu, ja tańczyłam! - wołałam szczęśliwa.

- Oczywiście. Jak chcesz, to jeszcze potańczymy - zaproponował.

- Nie, dziękuję. Tak naprawdę to... ja się nie nadaję... może po operacji. - Uśmiechałam się, chociaż już nie chciało mi się wcale śmiać.

- Bardzo dobrze, bo ja nie umiem tańczyć - powiedział Dyzio.

Potem wszyscy zaczęli śpiewać starą jak świat piosenkę „Szła dziewczeczka do laseczka”. Beznadziejnie w kółko „Szła dziewczeczka...” Każdy pan musiał przetańczyć kilka taktów z panną młodą, a każda dama z panem młodym. Trwało to dobrą godzinę. W czasie tańca goście ofiarowywali młodej parze „drobne na rozmnożenie”. Myślę, że uskładało się tego dużo. Panna młoda protestowała, ale stary Leszcz ją uspokoił, tłumacząc, że taki jest zwyczaj.

O trzeciej nad ranem gospodynie podające dania zniknęły na chwilę, by ukazać się z dymiącymi wazami. Żadne wesele bowiem nie obejdzie się bez flaczków, wszyscy o tym dobrze wiedzą. Przycichła orkiestra, goście uznali sprawę za bardzo ważną: należało zjeść talerz flaczków.

W tym momencie do sali wszedł młody policjant z bardzo poważną miną i oczami poszukał Amelii.



- Przepraszam, że przeszkadzam, ale pan komisarz Wilga prosił, żeby pani przerwała zabawę - powiedział surowo.

- Mam wesele, swoje własne, i wzięłam urlop - zdenerwowała się Amelia.

- Dwieście kilometrów stąd, przy granicy z Niemcami, zdarzył się wypadek. Mercedes wpadł na TIR - a i spalił się doszczętnie. Zginęły trzy osoby. Ocalały jedynie: skradzione srebro i stary monety - wyjaśnił policjant.

W sali zapanowała cisza. Pani Amelia pomału odłożyła łyżkę i poszukała zakietu od kostiumu.

- Jaki to był mercedes? - zapytała.

- Białe. Po prawej stronie bagażnika miał lekkie wgniecenie.

- Oczywiście ustaliliście, do kogo należał?

- Tak.

- Przepraszam - zwróciła się do gości z nikłym uśmiechem. - Piotr, to jest mój mąż, zostanie z państwem. Ja... ja... bardzo dziękuję, za wszystko dziękuję...

Wesele zakończyło się trochę wcześniej, niż zakładano. Było to jednak bardzo piękne wesele.

Definitywnie załatwione zostały dwie sprawy: po pierwsze zwolniono mojego nauczyciela. Zapłacono mu za listopad i grudzień z czysto humanitarnych przesłanek, ustalając, że po moim powrocie, prawdopodobnie w marcu, rozpoczniemy od nowa realizację programu klasy pierwszej licealnej.

Nie żałuję. Profesor był dobry i na pewno mądry, ale sprawiał wrażenie nie bardzo przejętego rolą. Miał wygląd banknotu tysiączłotowego, takiego, co to nie jest obłądną wartością i do tego ma beznadziejnie szary kolor. Jednym słowem - nie do zapamiętania.

Drugą zakończoną sprawą było oddalenie przez sąd wniosku pana Kołeczka o zwrot ziemi. Na podstawie zeznań świadków ustalono, że kwestionowane ugory były tradycyjnie

darowane wsi Młynia. Nie znaczy to niestety, że wujek Bohdan może spać spokojnie, a we dnie pucować żaglówki. Nic podobnego. Całe przedsięwzięcie, a więc utworzenie jeziora, budowa przystani i hangaru, wymaga wyliczenia finansowego. Może zająć konieczność wyjaśnienia dochodów w urzędzie skarbowym, ale nie ulega wątpliwości, że gmina zyskała na pracy wujka i księdza, a nie straciła.

Należy oczekiwać, że wieczorem wujek Bodzio pochodzi na rękach po kuchni. Musi być jakiś upust radości. Gmina postanowiła bowiem, że należy sprzedać cały teren wraz ze sztucznym jeziorem. Jedynymi chętnymi są mój tata i wujek Hans, co oznacza, że wujek Bodzio będzie dyrektorem na poważnie. Jak w tej sytuacji nie pochodzić na rękach?

Ciotka Sabina oderwała na chwilę wzrok od dzieła pod tytułem Automatyczna broń strzelecka i oświadczyła z zadowoleniem:

- Nareszcie będą mogła spokojnie przeczytać całą odkładaną lekturę i zająć się wyprawką dla Franciszka. Zmartwienia związane z jeziorem całkiem mnie paraliżowały.

Wieczorem odwiedzili nas państwo Okońscy. Od tygodnia chodzili z podobnymi wizytami po całej Młyni, żeby podziękować za wspaniałe wesele i sprezentować każdemu gościowi prześliczne, kolorowe zdjęcia. Fotografii było zatrzęsienie. Okońscy wzięli sobie za punkt honoru rozdanie tych zdjęć, niejako w rewanżu za pomoc Młynian w zorganizowaniu wesela. Kosztowało ich to majątek, dając swoją rudą głowę.

Przyjęto ich w jadalni. Jakżeby tak w kuchni? Oficjalną wizytę? Babcia i ciocia Brońcia zdjęły fartuchy i zakrzętnęły się koło herbaty. Potem siedzieliśmy przy dużym Jasieniowym stole, przekrzykując się i śmiejąc. Sztuczna gala już znikła i goście poczuli się całkiem zwyczajnie. Po jakimś czasie dołączyli do nas: doktor, ksiądz i pani Małgosia. Przyszli jak

zwykle wieczorem na zechcyka, ale przecież nie mogli grać w takiej sytuacji. Doktor mrugał i mrugał do dziadziusia, żeby niby wyjść do kuchni i pograć jak Pan Bóg przykazał, ale dziadzius tego nie zauważał.

- Nie mrugaj do Ignasia. Żadnych kart! - powiedziała pani Małgosia. - Słowa do gości nie przemówią, tylko w karty by grali.

- Przecież nie gramy - burknął doktor.

- Jak państwu wiadomo, sprawa jeziora i majątku Kołeczka została ostatecznie rozstrzygnięta - odezwała się nagle Amelia.

- Kamień spadł nam z serca - rzekła ciotka Sabina.

- Chociaż przyznam, że żał mi tego faceta. On był nadzwyczaj przedsiębiorczy i energiczny. Po prostu dwoił się i troił, wszędzie miał jakiś interes.

- Był zwyczajnym złodziejem, moja droga - z niesmakiem zauważyła Amelia.

- Może, nie mnie sądzić... - powiedziała ciotka.

- Dlaczego nie? - wybuchnęła pani komendant.

- Przecież bezczelnie oskarżał twojego męża, kradł, nawet Anielkę Wilkoszównę namówił na niezbyt mądry konkurs, czyli był wszędzie tam, gdzie go nie posiali. Zbyt przedsiębiorczy, jak na mój gust.

- O właśnie - wtrącił dziadzius. - Jeżeli już jesteśmy przy Kołeczku, to dobrze by było wiedzieć, co z kasą pancerną z domku myśliwskiego.

- Śledztwo zakończone, sprawa zamknięta - oświadczyła Amelia. - Właśnie mogę wszystko wyjaśnić...

- Moje numizmaty, chociaż nie wszystkie, otrzymałem - wtrącił ksiądz.

- Ale pieniędzy nie zwrócili - z przyganą dodała pani Małgosia.

- Pieniędzy nie było. Nawet gdyby były w samochodzie, to i tak by się wraz z nim spaliły. Zaczniemy od początku - Amelia próbowała uporządkować rozmowę. - Otóż biały mercedes nie należał do Kołeczka, tylko do jego brata. Nasz miał na imię Jan, a brat - Antoni. Dziewczyna, którą w lesie spotkała Zuzanna, była żoną Antoniego. Ustaliliśmy, że Kołeczkanie od wielu lat zajmowali się pokątnym handlem. Dwadzieścia lat temu trudnili się odsprzedają z zyskiem biletów kinowych i teatralnych, potem handlowali dolarami na czarnym rynku, wreszcie, gdy wybuchł kapitalizm, bracia zdecydowali się działać z duchem czasu. Antoni Kołeczek upatrzył sobie młyn w województwie białostockim i próbował udowodnić, że należał on do jego przodków. Jan Kołeczek miał większy apetyt. Postanowił zdobyć całą połąć ziemi, lasu i zagospodarowane jezioro.

- A dziewczyna? - zapytałam.

- Była bardzo przedsiębiorcza, podobnie jak bracia. Wyszukiwała mniej strzeżone muzea, które okradali we trójkę. Nie zlekceważyła też opowieści o rosyjskiej księżniczce i odnalazła domek myśliwski. To ona właśnie zostawiła „Carmeny” i zieloną zapalniczkę.

- Ta miła dziewczyna? - zdziwiłam się.

- Bardzo miła - zgodziła się Amelia. - Nadzwyczaj sentymentalna. Bardzo się zainteresowała miłosnymi perypetiami rosyjskiej księżniczki. Odkryła w ruinach piwnicę, a w niej kasę pancerną. Już mniej romantycznie gromadziła kradzione srebra i całkiem zwyczajnie próbowała otworzyć kasę, mianowicie łomem. Bez skutku.

- A co było w kasie? - zapytała babcia.

- Kasę otworzył dopiero przedwczoraj specjalnie sprowadzony z Wrocławia fachowiec, ślusarz mechaniki precyzyjnej. W środku były cztery paczki obwiązanych wstążeczką listów miłosnych oraz welon z mirtowym

wiankiem. Welon był kryształowo biały, a mirta zielona. Tak się pięknie zachowały. Aha, jeszcze dwie obrączki, małej wartości.

- Coś podobnego! - wysapała ciocia Brońcia. - Listy miłosne?

- Już widzę minę Kołeczka, gdyby udało im się otworzyć kasę - zaśmiał się wujek Bodzio. - Przecież mógłby go szlag trafić.

- Mógłby - zgodziła się pani Amelia. - Powiem mu, gdy wydobrzeje i spotkamy się w sądzie.

- To oni żyją? - wykrzyknęłam zdziwiona.

- Nie wszyscy. Antoni Kołeczek zginął. Prowadził auto. Jego żona i brat zostali wyrzuceni z samochodu, nim ten się zapalił. Mocno poturbowani, przeżyli. Dziewczynie grozi amputacja prawej nogi.

- Rany boskie! - westchnęła pani Małgosia. - Po co jej to było?

- I co dalej? - zapytał doktor.

- Będzie rozprawa sądowa, w której odegramy niemałą rolę. - Amelia nałożyła sobie sporą porcję bitej śmietany i posypała grubo tartą czekoladą. Wyglądało na to, że zakończyła opowieść. - A państwo zapraszają rodzinę na święta, jak co roku? - zmieniła temat.

- Przyjadą wszyscy chłopcy z żonami. Nawet Marek z Marylą przylecą z Wenezueli, ale tylko na dwa tygodnie. Jaworowie zostaną w Austrii przy Zuzance - tłumaczyła babcia. - Tym razem moje córki będą świętować Boże Narodzenie w Wiedniu.

- Też mi świętowanie - burknęłam nieprzyjemnie.

- Będziecie świętować. Jakkolwiek by było, będziecie świętować - ucięła babcia. - Żał mi, że nie poznam mężów moich wnuczek, Krysi i Marysi. One nigdzie nie wyjadą,

muszą być na miejscu, jak nie będzie ani Jaworów, ani Marków.

- Przyjadą na wakacje - podpowiedziałam.

- Tak ostatnio pisały - zgodziła się babcia. - Ach, byłabym zapomniała, przecież muszę wam pokazać zdjęcia wnuczek z mężami.

Po chwili oglądaliśmy nowy stos zdjęć, tym razem Marysi, Krysi i ich mężów. Ja, rodzona siostra, nie przysięgłabym, która z tych par to Krysia i Kevin, a która Mike i Marysia.

- Rany boskie, jak one ich rozróżniają? - zmartwił się pan Piotr.

- Rzeczywiście - pokiwał głową wujek Bohdan.

- Jestem pewna, że się znakomicie odnajdują - zaśmiała się ciotka Sabina. - O raju! Wszystkie zdjęcia się pomieszały!

Na stole leżało kilkadziesiąt fotografii. Z lewej strony była kupka zdjęć, na których rudowłosa dziewczyna uśmiechała się do rudowłosego chłopca. „To na pewno Marysia” - pomyślałam i nie wiadomo dlaczego zachciało mi się płakać. Bardzo kocham te moje stare siostry.

Wujostwo Hansowie przyjechali po mnie na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. Ciotka jeszcze dobrze się nie przywitała, a już nas popędzała.

- Słuchajcie, bezwzględnie musimy jutro jechać. Zuzka ma badania na dzień przed Wigilią, a Helcia ze Staszkiem przyjadą w pierwszy dzień Świąt. Wiecie, ile mam roboty?

- Świetnie, ale może jednak się przywitasz? - upomniała ją babcia.

Wszyscy się roześmiali. Na drugi dzień spadł śnieg.

- Babciu! Babciu! Twoja Giselle! - wołałam wyglądając przez okno.

Śliwa znowu przypominała roztańczoną Giselle. Na wiosnę osypana białymi kwiatkami, w zimie puszystym śniegiem, popisywała się piruetami.

Przez okno zobaczyłam Dyzia. Dostrzegł mnie i uśmiechnął się. Pomyślałam, że z chłopaczka w swetrze na lewą stronę wyrósł dobrze zbudowany, przystojny mężczyzna. „Ciekawa jestem, czy ma na sobie sweter” - pomyślałam.

- Pędziłem, bo bałem się, że odjedziecie - powiedział.

- Nigdzie nie pojechałabym bez pożegnania się z tobą, chyba dobrze o tym wiesz.

- Wiem, ale i tak się bałem.

- Dyziu, masz na sobie sweter? - zapytałam. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Mam - odparł.

- Pokaż - poprosiłam.

Pokazał, patrząc na mnie jak na wariatkę. Oczywiście sweter miał założony na lewą stronę.

- Nic, ja tylko chciałam zobaczyć, czy to jesteś na pewno ty - wyjaśniłam dość mętnie.

- Posłuchaj mnie, Zuzka - zaczął poważnie. - To wszystko będzie na ciebie czekać. Rozumiesz mnie? Wszystko - Młynia, pies Burek i ja... My zawsze będziemy na ciebie czekać. Tam, w tym cholernym szpitalu, przymknij oczy i wyobraź sobie wszystkich, którzy o tobie myślą. Cokolwiek się jeszcze wydarzy...

- Wiem. Zawsze będziesz ty, Młynia i potok Młynek, który czasem śpiewa bluesa, choćby... choćby... - wyszeptałam.

Dyzio pocałował mnie długo i mocno.

Wszyscy odprowadzili nas do mostu. Babcia, blada jak ściana, zapłakana ciotka Sabina, pies kręcący się niespokojnie i dziewiętnastoletni, w jednym momencie postarzały Dyzio.

Na moście odkręciłam szybę samochodu.

- Dyziu, a tamto? - zawołałam.

- Oczywiście - odkrzyknął.

Patrzyły na mnie błękitne zrozpaczone oczy w kamiennej twarzy.